



Marta Cywińska

CYWIŃSKA NA PRAWYMI

WYDAWNICTWO Piotr Błaszowski
Gdańsk 2015

Marta Cywińska

CYWIŃSKA NA PRAWYM

WYDAWNICTWO Piotr Błaszowski

Okładka: Andrzej Józwiak
Redakcja: Piotr Błaszowski

Copyright © www.prawy.pl
Copyright © WYDAWNICTWO Piotr Błaszowski
Gdańsk 2015

ISBN: 978-83-943444-0-5

WYDAWNICTWO Piotr Błaszowski
NASZ SKLEP, Skr.poczt.18
80 -213 Gdańsk Al. Zwycięstwa 47
<https://www.facebook.com/wydawnictwo.piotr.blaszowski>

Szanowni Państwo,

Zwracam się nie tylko do Czytelników portalu prawy.pl, gdzie publicystyka Marty Cywińskiej jest znana i szeroko komentowana, ale do wszystkich „prawych” od Buga do Odry, od gór do morza. Ofensywa ideologicznego lewicowego przeciwnika wyrывa nas z miłego błogostanu i błogiego leniuchowania, rzucając w okopy walki i znoju.

Autorka wyruszając na pierwszą linię frontu ostrym pazurem gęsiego pióra, strzelając prawicowym inkaustem obala kolejne mity, zakłamania i gusła różnego rodzaju lewaków, generatywistów, zapatystów, komsomolców, zetempowców, ormowców, esbeków, ubeków, politologiczno-prawnych, ideologicznych oszustów, hipokrytów, kolaborantów, feministów oraz feministek, Piotrusiów Panów i sam diabeł wie kogo jeszcze.

W sumie zebraliśmy felietony Autorki publikowane na portalu prawy.pl między 2 września 2013 a 21 września 2015 roku. Zachowaliśmy daty oraz godziny zaistnienia felietonów, by oddać ich internetowy charakter.

Pragnę podziękować za patronat medialny nad naszą książką Księdzu Ryszardowi Halwie, Prezesowi Fundacji SOS Obrony Poczętego Życia, wydawcy portalu prawy.pl i miesięcznika „Moja Rodzina”. Prawdziwy człowiek-orkiestra. Nie „święteczna”, lecz całoroczna, którego liczne dzieła miłości i miłosierdzia zna sam Bóg.

Zachęcamy wszystkich, aby zbiór felietonów Marty Cywińskiej propagować, oraz rozpowszechniać. Ku chwale Ojczyzny ziemskiej i Niebiańskiej!

Piotr Błaszkowski
wydawca

Wstęp

Spis treści 3

Gandalf w rodzinie 6

Z Putinem w tle 7

Gra w edukację 8

„Kratka papieru” 9

Bezsilna troska 10

Panny z mokrą głową 12

Prawie taka sama 13

Subtelna nieśmiałość mizogyna 14

O autorytetach trzeba wręcz przypominać 16

Podaruj im godzinę! 18

Skorupa czy tarcza? 19

Niepraktyczne przepisy praktyczne? 20

Ziarenka piasku 22

Z dziejów ZNP: od nagonki na Kościół do obrony gender 23

Drzwi zamknięte 25

Polka szanowana? 27

"Pierścień Wielkiej Damy" – bis 29

Erystyka zamiast plaży 30

Baryłeczka Danaid 32

Czyja to dola? 33

Lipcowa amnezja 35

Burza przeszła obok 37

Bez młota i kowadła 38

Złodzieje bez honoru 40

Wydobyte z niepamięci 41

Tajemnica Długiego i Krótkiego Życia”/ Nie Tym razem 43

Kto jeszcze dzisiaj pamięta „diseusy”? 44

Patronka gołosłowa 45

Dzielny ojciec Paderewski 47

Twoja córeczka 48

Ankieta w sprawie Żydów 50

Amnezja i ból 52

Słodcy niepotrzebni 53

Rekomendowane czy w zapomnieniu? 54

Urodzeni w Internecie, w Internecie pogrzebani... 55

Dobro-czynienie w czasach zagłady 57

Platynowy tatuś 58

Siostrzyczki i braciszczowie zamordowanego dziecka 60

Na front, książko! Na front! 61

Nie-matki i mateńki 63

Po śmierci Dmowskiego naród w żałobie 64

W kibitce sumienia 66

Ubogi złóbek w lwowskim mieszkanku 68

Przebaczyc i nigdy nie zapomnieć? 69

Lustrzane odbicie 71

Histeria nasza powszednia 72

Pan dusz i pieniądze	74
Feminizm jako przemoc	75
Dawać czy ofiarowywać	78
Za wąsami Stalina	79
Historia bis na bis	81
Błędne równanie?	82
Zakurzona nauczycielka	83
Modelka pod tezę	85
Zapomniana lekcja	87
Okaleczony bluszcz	88
Kobiety-trumny	89
Gender w garderobie	91
Co kto rzecze o nauczycielu?	92
Nieważkość to ciężar sumienia	93
Honor(y) i skandale	95
Wspomagać śmierć	96
Kobieta powołana	98
Ortografia i krew	100
Spychanie cierpienia	102
Dobroć niedookreślona	103
Misja Androgyne	104
Słowa w błocie rozdeptane	106
Genderyzacja to maltretowanie dzieci	107
Człowiek Kresów	109
Bije nawet kwiatem	110
Nieprawdziwa dyskrecja prawdziwa	112
Lektury na przekór	113
Wzorca należałoby szukać	114
Miasto-cmentarz	115
Nie uciekajże mi!	117
Duszno i genderowo	118
Powstańcze klamry życia Rodziewiczówny	120
Czekanie na siebie	122
Człowiek chory jest darem	124
Oprawcy	125
Szkolić by szkolić	127
Był nauczyciel... jest....	128
Błędy rodziców brzemieniem dziecka	130
List bez nagłówka	131
Chłopięce spódniczki	132
Barykady normalności	134
Wiatr w duszy	135
Bezpłatny podręcznik Tuska będzie narzędziem promocji gender	136
Plugawe znaczy gender	137
Walczycie do końca!	138
Kobiecość siłą!	139
Hajnówka. 8 lutego 2014. Uroczystości w 63. rocznicę śmierci ŁUPASZKI	140
Aborcja: zabójstwo, egoizm, reklama	142
Bożydar Aleksander Żabczyński? Nigdy go nie zapomnę...	142
Dwie Róże. Róża Maria Sapięha i święta Róża z Limy	144

Gandalf w rodzinie

Felieton, poniedziałek, 21, wrzesień 2015 20:59

Wraz z powolnym umieraniem książki rozpoczęło się powolne umieranie myślenia symbolicznego Czytelnika. Niektórzy twierdzą, że domeną zła – również eksponowanego w literaturze – jest zbytnio dosłowność, a dobro - jako schematyczne i „przewidywalne” budzi coraz mniej emocji.

”Władca Pierścieni” żyje ostatnio krótko i miewa się na tyle dobrze, na ile wskrzesi go kolejna ekranizacja.

Zalew prymitywnej literatury aspirującej do miana „dla dzieci i młodzieży” sprawia, że ta szlachetna topi się bez możliwości wołania o ratunek. A my przybądźmy jej z odsieczą przy wieczornej wspólnie rodzinnej lekturze na głos, na wzór dawnego wspólnego muzykowania – tak żywego w tradycji XIX-wiecznego domu polskiego! Poczytajmy na głos w gronie dzieci i dorosłych dzieła Johna Ronalda Reuela Tolkiena, będące jednym z najlepszych narzędzi ewangelizacji!

Przyjrzymy się jeszcze raz postaci Gandalfa Szarego, który ginie po pokonaniu zła wcielonego i powraca jako Gandalf Biały. Niektórzy Czytelnicy widzą w tej historii literackie nawiązanie do Zmartwychwstania Chrystusa. Niektórzy zaś – że wędrowka na Górę Przeznaczenia przypomina Chrystusową wędrowkę na Golgotę. Może warto zdać wyobrazić sobie, czy byłoby dla nas miejsce w Drużynie Pierścienia?

Polska rodzina rozpada się – i nie jest to kwestia dowodów w postaci smutnych statystyk. Polska rodzina nie potrafi spędzić ze sobą czasu „w dawnym, dobrym stylu”. Razem przy lekturze dzieła, które powinno towarzyszyć dalszym rozmowom i tzw. „wspólnemu przebywaniu”. Straszliwy pierścień, nie dość, że to symbol pożądania, złowrogiej siły w lekkomyślnych rękach, ale tkwi w pamięci na długo. Wprawdzie Tolkien bronił się przed usilnym przypisywaniem aluzji politycznych czy dotyczących prawdziwego momentu dziejowego, ale wyobraźnia Czytelników wyzwoliła w lekturze jego dzieł porównanie historii pierścienia do metafory skutków broni jądrowej, a nawet –ostatnio do skutków przyzwolenia na wpuszczanie „uchodźców” do kolejnych krajów Europy. Pod pretekstem miłosierdzia, które – jak dowodzą tego fakty – jest miłosierdziem maskującym przyzwoleniem na zło.

Można rozsiewać – niczym chwasty – „dobre”, udawane uczynki, można skazywać lekturę wartościowego dzieła na samotność, można jego głośną, komentowaną lekturę uczynić spoiwem rodziny – w sytuacji, gdy najbliżsi jej członkowie komunikują się ze sobą jedynie lajkowaniem na Facebooku.

Z Putinem w tle

Felieton, sobota, 19, wrzesień 2015 16:14

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych toczyłam fascynujące rozmowy ze zwolennikami Jean-Marie Le Pena (wątków bretońskich nie mylmy z paryskimi), którzy z zadziwiającą dokładnością przewidzieli, co się stanie z ruchem narodowym w różnych krajach Europy.

W połowie maja Le Pen ogłosił, że chce stworzyć własną partię polityczną –nie byłoby w tym nic kuriozalnego, gdyby nie fakt że dosłownie kilka dni wcześniej został zawieszony w prawach członka FN.

Pamiętam też jego wypowiedzi z 1996 roku kiedy to oświadczył: "komory gazowe były zaledwie szczegółem w historii drugiej wojny światowej i to jest niepodważalne ". W jego rodzinnej Trinité-sur-Mer, do której powiodły mnie przed laty moje bretońskie pasje opinie mieszkańców są skrajnie podzielone. Niewielu zna jego przygodę z Legią Cudzoziemską oraz szczegóły dotyczące pobytu w Algierii. Jean-Marie Le Pen wytoczył proces o zniesławienie redakcji „Le Monde”, która posądziła go stosowanie tortur podczas wojny.

Zamiast komentować przyczyny wybuchu pożaru na linii Jean-Marie Le Pen i Marine, wszak czynią to media bretońskie oraz paryskie przynajmniej trzy razy w ciągu tygodnia, przypominam sobie pewną formułę, przypisywaną bodajże Diogenianusowi, przeformułowaną przez świętego Augustyna, a mianowicie „Nec puero gladium” – Nie dawaj dziecku miecza.” Wprawdzie św. Augustyn pisał „Im bardziej bowiem kogoś kochamy, tym mniej powinniśmy mu pozwalać na coś, co mogłoby go narazić na wielkie niebezpieczeństwo grzechu” i ku polityce owego twierdzenie nie należy wieść na zatracenie, ale może w jednej, konkretnej sytuacji warto.

”Nie dawaj dziecku miecza” – powtarza bezradny Le Pen. Nawet jeśli furia jest rodzajem aktorstwa, a Marine Le Pen chce walczyć o ratowanie wartości europejskich w rozsypującej się Europie. Zarazem marzy o przywróceniu mocarstwowej siły swego kraju. Taki wyidealizowany portret „Wielkiej Francji” z Putinem w tle i strategicznym sojuszem od Bretanii po Magadan

Gra w edukację

Felieton, wtorek, 15, wrzesień 2015 14:43

Dla wielu zapatrzonych godzinami w ekran laptopa albo komputera, najazd hord „uchodźców” jest prawdopodobnie elementem najnowszej gry komputerowej tak wciągającej, tak realistycznej – szkopuł polega na tym, że nikt nie nadał jej jeszcze przerażająco odpowiedniej nazwy.

Wolałabym – choć groźba u bram – napisać słów kilka o edutainment - tak określa się połączenie edukacji, uczenia się („education”) z rozrywką, zabawą („entertainment”). Warto wspomnieć też o „grywalizacji”....

Liczba tytułów, które skutecznie łączyłyby te dwa aspekty, zapewniając jednocześnie wysoki poziom tzw. satysfakcji płynącej z gry oraz wartość edukacyjną, jest stosunkowo niewielka –niestety! Zasadniczo gry o walorach edukacyjnych możemy podzielić na dwie kategorie: te przeznaczone dla dzieci, jak i te, które przy okazji fabuły jak oraz meandrów zarządzania państwem przekazują nam wiedzę historyczną i ekonomiczną.

Zostanę (prawie) zlinczowana, bowiem ośmielam się pisać o grach komputerowych w przestrzeni felietonistyczno-politycznej, a pierwszeństwo miałyby zapewne informacja o węgierskiej reporterce, która podstawiała nogę propagatorowi islamskiego terroryzmu albo o skutkach usunięcia Jean-Marie Le Pen z Frontu Narodowego (note bene czemu nie – ale może przy innej okazji). Dorośli nurzają się w iluzji strachu oglądając nałogowo horrory, niektórzy płacą ciężkie pieniądze by „w ciepełku turysty” zwiedzać miejsca postapokaliptyczne takie, jak miasteczko Prypeć i oczywiście chwalić się zdjęciami z wyprawy na Facebooku czy Instagramie, albo poświęcając czas postaciom toksycznym – niegodnym, by ktokolwiek im poświęcał uwagę, a przy tym coraz bardziej zapominają o dzieciach. Owszem, czytają o wychowaniu dzieci. Słuchają o wychowaniu dzieci – ale nie wychowują. Gry komputerowe w mądrych proporcjach stanowią część arsenału edukacyjnego tych czasów.

W grach edukacyjnych dla dzieci protagonistami są często bohaterowie znani z różnych kreskówek takich jak Scooby-Doo i Kubuś Puchatek. Wplecione w fabułę ćwiczenia skupiają się na rozwijaniu umiejętności matematycznych, ćwiczeniu ortografii czy układaniu poprawnych stylistycznie zdań – może warto, by dorosły zagrał w taką grę razem z własnym dzieckiem, chyba, że jest tak skamieniały w swej dorosłości albo też po prostu dzieckiem nigdy nie był?

W grach strategicznych mamy możliwość (w pewnym uproszczeniu, rzecz jasna!) zarządzania państwem na wielu płaszczyznach: militarnej, gospodarczej, dyplomatycznej czy religijnej. Gry tego rodzaju mogą być bardziej lub mniej złożone, oddają istotę pewnych procesów historycznych. Mamy więc do czynienia z niepokojami na tle religijnym, wybuchami epidemii, kolonizacją nowych części świata, opracowywaniem nowych technologii, walkami o władzę.

Dużo gier zawiera elektroniczne encyklopedie poświęcane jednostkom wojskowym, biorącymi udział w grze nacjom czy opracowanym technologiom.

Warte odnotowania jest to, że jeżeli gra zawiera błędy merytoryczne jest to przez graczy ostro krytykowane – smutne tylko, że chęć naprawiania (nie)rzeczywistości dotyczy najczęściej wirtualnych światów. Owszem, warto przeczytać recenzje gier z serii „Europa Universalis” czy „Total War” by przekonać się, jak wrażliwi są polscy gracze na niewłaściwe lokowanie miast na mapie Polski w grze, ale zarazem nie zapominać pod żadnym pozorem, że to tylko NAMIASTKA. Kolejnym przykładem były usilne próby o umieszczenie Polski w grze „Civilization IV”.

Dla niektórych bowiem wirtualna rzeczywistość jest rzeczą rzeczywistością nadrzędną. Cynceron, gdyby teleportował się do czasów gier komputerowych, krzyknąłby zapewne raz jeszcze: „Cari sunt parentes, cari liberi, propinqui, familiares, sed omnes omnium caritates patria una complexa est”, co tłumaczy się zazwyczaj: „Drodzy są nam rodzice, drogie dzieci, drodzy krewni i przyjaciele, lecz wszystko, co najdroższe kiedykolwiek, zawiera się w pojęciu ojczyzny”, tyle że to jakoś w edukacji dzieci wyznacza również ich przyszłe miejsce w Ojczyźnie to, co będą Jej ofiarowywać jako dorośli.

„Kratka papieru”

Felieton, sobota, 12, wrzesień 2015 14:33

Był to rok 1543. U samego Floriana Unglera – założyciela pierwszej w Polsce drukarni, drukującej książki w języku polskim ukazało się kuriozalne dzieło, zatytułowane „Ludycje wieśne na rok 1544” (sic!). Cierpliwości mi nie starczyło, by z tą wieścią – rocznicowo – poczekać do sylwestrowego wieczoru, i tak już ciemno za prawie jesiennym oknem, więc o „skocznej” książce przypominam.

„Ludycje wieśne” (uwielbiam ten zestaw – przyp. M.C.) to po łacinie „Rurale iudicium”, ale my trwamy przy pierwszych zachwytach fonetycznych. Wszak dzieło tak oto zatytułowane było niegdyś w pewnych kręgach bardzo popularne, choć śmiechem gorzkim i głośnym lektura była zazwyczaj okraszona. „Ludycje wieśne” były bowiem zbiorem inteligentnych, ba!, wręcz intelektualnych wykpiwań albo metaforycznych sarkazmów na temat pokutujących nawet przez stulecia przesądów.

Czy „Ludycje wieśne” były praprapradziadkami współczesnych felietonów?

Dzieło, o którym z łezką piszę, raczej P.T. Czytelnikom wydaje się nieznanie. Zawierało przykłady terminologii przez mocno niepiśmiennych mocno powykręcanej, jak „astronom” – usłyszane: „ostromądr” lub „almanachy” – jako łachmany”. Sztuką bowiem jeszcze w tamtych czasach śmiać się wyśmiewać bez szkody dla osoby, ale z pożytkiem dla potyczek słownych.

Inteligentna autoironia na wagę złota w naszych czasach lęku. Jej brak wykazali w tym roku niektórzy wakacjusze, którzy – czy na egzotycznej plaży, czy na przyzbie agroturystyki na Mazurach nie ruszyli się de facto ani na chwilę z Internetu, racząc na Instagramie i Facebooku swą nachalną wręcz obecnością. Redaktorzy Oxford Dictionary uznali bodajże dwa lata temu „selfie” tzw. „słowem roku”, czyli uczynili je gwiazdą i celebrytą w jedynym.

Jak bowiem autoironizować w naszych czasach lęku? Sejm zamienia się w szafot dla dzieci nienarodzonych. Walka z gender znudziła się nawet jego przeciwnikom. Uzależnienia spowszedniały. Rozjuszona horda forsuje polskie bramy.

Czyż Bareja nie wyczerpał całego polskiego humoru „na kartki” ? Reglamentowane kwadraciki odcinamy jeszcze dziś, słuchając słynnego dialogu z „Rysia”:

„- Panie Premierze!

-Wicepremierze!

-Panie Wicepremierze, powiedział Pan, że gospodarka będzie rozwijać się dwustronnie!

-Proszę Panią (gul... gul... gul...), jeżeli ma Pani zwiniętą kratkę papieru...

-Dlaczego kratkę... kartkę?

-Tak, kratkę papieru w kartkę. Zwiniętą.”

Déjà vu może zabrzmieć jak początek zupełnie nowej historii. Wybory tuż, tuż, nowe krzesła&sukienki&garnitury, tylko ta nieszczęsna zdolność dokonywania wyborów (życiowych też) ciągle niedojrzała... a czasy – prawie ostateczne?

Bezilna troska

Felieton, czwartek, 10, wrzesień 2015 14:40

Jestem przeciwniczką sfeminizowania zawodu nauczycielskiego. Paradoksalnie – w trosce o nauczycielki. Powtarzam to od wielu lat skonfundowana coraz większą nieporadnością i lękiem wielu z nich przed konfrontacją z silną fizycznie oraz mocną w gębie młodzieżą gimnazjalną, przekonaną o swej głębokiej dorosłości.

Delikatne z natury adeptki zawodu muszą nauczyć, wychować, a jeszcze czasem teoretycznie ukarać. I tutaj zaczynają się schody.

Dawniej przypisywano karom szkolnym wielkie znaczenie. Przez lat wiele i wiele, zakorzenione w rodzicach oraz nauczycielach było przekonanie, że bez różgi dziecko „się nie wychowa”, a wieki średnie ją uważały za podstawowy środek wychowawczy.

Humaniści nawoływali do złagodzenia kary chłosty. Cóż, gdy w XIX wieku była regularnie stosowana w wielu szkołach, zaś jeszcze w latach 20. minionego wieku w Anglii dyrekcje szkół, a za ich przykładem nauczyciele nie widzieli nic uwłaczającego w intensywnym stosowaniu kar cielesnych. Na przełomie lat 20. i 30. wielu nauczycieli opowiedziało się za bezwarunkowym wykluczeniem kary cielesnej. Larum podniosły przede wszystkim kobiety argumentując, iż kara jest rodzajem zemsty ze strony wymierzającego i nie ma ona charakteru wychowawczego, a ponadto bicie dziecka linijką oraz nakazywanie mu klęczenia na grochu w kącie sali lekcyjnej stępią „wrażliwość moralną”.

Schody prowadzą coraz niżej i niżej. Kobiety nie potrafią solidnie ukarać. Mają w szkole obiekcje, wyrzuty sumienia i tysiące wątpliwości. Boją się – sprowokowane przez uczniów – własnych reakcji i zachowań. Boją się również, że ich reakcje będą nieadekwatne i że dadzą się łatwo ośmieszyć w oczach uczniów. Co mają więc nieszczęsne robić?

Wysłać ucznia do dyrektora czy też samodzielnie poradzić sobie z sytuacją? Muszą trzymać na wodzy swe emocje (co przecież w przypadku silnie emocjonalnych nauczycielek nie jest możliwe) albo zareagować w sposób gwałtowny. Prowokacyjne zachowania uczniów - w tym najwredniejszym wymiarze – to produkt naszych czasów, skrupulatnie promowane narzędzie, również marketingowe – prawda? A co dopiero w ekstremalnych sytuacjach szkolnych! Ilu nauczycielkom na lekcji prowokator zrobił zdjęcie bez jej wiedzy i umieścił je w sieci?

Starciom między uczniem-prowokatorem a nauczycielką przygląda się zazwyczaj cała szkoła, on sam świetnie zdaje sobie sprawę z wąskiego spektrum kar, które EWENTUALNIE go czekają. Musi przekalkulować, czy to wszystko mu się opłaca. Najczęściej jednak nauczycielka udaje, że nie widzi i nie słyszy, bo przecież doskonale wie, że ewentualna wroga relacja tylko zaostrzy „pomysłowość” prowokatora.

Uczniom naszych czasów potrzebne są realne męskie wzorce – nie tylko z odniesieniem do wątków mitycznych lub historycznych. Przeciętny wiek nauczycielki w Polsce to czterdzieści dwa lata. Coraz więcej z nich jest atakowanych w Internecie. Coraz częściej czują się bezradne nie tylko wobec uczniów, lecz wobec rodziców. Są jak emocjonalne zapaśniczki, które w starciu z niektórymi rodzicami oraz uczniami-prowokatorami są po stronie przegranej.

Panny z mokrą głową

Felieton, poniedziałek, 07, wrzesień 2015 20:33

Wiek XXI to wiek, w którym dziewczęta przestały marzyć. Liczy się materialne tu i teraz.

Na znak protestu przeciw kolejnej trywializacji obyczajów zagłębiam się w wyniki ankiety przeprowadzonej w maju 1932 roku wśród dziewcząt francuskich (niestety, nie natrafiłam jeszcze na tego typu materiały polskie). Niejaka P.M.L. Soustre (do historii przeszła z „niedokompletem” inicjałów) zwróciła się do dziewcząt piętnastoletnich, uczennic ówczesnego gimnazjum z propozycją przedstawienia życzeń: jakby sobie wyobrażały internat w kraju Utopii?

Dominanta odpowiedzi zadziwiła badaczkę: dziewczęta francuskie chciały bowiem żyć wśród ogrodów, w środowisku podobnym do środowiska rodzinnego, wśród wolności, z możliwością uprawiania różnych sportów, byleby praca była lżejszą! Każda pragnęłaby mieć swój kącik, by mogła codziennie wstawiać do wazonu świeże kwiaty, bibeloty, a nawet pamiątkowe zabawki. Szczytem marzeń miałby być panieński pokój umeblowany wedle własnej woli, ”owiany atmosferą pięknych obrazów i pięknych książek” (tłumaczę z oryginału zachowując styl badaczki – przyp. M.C.).

„Najważniejszą nutą” dziewczyńskich marzeń (uwaga – to znów próbka stylu „badawczego” z epoki – przyp. M.C.) polegało na przyczynieniu się do zburzenia ciężkich, nieprzyjaznych murów oraz zlikwidowania wieloosobowych sypialni. Trzy hasła gimnazjalnych marzeń A.D. 1932: ogrody, swoboda, rodzina. Ponadto głód wiedzy i chęć zmiany image (czytajmy z francuska, a nie okropny „imidż” – dla niektórych w duchu naszych czasów brzmiący tylko i wyłącznie z angielska).Niektóre zamiast zwięźle, w rubryczkach, odpowiedziały wierszem. Niejaka Mireille: „Biała sukienka zastąpiła mundur granatowy dawnych pensjonarek – Ziemia zaczarowana”, Laure: „Chciałabym wreszcie w zaciszu poczytać wiersze Wergiliusza”, Manon: „Móc kilka razy w ciągu tygodnia pójść do „L’heure joyeuse”.

Niektórzy optowaliby za tłumaczeniem nazwy jako „Radosna godzina” – chodzi o paryską bibliotekę dla młodzieży utworzoną w listopadzie 1924 roku przez komitet amerykański „The Book Commite on Children’s libraires”. By móc wypożyczać tam książki wystarczyło mieszkać na terenie Paryża (choćby w internacie),zaś czytelnicy stanowili rodzaj zorganizowanych sił porządkowych pomocnych w pracy bibliotekarzy.

Pragnę zawiadomić P.T. Czytelników, że nie zamierzam dokopywać się już głębiej do wyników badań „Mniszkówien” przedwojennej pedagogiki, specjalizujących się w górnolotnym opisywaniu ankiet przedkładanych gimnazjalistkom rezydujących w przedwojennych internatach.

Raczej zadaję sobie pytanie, jak zareaguje badacz lub badaczka, która za lat mniej więcej sto sięgnie po wynurzenia obecnych gimnazjalistek – w ekstremum. Te z początku lat trzydziestych ubiegłego wieku porażają naiwnością i zapewne wywołają dezorientację albo zirykują – przynajmniej. Te współczesne – to subtelne, delikatne dziewczyny nie radzące sobie z przemocą w klasie, ale również „stare małe”, które sięgają po narkotyki, trunki, wikłają się w uzależnienia od gier komputerowych, a nawet seksu. W ich rodzinach dominuje chłód emocjonalny – tak chłodne mógłby być mury internatów sprzed stu lat.

Pięknie napisał ks. Marek Drzewiecki: „Dojrzałe wychowanie jest największym darem, jaki dorośli mogą ofiarować młodemu pokoleniu.”. Tego daru potrzeba brutalnie pozbawionym marzeń współczesnym gimnazjalistkom. Dorośli boją się je wychowywać, a pozostawione same sobie niszczej w strachu i samotności.

Prawie taka sama

Felieton, niedziela, 06, wrzesień 2015 17:47

Salon warszawski przeniósł się na "patelnię", na schodki obok Złotych Tarasów i we wciśnięty w kąt stolik w McDonalddie, gdzie kipią nad GazWyb emocje polityczno-jedzeniowe - pisze Marta Cywińska o współczesnej Warszawie.

Warszawa pod przewodnictwem ostatniego króla „wrzała salonowym zżyciem” (określenie z epoki – przyp. M.C.) Pławiła się w barwach, marnotrawstwie, zbytku, przepychu, eksponując kosztowne stroje. Epatowała szalem balów, festynów, światłem iście wersalskiego zbytku rozciągającego się na ówczesne granice administracyjnego stolicy.

Od tego czasu w ekspansji blichtru zmieniło się niewiele, no może ciężar fryzur i strojów, sposób płacenia kawałkiem kolorowego plastiku i format środków lokomocji. Igrzyska trwają dalej, baliki i bale, festyny i festiwale, maskarady, które korciłoby nazwać maskaradami. Ruch salonowo-towarzyski nabrał już dawno tempa współczesnego roller coastera. Konwersacje wylewne, równie puste, tyle, że nie w języku francuskim, który wraz z epoką prawdziwych salonów przepadł.

Niegdyś salony warszawskie wzorowane były na dworskiej swawoli francuskiej i za ostatniego króla jedynie niektóre nazwiska w warszawskich salonach miały polski wydźwięk. To bynajmniej nie pastisz „Baśni dla dorosłych”, opowiadanych ze swadą na telewizyjnym ekranie przez Jana Kobuszewskiego w siermiężnych latach siedemdziesiątych, lecz snują o Warszawie lat stanisławowskich.

Teraz Warszawa niezmiennie „wrze salonowym życiem” na zgliszczach: wśród upadających tradycyjnych księgarń, ustawionych debat politycznych, eskalacji blichtru i

przemocy w szkołach, joggingu i publicznej medytacji w Łazienkach Królewskich, Wega – Targów, przymusu odwiedzenia wystaw typu „Papież awangardy. Tadeusz Peiper w Hiszpanii, Polsce, Europie” (jako literaturoznawca specjalizujący się w problematyce wszelkich dwudziestowiecznych -izmów przynajmniej jeden felieton musiałabym poświęcić na polemikę z tytułem „papieża awangardy” przyznaną temu, który część własnej twórczości po prostu sobie wymyślił – przyp. M.C.).

Warszawa spaceruje tematycznie, choć tematyka narzucanych spacerów jest coraz bardziej multi-kulti, bywa na piknikach sąsiedzkich (choć sąsiad sąsiadowi szklanki cukru by nie pożyczył gdyby głód miastu zagrażał – mniej lub bardziej metaforycznie), na kursach haftu dla dorosłych i na wernisażach totalnie nieformalnych grup artystycznych, podczas których naciera z siłą człowieka prehistorycznego na trunki i wątle kanapki nie rzuciwszy nawet okiem na zawartość artystyczną zdarzenia. Z uwagą przygląda się performance z wykorzystaniem pustych butelek walających się w krzakach. Warszawa oniryczna coraz bardziej splata się z rzeczywistością.

Salon warszawski przeniósł się na „patelnię”, na schodki obok Złotych Tarasów i we wcisnięty w kąt stolik w McDonalddie, gdzie kipią nad GazWyb emocje polityczno-jedzeniowe.

Już nawet „słoiki” nie wzbudzają większych emocji na salonach, wszak „salony kuchni” i „salony łazienek” w sąsiedztwie „pogrzebowych” już od lat nikogo nie szokują, bowiem bywalcom salonów warszawskich nic się nie chce. Nawet nie chce im się nie chcieć.

Subtelna nieśmiałość mizogyna

Felieton, czwartek, 27, sierpień 2015 20:32

Mizoginizm czy mizoginia, w zależności od tego, czy artykułujący pojęcie jego męski czy żeński, czy „odcień intencji” sięga po niechęć czy wręcz nienawiść w stosunku do kobiet. W tle silne przekonanie o niższości płci żeńskiej. Temat to niejako wstydlivy, wyparty najczęściej przez dywagacje okołofeministyczne.

Niektóre kobiety upierają się, że mizoginia to problem w środowisku pracy, bo kobiety mniej zarabiają a mężczyźni produkują rubaszne żarty. Gorzej: niektóre zaś mogą przyjmować postawę mizoginistyczną - i tu dopiero zaczynają się siedmiomilowe schody po których poszukiwacze sensacji próbują wspinać się boso. U mężczyzn może być to starannie tuszowany lęk przed zemstą ze strony kobiety albo skutek traumatycznych doświadczeń – dajmy nienasyconym przypuszczeń nasycić błędzącą wyobraźnię.

Niestety, już w salonowych czasach zamierzchłych panował pogląd, że niższość intelektualna kobiet wynika z tej prostej przyczyny, jakoby uczucia oraz emocje wypierały wszelkie apanaże rozumu, choćby te, które literatura szumnie zowie „gwałtownymi pasjami miłosnymi”.

A jak z tym nazewnictwem? Z jednej strony po prostu mężczyzna, z drugiej: niewiasta, baba, dziewczka, matrona, podwika, białogłowa. Szczególnie subtelnie brzmi „podwika”, a nazwa pochodzi od dużej, białej chusty okrywającej włosy i szyję. I pomyśleć, że w staropolskich czasach „baba” nie miała konotacji negatywnej!

Już w okresie staropolskim intelekt kobiety był problematyczny, ale nikt nie ukuł wówczas pojęcia, które zapowiadałoby wybuch „mizoginizmu” w XXI wieku. Niejaki Andrzej Maksymilian Fredro – znany podówczas pedagog i mówca, a także moralista wypowiadał się o niewiastach z pogardą, zarzucając im, że gdy kochają – to za mocno, a gdy nienawidzą – to też za mocno. Wszystko – „za mocno”, co ponoć zdaniem Andrzeja Maksymilianiana osłabia mężczyzn. Wtórował mu niejaki Szymon Starowolski (próżno by go szukać w obecnie zalecanych lekturach).

Dwa gromkie głosy i jeden cichuteńki – księdza Andrzeja Glabera domagającego się powszechnego nauczania dla kobiet. To on właśnie zakładał, że mężczyźni ów dostęp blokują kobietom do szkół, ponieważ boją się, że białogłowy mógłby ich prześcignąć wynikami i rozumem.

Jakie są przyczyny mizoginizmu? Nakreślonych zaledwie kilka zdań nie wyczerpie problemu. Kłania się ze złośliwym uśmiechem kwestia wychowawcza. Matka traktowana bez należytego szacunku, wyśmiewana i obrażana w obecności dzieci, kąśliwe żarty postponujące pozostałe kobiety w rodzinie niezależnie od wieku. Mizoginia lub mizoginizm o bolesnej etymologii, gdzie misos to po grecku nienawiść, a pojęcie często porównywane jest to mizandryzmu lub seksizmu.

A może to nie tylko kwestia złych wzorców czy niskiego poczucia wartości, tylko rodzaj wampiryzmu energetycznego (i tu dobrze zastanówmy się o które *dramatis personae* chodzi!) lub hobbystyczne wręcz zamiłowanie do szydzenia z istot nadwrażliwych i delikatnych, które tym samym przecież nie odpłacą? Żeby kij w mrowisku okazał się szpilą solidnych rozmiarów dodamy – *en passant* – że typowy mizogin jest często cichuteńki, onieśmielony, wyciszony, milczkowaty, ze skłonnością do niezręczności oraz nerwowych uśmieszków w obecności kobiet. Taka czarno-biała swoista negacja istnienia kobiety w obecności innych – może warto zapytać samych zainteresowanych, jaki mają pożytek przyjmując właśnie taką postawę?

Felietony mają pewną nieszczęsną właściwość – są jedynie muśnięciem tematu, P.T. Czytelników proszę o wstrzeźliwość w wyciąganiu pochopnych wniosków. „Subtelna nieśmiałość mizogina” (a przecież można tu wstawić kompletnie trzy inne, mocno brzmiące słowa) to wołanie o przywrócenie godnego miejsca żony i matki – tak, jak było to w tradycji oraz polskiej kulturze narodowej.

O autorytetach trzeba wręcz przypominać

Felieton, wtorek, 25, sierpień 2015 15:04

Pisząc swego czasu lakoniczną notką do prawego.pl poświęconą jednemu z najznamienitszych pedagogów narodowych okresu międzywojennego - Lucjanowi Zarzeckiemu byłam naiwną optymistką. Sądziłam bowiem, iż jednorazowe przywołanie tak znamienitego nazwiska oraz dorobku dydaktyczno-wychowawczego zachęci nauczycieli oraz rodziców chcących formować w duchu narodowym do bliższego przyjrzenia się tej szlachetnej postaci.

Niestety, schemat jest ten sam: większość woli mitrzyć czas na szczegółowe analizowanie postaci i (bez)czynności postaci dwuznacznych lub szwarccharakterów (świadome spolszczenie – przy. M.C.) niż zaangażować się w rozpowszechnianie portretów osób szlachetnych, acz zapomnianych. Nauczyciele w naturze mają swej, by pouczać, ale potrafią taktownie docenić, gdy o ważnej kwestii im się - taktownie – przypomni.

Spieszę zatem podkreślić – również w kontekście – powrotu do okolicznościowej tematyki szkolnej – iż odrębne rozważania poświęcił Lucjan Zarzecki misji nauczyciela. Twierdził, iż do lat dwudziestych był on wyrobnikiem, wykonującym schematyczną pracę. Podkreślał, iż nauczyciel jego epoki powinien być błyskotliwy, niezwykle inteligentny, a także posiadać takie cechy charakteru, dzięki którym mógłby stanowić wzór dla młodego pokolenia:

Rozumiemy, że na przewodników dzieciom naszym dać trzeba elitę starszego pokolenia, sól ziemi, najtęższe sumienie, najlepszych ludzi. (...) dzieło nauczania jest dziełem trudnym i odpowiedzialnym, że w najdrobniejszych zaczątkach, w początkowej fazie nauki tkwią już głębokie myśli podstawowe, przemawia głosem donośnym w całym swym majestacie potęgą wiedzy ludzkiej. Widoczne jest również, że nauczanie jest fachem, do którego potrzeba sumiennego i dobrego przygotowania” (to z „Dydaktyki ogólnej” – przyp. M.C.).

Zarzecki twierdził, że jedynie ukończenie instytutu pedagogicznego gwarantuje właściwe formalne przygotowanie przyszłego pedagoga, a doskonałe przygotowanie do wykonywania zawodu oraz nienaganne cechy moralne zagwarantują odpowiedzialne przygotowanie nowego pokolenia do wypełniania „polskich obowiązków”. Innymi słowy – gwarancją dobrej szkoły jest dobry, starannie przygotowany nauczyciel-idealista, który z idei uczyni treść swego życia.

Obok zagadnień dydaktycznych oraz pedeutologicznych ważną kwestią według Zarzeckiego jest kwestia systemu szkolnego, który jako forma organizacji narodowej oświaty nie może istnieć bez ingerencji państwa. Czynniki społeczny i państwowy powinien być reprezentowany w jednakowej mierze. System szkolny jest „szkołą społeczeństwa całego, jako wyższego wytworu życia”.

Zarzecki twierdził, iż warunkiem sprawnego funkcjonowania dobrego systemu oświatowego jest powszechny dostęp do szkół – niestety nie realizowany w jego czasach w sposób wystarczający.

Postulował ponadto kreowanie szkoły na „niezbędny środek życia społecznego” oraz jako potężnego narzędzia rozwoju społeczeństwa oraz instytucji posiadającej „moc duchową”. Szkoła powinna dać podwaliny dobrego charakteru i odpowiedzialności.

I wreszcie esencja: „Człowiek i jego natura, charakter człowieka jako cel wychowania – oto są kierownicze podstawy. Szkoła służy człowiekowi – nie człowiek szkole, a tam, gdzie jedna szkoła przygotowuje do drugiej, tam istotne interesy żywego wzrostu kiełkującej rośliny nie mogą być, jak wykazują fakty, brane pod uwagę. Zastępują je czynniki uboczne, motywy formalne”. (cytat pochodzi również z mojej ulubionej „Dydaktyki ogólnej” – wcześniej cytowanej, przyp. M.C.).

Niestety, Lucjan Zarzecki pozostaje dziś pedagogiem zapomnianym w środowiskach narodowych, a jeśli wspomnianym, to w tendencyjnym kontekście – jak w kuriozalnym tekście „Nacjonalistyczne koncepcje wychowania we współczesnej myśli i narodowo-radykalnej”, którego autorem jest niejaki Dominik Figiel, a treść mija się z szumnymi założeniami tytułu.

Próbowałam ratować dobrą pamięć o Lucjanie Zarzeckim, ale widać to ciągle za mało. Środowiska narodowe nie eksponują jego dorobku, poglądów, nie powołują się na jego dzieła. Po II wojnie światowej jego prace pedagogiczne nie były wznawiane – choć przecież od ponad dwóch dekad można to było uczynić kilkakrotnie w trosce o wzorce dla przyszłych nauczycieli odpowiedzialnych za edukację patriotyczną.

To Zarzecki podkreślał, że jedną najważniejszych stron nauczania jest przygotowanie przyszłego obywatela do wystąpień publicznych, pielęgnowanie mowy ojczystej nie poprzez przekazywanie schematów à la Kwintyliana, lecz naukę praktyczną, zaś swoboda wypowiedzania się powinna być „zagwarantowana jak przy nauce rysunku”.

Zaznaczał również, iż doktryny pedagogiczne wyprzedzały nieraz o setki lat „praktykę życia”, a skostniała koncepcja szkoły – w tym oceniania postępów w nauce może być zabójcza zarówno dla misji nauczyciela, jak i dla normalnego funkcjonowania ucznia.

Dzieła Zarzeckiego powinny znaleźć się na elementarnej liście lektur dla nauczycieli, dla których przekazywanie wiedzy i wychowanie jest wartością nadrzędną.

Podaruj im godzinę!

Felieton, piątek, 21, sierpień 2015 12:12

„Wakacjusze” beztrąsko powracają do domów. W czasach szczególnych zagrożeń, a tym bardziej, jeśli bawili się w „dolce far niente” na egzotycznych plażach, w przesadnych hotelach i pływali w basenach w bliskości mórz oraz oceanów, nie zwiedziwszy wnikliwie okolicznych zabytków i miejsc pamięci, wracają szczęśliwie.

Za naszych czasów nie można już ot tak po prostu wracać, nie okazując nawet wdzięczności za szczęśliwy powrót. Proponuję, by każdy z powracających ofiarował choćby JEDNĄ godzinę swego życia na rzecz przebywających w hospicjach terminalnie chorych. Wrócił bowiem szczęśliwie, nie doświadczywszy ataku terrorystów albo poważnego uszczerbku na zdrowiu!

W ofierze potrzebującym jedna godzina ocalonego życia – czy to tak dużo? Po prostu po powrocie z wakacji, zamiast zmarnotrawić nie tylko JEDNĄ GODZINĘ, ALE NAWET WIELE, zamieszczając zdjęcia na Facebooku, wystarczy dowiedzieć się, gdzie jest najbliższe hospicjum oraz w czym można być tam pomocnym.

Dać wreszcie coś z siebie w konfrontacji z niewyobrażalnym cierpieniem! Tak, dokładnie. Pójść do hospicjum i przez godzinę побыć z samotnym, cierpiącym człowiekiem. Pomóc pielęgniarkom i wolontariuszom. Poczytać chorym, opowiedzieć coś, a nawet umyć w hospicjum podłogę. Ofiarować godzinę cierpliwości i współodczuwania. Potrzytać za rękę samotnego i cierpiącego. Podtrzytać kubeczek ze słomką, cierpliwie, aż chory napije się wody. Koić głosem, pomóc w przygotowaniu posiłków i roznoszeniu ich.

To rodzaj wolontariatu dziękczynnego – może po zderzeniu wakacyjnej beztrąski z sednem życia hospicyjnego okaże się, że taki jednorazowy ofiarodawca „na godzinę” stanie się wolontariuszem długoterminowym?

Ocalały, ocalała wraca z wakacji. Błogość, że akurat jemu/jej to zostało dane. Łańcuszek dobra ma to do siebie, że jeśli spotkało nas jakieś dobro, przekazujemy je komuś innemu, nie darczyńcy na siłę w ramach desperackiego rewanżu, tylko autentycznie potrzebującemu. Człowiek w każdej chwili swego życia przygotowuje się mniej lub bardziej świadomie na śmierć, przez cały czas swego ziemskiego istnienia, więc cóż ta jedna jedyna godzina? Może będzie ona – dla wielu - esencją ich człowieczeństwa? Może nauczy ich pokory? Może wypłeni egoizm? Może uświadomi ich bezsilność? Oduczy trwonienia słów? Pokaże, jak godnie można wchodzić w wieczność. Taka godzina czynnej modlitwy połączona z czujnym pielgrzymowaniem przy łóżku chorego w stanie terminalnym.

Oddać godzinę swego życia umierającemu. I nie chwalić się „na Facebooku” albo „na blogu”.

„Nemo beneficia in calendario scribit” – „Nikt nie zapisuje dobrodziejstw w kalendarzu” – czyż nie tak pisał Seneka w rozprawie „O dobrodziejstwach”? Człowiek SZCZERZE szlachetny nie będzie się głośno domagał nagrody/gratyfikacji – choćby poprzez pochwałę - za dobrodziejstwa. Ci, którzy się dopraszają (a to przecież powszechne), budzą przepastny smutek politowania

Skorupa czy tarcza?

Felieton, poniedziałek, 17, sierpień 2015 18:55

Zbliża się kolejny rok szkolny 2015/2016 – a wraz z nim odnawiają się lęki nauczycieli, rodziców oraz uczniów. Przypomnijmy zatem cechy dobrego nauczyciela. Potrzebujemy wzorców. Tęsknimy. I nie ma powodu, by to ukrywać.

Jakiego? Takiego z prawdziwym powołaniem. Składam głośno życzenia: niech nauczyciele odnajdą owe cechy w sobie, a uczniowie w swoich nauczycielach! Należą do nich: wiarygodność, intuicja, nieustanne odkrywanie, rozwijanie własnych poglądów. Ponadto indywidualność, chęć doskonalenia wewnętrznego, dojrzałość psychiczna i moralna. Szukamy więc ideału! Rycerza z mieczem i tarczą!

Współcześnie od nauczyciela wymaga się, aby był dobrym specjalistą, budził w młodzieży motywację do nauki i zainteresowania, umiał korzystać w pracy z udogodnień (uwaga, zaczynam za mocno teoretyzować!). By miał otwartą postawę. Niech jednak nie wpadnie w pułapkę tolerowania relatywizmu i osobowego zła. By był dobrym doradcą zarówno uczniów jak i rodziców. 30 sierpnia szykuje się ogólnopolska manifestacja przeciwko deprawacji dzieci w szkołach. I tam koniecznie bądźcie!

Swego czasu, w jednym z felietonów napisałam, że chciałabym być nauczycielką A.D.1931. Odwołuję! Chciałabym być nauczycielką w latach 1918-1939, a potem na tajnych kompletach. Nie teraz! To dopiero czasy zniewolenia!

Przełykam łzę i snuję dalej. Dobry nauczyciel i pedagog to człowiek prawdziwy o wysokich walorach moralnych (kto to sprawdzi?), szanujący osobistą godność własną i uczniów. Od razu przypomina mi się opis księdza-nauczyciela z powieści Kornela Makuszyńskiego „Panna z mokrą głową” , który przytaczam ilekroć ktoś żąda ode mnie natychmiastowo syntetycznego opisu nauczyciela z powołaniem:

„Mówił jej o pszczołach i o ptakach, i o tym, że najmniejsza trawka cierpi i że gwiazdy śpiewają złotymi głosami, aby się spracowanej ziemi słodko spało. Opowiadał jej o Panu Bogu tak ślicznie, że oczarowana dziewczynka patrzyła na zapyłone słońcem pola i łąki, szukając oczami tego Pana Boga, co chodzi po miedzach, kiście kłosów bierze w drżące dłonie i bada, czy w nich jest dość ziarna, aby głos nie przyszedł na ludzi, potem jedynym skinieniem odgania chmury jak ciężkie brunatne krowy, co leżą

nierozumnie w szkodę, albo czasem krzyknie na pioruny, jak na złe psy, aby poszły sobie precz i biednej wiosce nie czyniły krzywdy”.

Ilu takich znamy? Ilu takich nas uczyło? A ilu takich - jeśli zajmujemy się kształceniem nauczycieli – będziemy w stanie przygotować? Dobry nauczyciel wnosi „wartości moralno-wychowawcze, dążenia i cele dotyczące konkretnych, codziennych zadań i funkcji, profesjonalizm, aspiracje do twórczości i innowacyjność”. To i tak mocno uładzony język pedeutologii. Ideał pedagoga-przyjaciela świadomego swojej roli łączy artyzm z pasją. Siłaczki i Siłacze (bo jak miałyby brzmieć rodzaj męski) łączcie się w dążeniu do ideału!

Świetny nauczyciel oraz pedagog powinien się odznaczać skromnością – choćby i stroju. W tym jakże silny musi być element samokrytycyzmu. Pragnie zaskakiwać starannością, systematycznością, uczciwością, wyrozumiałością oraz wytrwałością. Karuzela zalet wiruje coraz szybciej. Tylko czy zwykły człowiek nadąży?

Może trzeba znów sięgnąć do pedagogiki pozytywistycznej? Wówczas nauka i wykształcenie zostały uznane za najważniejsze czynniki zmieniające mentalność społeczną. W obliczy braku bytu państwowego, myśl pedagogiczna pozytywistów koncentrowała się przede wszystkim na upowszechnieniu kształcenia elementarnego. W Polsce już na tym etapie zagrożenie demagogią gender już się dokonało.

Bzdurne, okrojone podręczniki pozbawione duszy. Pozornie ubogacane co roku na korzyść nauczyciela oraz ucznia. Kolorowe, ale smutne. Tylko kilka z nich można przekazać młodszemu rodzeństwu albo odsprzedać w bazarowej budce.

Pozostaje jeszcze pisanie programów autorskich – tyle, że niewiele z nich pokona skorupę. „Beton” jak mówiono jeszcze kilka lat temu z okładem.

Niepraktyczne przepisy praktyczne?

Felieton, piątek, 14, sierpień 2015 14:25

W okresie międzywojennym Czytelnik wymagający (lub nie) zasypywany był mnogością „recept gospodarskich”, które miały mu ułatwić funkcjonowanie w życiu codziennym.

Praktycznie w każdym podstawowym wykazie znajdowały się rady dotyczące „pielęgnowania” pereł. Najbardziej w pamięci utkwiała mi recepta dotycząca „pereł prawdziwych” – jeśli przybrudzone, należy je włożyć w płócienny woreczek, przesypać solą, zawiązać i póty płukać w letniej wodzie, dopóki sól się nie rozpuści, suszyć w

zwykłej temperaturze. W tych czasach recepta „gospodarska” dotycząca pereł dotyczyłaby zapewne surowego napomnienia, by nie rzucać ich między wieprze.

Czyż prawy człowiek „rzucony” do parlamentu nie będzie niczym perła między wieprze?

Inna przedwojenna rada: atramenty sympatyczne, „zanikającego napisania” uwidocznić może tylko wtajemniczony. Jeśli napisać list mlekiem lub sokiem cytrynowym, można go będzie odczytać po odgrzaniu i pismo po ostygnięciu zniknie.

Seryjne samobójstwa w piątek, zastraszanie bez świadków, wypieranie się ewidentnych dowodów w zbiorach IPN – czyż nie jest to nowoczesna odmiana pisania rzeczywistości „atramentem sympatycznym”?

Rada kolejna: Odór z naczyń kamiennych usunie się wykadziwszy je siarką.

Teraz wartości są tak degradowane, że aż zaczynają śmierdzieć. Czego aż trzeba, by odzyskały dawny zapach?

Oto dawne rady dotyczące os – gdy bowiem ich ukąszenie nazbyt przykre, należy miejsce bolesne natrzeć natką pietruszki, a ból zaraz minie i miejsce nie spuchnie.

W naszych czasach niektórzy nacierając ciała pietruszką (co by to nie znaczyło) próbując zagłuszyć ból sumienia.

Kolejna przedwojenna rada: plamy tłuste na podłodze, świeżo zrobione olać należy natychmiast zimną wodą. Tłustość od razu skrzepnie – mówiąc językiem epoki.

Jakże łatwo dziś łatwo będąc politykiem sprowadzić sobie drogi detergent do usuwania plam na honorze!

Przedwojenna rada kolejna: Szklankę myć najpierw w gorącej wodzie i zaraz płukać w zimnej, a będą zawsze przezroczyste.

W naszej rzeczywistości mało który polski polityk jest krystalicznie przezroczysty, popełniwszy kardynalny błąd – bo cóż mówić o trywialnej gafie, nie umie nawet honorowo podać się do dymisji.

Następna rada z lat dwudziestych i trzydziestych: Złote przedmioty zbrudzone namoczyć w benzynie na parę godzin, a zupełnie się oczyszczą.

Teraz problem byłby z Midasami polskiej polityki. Nakradli się, nachapali. Jak bowiem oczyścić się z pazerności, gdy lepka jak brudne, midasowe złoto? Kto przez ostatnie lata umazał się w chciwości, lepił od małoduszności i zachłanności, od prywaty i groszorbstwa?

Na półkach księgarń naszych czasów (nawet jeśli są one coraz bardziej internetowe) roi się od poradników napisanych przez doradców i specjalistów od uszczęśliwiania. Niektórzy z nich to politycy. W końcu kto daje „dobre rady” częściej od nich?

Ziarenka piasku

Felieton, poniedziałek, 10, sierpień 2015 12:49

Doświadczenie pustyni, raz rozpoczęte trwa przez całe życie, nawet jeśli już nie czujemy rozgrzanego piasku pod stopami, a choćby i to był piasek metaforyczny!

Byli i tacy, którzy przez setki lat na pustyniach Północnej Afryki szukali pogłębienia wiary oraz modlitwy. Początki monastycznego ruchu pustynnego sięgają bowiem czasów świętego Antoniego z Egiptu, a młodość jego przypadała na okolice roku 250-go. Otrzymawszy w spadku ogromny majątek rozdał go ubogim, po czym zaczął obserwować ascetów i pustelników, aż w końcu sam oswoił pustynię.

Wielu mnichów pragnęło później naśladować św. Antoniego, niektórzy z nas też może chcieliby ale lęk jest wymagającym władcą i kończy się na drobnych aktach dobroci niezobowiązującej, hoho! – sumienie – pozornie – tak wypolerowane.

Ci, którzy mają potrzebę nieustannego wyrzekania się, przebywają praktycznie przez cały czas na pustyni i wcale nie muszą górnolotnie swojego doświadczenia nazywać, bo słowa są zbędne.

Lęk też jest doświadczeniem pustyni, ale tak przeraźliwym i dającym wrażenie upiornej ponadczasowości. Lęk przed chorobą Alzheimera i przed rozwijającym się rakiem, lęk o najbliższych, lęk przed prześladowcą czy lęk przed nieuchronnością wojny.

A świadomość pamięci międzypokoleniowej, ta przedziwna świadomość, że nosimy w sobie – choćby fragmentaryczny cień – uczynków naszych przodków i choć nie mieliśmy na to żadnego wpływu, ona też w jakiś sposób determinuje nasze uczynki?! Doświadczeniem pustyni jest amnezja, utrata nienarodzonego dziecka oraz dziecka narodzonego, gdy rodzic przeżyje swojej własne dziecko i będzie płakał na jego pogrzebie.

Także jednak świadomość krzywdy, jaką wyrządzali oraz wyrządzają dalej Polsce liczni politycy, przekonani o jakimś wyimaginowanym charyzmatycznym uskrzydleniu skrajną głupotą oraz świadomym zło-czynieniem. Doświadczeniem pustyni jest także gniew, gdy drobne incydenty nabierają gigantycznych kształtów, pogrążając wyolbrzymione uszy oraz oczy w pustynnym piasku.

Mało tego: doświadczenie pustyni w wersji najnowszej z rozpaczy można utrwalić na kawałku papieru. Może tak: Pustynia wypluwa mnie i wchłania. Ziarenka piasku, ziarenka wspomnień wdzierają się pod powieki. Tyle, że każdy teraz jest pisarzem i poetą (najlepiej w Internecie), krytykiem literackim, nieomylnie opiniotwórczym (bo sam siebie za takiego uważa), tylko Czytelnik cichy i skromny, jakby pustynny piasek go przysypał.

Doświadczenie pustyni może być też stanem pewnej trudnej doskonałości, wyrazem tęsknoty za Niebem i nadzieją na wyzwolenie od cierpienia.

Nie mnie wytyczać odkąd-dokąd należy liczyć i mierzyć doświadczenie pustyni, czy jest ono ekstremalną formą cierpienia, czy uduchowionej tęsknoty. Marny ten piasek na sierpniowej plaży, skoro powoduje u wielu otępienny niebyt myślenia. Może chociaż dziecięca wersja „Małego Księcia”, która właśnie weszła na ekrany kin spowoduje ziarenka dobrych uczynków...

... skoro ani prawdziwa pustynia, ani metaforyczna nie robi już na nich żadnego wrażenia?

Z dziejów ZNP: od nagonki na Kościół do obrony gender

Felieton, czwartek, 06, sierpień 2015 14:16

Pasjonaci dziejów minionych mają tendencję do teleportowania się w wyobraźni do wybranej epoki i pozostawiania w niej nie doszukując się zgubnych wpływów na naszą teraźniejszość lub nie mają po prostu ochoty porównywać zdarzeń pozornie oddalonych od siebie, a ukazujących dobitnie continuum fałszu i dwulicowości.

Z jednej strony, tkwiąc dziś w kresowych realiach pedagogicznych lat trzydziestych próbuję przełamać tę passę, z drugiej – irytuje mnie latem tzw. sezon ogórkowy – w tym dotyczący tego, co dzieje się w edukacji i wychowaniu.

W przypadku Związku Nauczycielstwa Polskiego zastanawia pewne continuum dziejowe, które miało swój początek 21 grudnia 1936 roku. W Świącianach, 60 km od Wilna rozpoczął się tego dnia zjazd ZNP, podczas którego wielu straszliwie oburzonych uczestników zaczęło komentować wręcz z oburzeniem kazanie ks. Bolesława Gramsa – prefekta miejscowego Gimnazjum Państwowego i szkoły ćwiczeń (To oryginalny zapis ówczesnej nazwy szkoły – przyp. M.C.).

Streszczenie samego kazania ukazało się na łamach poczytnego miesięcznika „Sprawy nauczycielskie” (Rok VIII, Wilno-Grodno, nr.4/1936):

„Wczoraj odbył się w Świącianach Zjazd Związku Nauczycielstwa Polskiego, zaznaczam, iż Zjazd ten był przeciw Bogu, Chrystusowi i religii. Mimo, że zjazd ten był z okazji 15-lecia nie rozpoczęto go nabożeństwem. Byłbym złym kapłanem, gdybym Wam nie powiedział, że członkowie tego Związku to są bolszewicy, komuniści, którzy boga nie uznają, walczą z religią i Chrystusem, chcą zgubić Polskę. Pod białą maską Związku Nauczycielskiego, kryje się czerwona maska bolszewicka. Oświadczają oni, że nie walczą z bogiem i religią, lecz tylko ze złymi kapłanami, ale to tylko płaszczyk, pod którym kryje się walka z religią katolicką. Dzisiaj wieczorem o godzinie 5-tej odbędzie się konferencja wychowania moralnego, na program której złożą się: nabożeństwo za waszych wychowawców, o nawrócenie ich na łono Kościoła, a potem konferencja wychowania moralnego. Na konferencję zapraszam waszych rodziców i wszystkie osoby zainteresowane tą sprawą. A teraz klękajcie wszyscy i zmówmy modlitwę za nawrócenie waszych nauczycieli.”

Prezydium Zjazdu napiętnowało treść kazania wygłoszonego przez ks. Gramsa jako przykład metody walki Kościoła ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, a tym samym ataku „w interes Państwa Polskiego” , „poderwania” autorytetu nauczycielskiego i stworzenie „przepaści między wychowawcą a dzieckiem”. Członków ZNP rozwścieczyło twierdzenie, że „nauczyciel polski jest rozsądnikiem komunizmu”. Zarzucili ks. Gramsowi, że był „wyzutym ze wszelkich skrupułów, uczciwości i godności przykładem wychowawcy i kapłana Polaka”. Krzyczeli w jego obecności „Precz z Rzymem!” albo grozili ks. Prefektowi, że zedrą z niego sutannę. Szkoda, że ten wstrząsający przykład nagonki na Kościół i polskiego księdza - żarliwego patrioty odszedł w zapomnienie!

Tylko „Dziennik Wileński” oraz onerowkie „Jutro” napiętnowały nauczycieli – członków ZNP jako bezbożników, którzy nie angażowali się tak intensywnie w walkę o los dziecka polskiego, wynaradawianego podczas zaborów oraz nie walczyli wystarczająco skutecznie z analfabetyzmem.

Ks. Grams został zawieszony przez władze szkolne w czynnościach prefekta. W dwa dni później wygłosił kolejne kazanie do nielicznej już grupy uczniów obecnych podczas nabożeństwa szkolnego, podczas którego przedstawił im stanowisko księdza arcybiskupa metropolity wileńskiego Romualda Jałbrzykowskiego:

„(...) a on nie tylko nie zganil, lecz nawet pochwalil. Bo ja mam tylko jedną władzę, a nią jest arcybiskup. Słuchajcie swoich wykonawców we wszystkim, lecz jeśli byście chcieli poróżnić z klerem, z Kościołem czy z Bogiem, to ich nie słuchajcie, choćby to był kurator lub minister”.

Jak potoczyły się dalsze losy Ks. Gramsa? Po wydaleniu z parafii w Świącianach był przez miesiąc wikarym przy białostockim kościele Farnym. Dał się białostoczanom poznać jako gorliwy kapłan i konferencjonista, przez wielu wspomniany był nawet po wielu latach, a następnie wyjechał do Warszawy w celu uzyskania stopnia naukowego przy warszawskiej Wszechnicy.

A Związek Nauczycielstwa Polskiego? Przetrwiał II wojnę światową, czasy głębokiej komuny, odwilży, znów komuny, stan wojenny i świetnie się miewa do dziś. Dwa lata temu skierował list do Minister Edukacji Narodowej, Rzecznika Praw Obywatelskich oraz Rzecznika Praw Dziecka z prośbą o zajęcie jednoznacznego stanowiska wobec „aktów agresji” wymierzonych w nauczycielki i nauczycieli realizujących tzw. edukację równościową, czyli (co za oburzenie – przyp. M.C.) – zajęcia w oparciu o aktualne rozporządzenia MEN-owskie i obowiązującą podstawę programową. ZNP zaprotestowało też wówczas przeciw „nieodpowiedzialnym wypowiedziom pseudoekspertów bez wiedzy pedagogicznej etc. etc. Krytykujących ostro edukację pro genderową. I w tej oto konwencji cała pseudoargumentacja...

Rozumiem z tego wyvodu, że to ZNP dysponuje absolutną wiedzą pedagogiczną, wypisując przy tym w oświadczeniu, że programy równościowe służą przed wszystkim nauczycielom i rodzicom. Tylko dlaczego ofiarami tych programów są właśnie dzieci?

Zwróćmy uwagę, że o gender mówi się coraz mniej, podobnie jak o antykościelnych i działaniach wypowiedziach wielu nauczycieli, ale czy temat wysycha? Wakacje to przecież nie czas gwałtownej amnezji!

Drzwi zamknięte

Felieton, piątek, 31, lipiec 2015 13:11

W okresie międzywojennym mawiano, iż matki powinny drobiazgowo przygotowywać swe córki do życia dorosłego, wykonując wspólnie wszystkie najważniejsze czynności. By żadne dziewczę, po zamęściu nie okazało się zagubione stawiając czoło codziennym obowiązkom w gospodarstwie domowym. Matki nierozsądne były odpowiedzialne wówczas za oszczędzanie córek od wszelkiej pracy – podobnie jak w naszych czasach!

W okresie międzywojennym panie z towarzystwa, prowadzące ochronki albo przygotowując - niczym matki zastępcze - osamotnione dziewczyny do mądrego funkcjonowania po zamęściu tworzyły też przy szkołach początkowych szkoły gospodarstwa domowego, gdzie podopieczne uczyły się teoretycznie i praktycznie tego wszystkiego, co jako żonom oraz matkom praktycznie miało im być potrzebne. Tam też nabywały dziewczęta zamiłowania do porządku, czystości, skromności w jedzeniu i ubieraniu się, roztropnego wykorzystania choćby na pozór nieużytecznej rzeczy.

Ich mistrzynie mawiały, że „po siedmiu latach tłustych może nastąpić siedem lat chudych” i powinno się być przygotowanym na każde okoliczności. Twierdziły, iż mądra, zamężna kobieta starać będzie się o przyjemne spędzenie każdej chwili z domownikami. Podkreślały, iż pożycie małżeńskie stanie się szlachetne jeśli małżonkowie będą wzajemnie się kształcić, czytać razem książki dostosowane do ich

poziomu umysłowego i dyskutować wspólnie nad lekturami. Normalny dom stanowił miejsce serdecznej atmosfery wypoczynku! A ile takich domów jest teraz?

Cechą dobrej gospodyni miała być zapobiegliwość, oszczędność troska o przyszłość, a wszystko powinno być spełnione z rozsądną miłością i ujmującą łagodnością. Mądra matka czasów II RP miała za zadanie dobrze wychować dzieci i wychowanie ich było elementem odbudowy Ojczyzny. W tym kontekście myśl ks. Konarskiego „Jakich sobie wychowa, takich będzie mieć Rzeczpospolita obywateli” jest słuszną ilustracją wychowawczą.

Niezbędnym w ówczesnym wychowaniu narodowym – bo do niego zmierzam - było wychowanie religijne – mawiano. To nie tylko reinterpretacja „Dziesięciorga przykazań”, lecz rozumienie dogłębne nakazów Kościoła i wprowadzenie ich w życie.

W rodzinach tradycyjnych istniała równowaga między dedykowanymi dziecku obowiązkami i przyjemnościami. I tu dygresja – zakotwiczona w realiach lat dwudziestych i trzydziestych minionego wieku zauważyłam, że zdarza mi się używać poetyki tamtych lat (przyp. - M.C.), proszę zatem P.T. Czytelników, by nim zgromią mnie za niezręczności językowe przez chwilę zastanowili się, czy przypadkiem nie zwycięża niegdysiejsza maniera językowa.

W okresie międzywojennym kładziono nacisk na skromność w piśmie i mowie. Dzieci, którym zdarzyło się używać słów ordynarnych albo nieprzyzwoitych były natychmiast karcone. Dbano, by nie wpadały w gniew i demonstrowały postawy roszczeniowej.

Rodzice starali się unikać niewłaściwego wyrażania się i wzajemnych kłótni, by dzieci nie przyswoiły sobie wad. Dbali, by ich latorośle nie przebywały w nieodpowiednim towarzystwie. Nie pozostawiano dziewczynek samych w towarzystwie mężczyzn. Nawet lekcje tańca odbywały się pod okiem osoby z zewnątrz.

Celestyna Staszkiwicz-Podlisiecka, autorka fundamentalnego dzieła „Współdział szkoły i domu rodzicielskiego w wychowaniu dzieci” podkreślała, iż „zabójczym dla umysłowego i duchowego” rozwoju dzieci jest kino, które podsycalo dziecięce zmysły, pokazywało przykłady unikania sprawiedliwości, sposoby okradania krzywdzenia, zdrady, przebiegłości, zbytków, rozrzutności. Rozbudzało fantazję. W kinach początku lat dwudziestych istniał restrykcyjny zakaz wpuszczania widzów mających mniej niż szesnaście lat.

Śmiećcie się, śmiećcie szydercy (bo nie użyję trywialnego słowa „hejterzy”) z mojej archaicznej pasji przebywania w innych realiach niż obecne. Świat piękna oraz ideałów (choćby wychowawczych) jest zamknięty dla tych, którzy z ironii, szyderstwa i bezwzględnej agresji słownej próbują uczynić broń.

A tak przy okazji – szyderca to człowiek chory, wyniszczający sam siebie od środka. Po kilku latach nie działają już żadne środki przeciwbólowe, w tym - nawet postępująca nienawiść do samego siebie.

Polka szanowana?

Felieton, wtorek, 28, lipiec 2015 15:57

Przez wzgląd na Matkę Boską i na własną matkę Polak winien otaczać szacunkiem kobietę – powtarzam po wielokroć. Piszę o tym i choć słowem, staram się o to walczyć

To nieodzowny element naszej kultury narodowej. Potrzebna jest świadomość w czasach, gdy po raz kolejny jest zagrożona, a rodzice – zamiast wychowywać, zapisują się na różnego typu kursy oraz szkolenia z rodzicielstwa, z których i tak najczęściej wychodzą rozczarowani.

Historia czyni ukłon w stronę Polek-patriotek, które godnie wypełniały swą misję w czasach zabiorów, wojen światowych, czasów komuny i stanu wojennego. Szacunku nie mylmy jednak z kurtuazją, choć jedno nie wyklucza drugiego.

Moje „skrzywienie” (czyt. ”wyprostowanie”) w kierunku łaciny klasycznej sprawia, że w myśli wyświatlam sobie – a brzmi to jak tekst reklamowy: „Maior reverentia e longinquo” – innymi słowy „Majestat wzbudza większy szacunek na odległość”. Spece (na czele z Tacytem) przypisują ową myśl cesarzowi Tyberiuszowi, który powziął decyzję o pozostaniu w stolicy, nie spoufalaniu się z poddanymi, byleby jego szanowny autorytet nie poniósł najmniejszego uszczerbku. Tyberiusz Tyberiuszem, a nam pozostaje przywłaszczyć intencję dla celów współczesnych.

Kwestią najwyższej wagi jest szacunek wzajemny. Dobro wzajemne. Bezwarunkowe. Jeśli mężczyzna szanuje kobietę sam sobie zapewnia codzienną normalność.

Jedna kropla i oliwa wylana! Od złości do przemocy słownej, od pojedynczej uszczypliwości bez świadków do „brudogennego” wylewu hejtu w Internecie. Wstrętne!

Sztuka prawienia inteligentnych komplementów dawno wymarła, a niektórzy mają nawet problem z elementarnym pojmowaniem słowa „szacunek”!

A owa kwestia sięga jeszcze czasów dzieciństwa – zaniedbania rodzicielskie z tego okresu rzutować będą na „dorosłe” postrzeganie kobiety przez mężczyznę. Może ktoś mu umożliwił wyłącznie czerpania całymi garściami na wesoło i zabawowo, a nie nauczył go od małości obowiązków? Może nie czytał ze zrozumieniem prostych tekstów i nie słuchał elementarnych lekcji człowieczeństwa. Ot, taki zapomniany

wierszyk Marii Konopnickiej (a swoją drogą patronka mojej nieistniejącej już szkoły podstawowej do której zachowałam szczególny sentyment):

(...) Szanuj, drogie dziecię moje,

W małym ziarnku przyszłe plony

W małej kropli – przyszłe zdroje,

W szelągu – miliony,

W każdej myśli – zaród czynu,

A sam w sobie szanuj, synu

Przyszłego człowieka.

Niestety, w ramach „suplementacji” edukacyjnej dla dziewczynek i pouczenia jak mają w przyszłości postępować wobec mężczyzn, tego Konopnicka nie uwzględniła. Pozostaje dziewczynkom żeńska wersja „Kto ty jesteś” lub „Andziu, nie rusz” Stanisława Jachowicza.

Gromkim głosem powtarzam, iż niewielu jeszcze szlachetnych mężczyzn pozostało w moim przegranym pokoleniu. Ci szlachetni ocalali są na szczęście stali w funkcjonowaniu pośród wartości i reszta powinna zapisać się do nich w kolejkę po prywatne nauki. Cała nadzieja w młodym pokoleniu.

Kardynał Stefan Wyszyński pisał: „Gdy wchodzi kobieta, poskrom swoją męską dumę i wstań, choćby to była siostra, która ma napalić w piecu”. To tylko przykładowy cytat ze skarbnicy mądrości.

Może już wkrótce powstanie tekst pełen budujących przykładów okazywania szacunku? Nie chodzi o przechodnie prezenciki czy inne zapychacze rzeczywistości, o zdawkowe zainteresowanie, tylko o SZACUNEK.

Choćby i taki, który objawia się w uczciwym postępowaniu i dotrzymywaniu danych kobiecie obietnic. Krzywoprzysięzca i kłamca to nie facet. To genderowa popłuczyna.

Wstyd?

"Pierścień Wielkiej Damy" – bis

Felieton, niedziela, 26, lipiec 2015 11:27

Informacje z Wikipedii nie zawsze są wiarygodne. Niemniej jeśli bohater biogramu uważa, że podane na jego temat informacje pochodzą z nieprawdziwych źródeł, dyskredytują jego osobę lub nie życzy sobie upubliczniania informacji z życia prywatnego - wówczas reaguje natychmiast.

Właśnie zapoznałam się (co za okrutny czasownik!) z tzw. wywodem genealogicznym – jak widać nie zanegowanym jako nieprawdziwy - zamieszczonym na Wikipedii. Kwestia dotyczy niejkiej Anny Dembowskiej (panieńskie) ur.1953, córki Hany Rojer vel Józefy Deptuły, wnuczki Estery Rojer (data urodzin nieznana - zm. 1942) i Wolfa Rojera (data urodzin nieznana – zm. 1942).

Wszyscy wnikliwi P.T. Czytelnicy znają ten biogram oraz jego skutki w rzeczywistości już od dobrych kilku lat, a w kontekście określeń „pierwsza dama”, „ustępująca pierwsza dama” , „wielka dama” czy też po prostu „tytułarna dama” (którą się jest na trochę) a „prawdziwa dama” (która jest prawdziwą damą na zawsze) tym bardziej.

A zatem w czasach nadinterpretacji zjawiska „damą być” może warto przyjrzeć mu się z zupełnie innej perspektywy.

To od mojej Babci, która damą była zawsze i taką pozostała w pamięci bliskich oraz dalszych po raz pierwszy usłyszałam o słynnej tytułowej białej tragedii Norwida (bez bis rzecz jasna). Wielka Dama jako symbol – tu oddałam się na moment od kontekstów literackich - jest dowodem na nurt szlachetności (nawet jeśli to wysychający strumyk) danej epoki, nurt traktowany jako nieistotny. Nie mówię o wielkich damach zwanych „pierwszymi damami”, bo są one przypisane tytułowi funkcyjnie albo instytucjonalnie – powtórzę to raz jeszcze z całą mocą.

Przed laty była w Polsce pewna primabalerina, która powróciła do Polski nagle, pozostawiwszy za sobą Wielki Paryż. Po powrocie nie od razu zrezygnowała z francuskich numerów rejestracyjnych niepokojąco długiego i błyszczącego pojazdu. Olśniewała eleganckim strojem, niewymuszonym urokiem, szlachetną urodą, gracją ruchów.

Odeszła nagle. Jak kobieta-motyl w rękach marionetkarza z filmu „Podwójne życie Weroniki”.

Wielu w felietonach i wywiadach nagle zaczęło deklarować długoletnią znajomość ze zmarłą, setki pogłębionych rozmów na koncie – oczywiście o sprawach osobistych, przemijaniu. Ktoś natychmiast - by skompromitować nawet post factum - upublicznił jej mocno zmazane, ale jakże osobiste zdjęcia. Ktoś w blasku fleszy zadeklarował, że jest w

posiadaniu czerwonej podwiązki, która rzekomo do Damy należała. Tyle, że wszystkie te i inne rekwizyty, rzekomo psujące nienaganny wizerunek były „wyprodukowane”, by zszargać jej dobre imię. Znamy takie działania z czasów głębokiej komuny, z czasów solidarnościowych – a jak jest teraz? Dalej w różnych środowiskach atakowani są ludzie uczciwi, a „Dyzmo-gnidy” (uwielbiam tworzyć neologizmy!) zawsze się wywiną.

Dygresja: do 1939 roku tendencja była taka: im postać ze świata artystycznego, bardziej na piedestale, wyidealizowana, nieosiągalna, tym była bardziej wielbiona, a przez wielbicieli otaczana prawie aurą świętości.

I tu muśnięcie Norwida, rzeczony biały dramat:

*„Rzecz główna, gdy kto istotnie przyjął
Jedne z owych postanowień, które
Całą reformują osobistość -
Stalość, według mego rozumienia,
Cennym, zaiste, jest klejnotem:
Lecz i ona oszukiwać może.
Bo na cóż stałym być względem komet,
Których odmieniły się obroty? - -, (kwestia Magdaleny)*

Od II wojny: co piękne i szlachetne jest publicznie deptane, ośmieszane, opluć i słowem skutecznie zbrukać. „Jeśli dobre i piękne, to po prostu nie istnieje albo istnieć nie powinno” -tak chyba myślą niszczyciele, tyle że bardziej wulgarnie .

Zło organiczne ma to do siebie, że wygrywa bitwy, ale przegrywa wojny.

Na pocieszenie jednak zostaje nam powieść Antoniego Libery „Madame” i niegdysiejsze, nieistniejące wzorce PRAWDZIWYCH DAM.

Erystyka zamiast plaży

Felieton, czwartek, 23, lipiec 2015 17:27

Czytanie Schopenhauera w upał ma swoje dobre strony. Zachowujesz jasność umysłu, gdy inni tkwią nieruchomo na piasku. Widzisz jeszcze dobitniej komizm wypowiedzi polityków, uważających się za nieomylnych oraz wiecznych na swych stołkach (Pytia to przy nich byt zakompleksiony!).

Schopenhauer to zaspokajanie pewnego głodu, wynikającego ze swoistej „bulimii intelektualnej” (przed laty zajmowałam się „bulimią emocjonalną”, a trzyma się teraz

od niej z daleka). Słynna „kartka w kratkę”, której przykładem posłużył się pewien mułowaty polityk, zaproszony do programu telewizyjnego w jednej ze scen filmu „Rys” już nie śmieszy, lecz przeraża, bo nie różni się od dziesiątek jemu podobnych.

Wielu specjalistów od wizerunku zajmuje się gorliwie fryzurą oraz strojem polityków, inni spece próbują nauczyć ich schematów mowy ciała, inni jeszcze z bezradnym uporem wykrzesują z nich dobrą dykcję, ale nikt, chyba nikt nie jest w stanie nauczyć ich erystyki, czyli mądrej sztuki prowadzenia sporów. Już nawet nie chodzi o to, by polityce czytali ze zrozumieniem i uporczywie ów *savoir-vivre* inteligentnego skakania sobie do oczu, ale by decydując się na wejście do polityki nie ośmieszali się na każdym kroku, manifestując bezdenną głupotę.

Owszem, zazwyczaj dosyć szybko zdradzają już z góry raz powzięty tok udziału w dyskusji, wybierając „kryzys finansowy” zamiast „bankructwa” albo „szeroko pojęte wpływy” zamiast „nepotyzmu i łapownictwa”. Cóż z tego, skoro zasób ich słów jest najczęściej tak przewidywalny, jak w książce „Szatan z siódmej klasy” metoda, którą posługiwał się profesor Gąsowski, odpytując swoich uczniów z historii.

Wygłaszają bardzo często twierdzenia paradoksalne nie po to, by wzbudzić podejrzliwość przeciwnika, ale dlatego, że ich wiedza – włącznie z wiedzą o kulturze, estetyce, retoryce, historii Polski jest po prostu płytka i panicznie boją się wchodzić w jakiegokolwiek polemiki pogłębione.

Jest taki „miły robaczek” w erystyce Schopenhauera, co się „*mutatio controversiae*” zowie.

Jaki „miły”? Nieuczciwy po prostu!

W gruncie rzeczy to „robaczek” lewicy: przerywanie merytorycznych dyskusji, dalekie od meritum dygresje na żywo i na ekranie. Hola, hola, to nie znaczy, że lewica rozumie Schopenhauera!

Można sto razy coś przeczytać i kompletnie nic z tego nie zrozumieć. Można wykupić drogi pobyt w egzotycznym kraju i kompletnie nic nie zwiedzić pozostając dzień oraz noc przy hotelowym basenie.

Presupozycje i performatywy kreują sztuczną rzeczywistość. Niektórzy dali się nabrać. W Pendolino i w tramwaju. Niektórzy dalej ją kreują idąc w zaparte. Obejrzyjmy uważnie jeszcze raz w Internecie spoty z tonącego okrętu...

Baryłeczka Danaid

Felieton, wtorek, 21, lipiec 2015 19:22

Minęły bezpowrotnie czasy, gdy wrażliwa i refleksyjna Polka sięga po piękną literaturę piękną. Dublet przymiotu nie jest tu bynajmniej przypadkowy.

P.T. Czytelnicy zechcą wybaczyć, że nie będzie to spodziewana kwestia. Wszyscy bowiem już piszą o polityce, a jakoś niewielu broni kultury oraz literatury. Ktoś musi jeszcze stać na warcie. Chyba, że rozjuszona polityka i jego zdmuchnie z powierzchni. Wyobraźni P.T. Czytelników pozostawiam ukryte aluzje polityczne, które niezależnie od woli felietonistki ze skrzywieniem kulturoznawczo-literackim i tak przecież w rezultacie się pojawią się.

Jako młode dziewczę zaczytywałam się (i to wcale nie z romanistycznych przymusów, bowiem znacznie wcześniej) w powieściach oraz nowelach Guy de Maupassanta. Pierwszym moim osobistym „odkryciem” była słynna „Baryłeczka” – pierwsze opowiadanie z cyklu „Wieczorów medańskich”. Przypomnę zdziwionym P.T. Czytelnikom jego treść - nim wyjaśnię finalną intencję.

Bohaterka noweli to dziewczę rubensowskich kształtów i leciusieńkich obyczajów. Przed nią podróż zatłoczonym dyliżansem. Musi jak najszybciej opuścić okupowane przez Prusaków Dieppe. „Baryłeczka” ma dobre serduszko, toteż dzieli się wygłodniałymi współpasażerami jedzeniem. Jakże są nagle milutcy, wręcz nadskakujący! Nadchodzi noc, a pewien pruski kapitan pojawia się i cóż? Przepuści dyliżans tylko pod warunkiem bezpośredniego dostępu do wdzięków dziewczęcia. Ona mówi „nie”, ale współpasażerowie nalegają, by się poświęciła dla wspólnego dobra. Skoro dla dobra – to zgadza się ona naiwnie, a po niedługim czasie dyliżans rusza w dalszą drogę. Tyle, że „Baryłeczka” nie zabrała ze sobą jedzenia – tak niedawno jeszcze służalczo mili współpasażerowi odwracają się od niej z odrazą. Żaden z nich nie ofiaruje głodnej, zbrukanej dziewczynie nawet kruszyny chleba.

W wieku XIX – w życiu i w literaturze byli jeszcze dawcy oraz biorcy. Wiek XX ustalił prymat biorców nad dawcami. Na początku naszego stulecia zostali już chyba tylko honorowi dawcy krwi oraz biorcy-czego-się-tylko-da. Myliłam się jednak.

Wydarzenia ostatnich tygodni uświadomiły mi, ilu dobrych, szlachetnych, spieszących z bezinteresowną pomocą po prostu Ludzkich Ludzi (sic!) jest wokół. Święty Marcin był skory podzielić się płaszczem w tym celu rozdartym na pół, a tu – oddaliby ów symboliczny płaszcz, serce całe. Doznałam Dobroci Bezwarunkowej – również od moich wiernych P.T. Czytelników. Tak szlachetne uczynki trudno jest czynić nie tylko dlatego, że potrzeba do niego wysiłku. Dobro wymaga ono wielkiego nakładu pracy, poświęcenia, heroizmu!

„Aby czynić dobro, trzeba mieć odrobinę odwagi, być gotowym na zniesienie każdego upokorzenia i nigdy nikogo nie upokarzać, być zawsze życzliwym.” – napisał jeden z najświetniejszych pedagogów XIX-wieku. Tak, ks. Jan Bosco. O nim właśnie mówię. Dobro pojmowane intuicyjnie brzmi podejrzanie klarownie i wprawić może w stan absolutnego zadziwienia.

Wcześniej było o „Baryłeczce” w kontekście literackim, olśniło mnie jednak w kwestii beczki w wymiarze filozoficznym: u Schopenhauera było o dobru absolutnym jako sprzeczności, jako beczce Danaid, nieistnieniu dobra absolutnego, lecz tylko dobra tymczasowego. I tym razem – choć z racji moich pasji retorycznych ze spokojem oraz rozważnie zazwyczaj wyczytuję się w rzeczonym filozofa, ręce mi się zatrzęsły, a tachykardia etyczna dała o sobie znać.

Dobro bezwarunkowe, absolutne stoi ponad czasem. Cichuteńko i taktowanie ofiarowane, bez poklasku oraz fleszy. Nie mam siły potęgować felietonistycznej tachykardii i biec w kierunku Eduarda von Hartmanna, czy „biec do tyłu” wraz z lekturą Apulejusza z Madaury. Niektórzy wolą po prostu do dobru pisać, jakby tym samym zwalniali siebie desperacko z odpowiedzialności. Mówiąc o dobru wcale nie przemilczamy zła i tu w sukurs spieszy Blaise Pascal: *„Nigdy człowiek nie czyni złego tak wytrwale i tak ochoczo, jak kiedy je czyni z przekonania”*.

A w końcu co z tą beczką Danaid? Dziurawa była, a rzeczony Danaidy musiały ją napełniać oraz napełniać bez końca w Tartarze (albo nosić w wodę), bowiem były morderczyniami swych mężów. Mnie akurat w przyptywie realizmu kojarzy się mityczna beczka z naczyniem Ponceleta / Danaidą i mierzeniem natężenia przepływu cieczy.

Może wrócę jednak do lektury św. Tomasza z Akwinu omijając ciernie klasyki literatury pięknej? Każdy z nas podróżował – to ucieczka – takim metaforycznym dyliżansem mając jakąś „Baryłeczkę” za współtowarzyszkę niedoli.

Czy – gdyby to od nas zależało - inaczej brzmiałoby zakończenie noweli Maupassanta?

Czyja to dola?

Felieton, niedziela, 19, lipiec 2015 08:53

W czasach umierania literatury pięknej (coraz częściej odzieranej z autentycznych okładek, kartek, pozbawionej zapachu farby drukarskiej na rzecz współczesnej wersji glinianej tabliczki – czyli „nośnika-czytnika”) sięgam po książki niesłusznie zapomniane, a wręcz pogrzebane wraz z wybuchem II wojny światowej.

Zapyta naiwna (moja też) duszeczka: a po cóż je przywoływać – recenzować po tylu latach? Jest to jak widać desperacka forma ratowania literatury patriotycznej – nie wszyscy bowiem mogą zajmować się polityką i historią, historią i polityką (wdzięczne oraz wygodne perpetuum mobile bez udziału literatury). Chcę ratować książki, które nie doczekały się wznowień. Często oprawione w skórę, opisane ołówkiem z wdzięczną znajomością kaligrafii stanowiły część domowych księgozbiorów. Szanowano je oraz celebrowano ich lekturę. Z jednej strony jako pisarka, z drugiej jako literaturoznawca mam świadomość, że to ostatni moment, by przywrócić im dawną świetność.

Herminia Naglerowa na łamach 46 numeru periodyku „*Bluszcz*” (a był to rok 1928!) wymienia jednym tchem nazwiska kobiet tworzących dziś (czyli w latach dwudziestych minionego wieku), piszących „*o pierwszorzędnym wartościach, a będąc jakości ilością, stały się potęgą*”. Nazwisko Marii Szpyrkówny zostało umieszczone między nazwiskiem Zofii Kossak-Szczuckiej i Zuzanny Rabskiej. Dokumentowanie – bez żadnych uczuć! - miejsca teje na tle kobiet całego okresu międzywojennego pozostawiam tym, które/którzy widzą okres międzywojenny jedynie z perspektywy dokonywanych analiz naukowych.

Dziś słów kilka o nie Marii Szpyrkównie „metafizycznej” przy dźwiękach porannej, lipcowej burzy, lecz o Marii Szpyrkównie - autorce w duchu kresowym, m.in. „*Józiukowej doli*”, wydanej w Wilnie nakładem Księgarni Józefa Zawadzkiego /niestety niedatowane/, który chciałabym przypomnieć.

Zbiór opowiadań pod tym tytułem inauguruje słynny cytat z Norwida:

... Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba... (tu P.T. Czytelnik dokompletuje sam ten szlachetny tekst).

Pierwsze z nich, zatytułowane „*Józiukowa Niedziela*” to eklektyzm tematyczny w miniaturze: przykłady zapomnianego już języka codziennego Kresów, portrety skromnych dziewcząt i pamiętliwych, zapiekłych w złości lokalnych patriotów, sceny z życia prowincji, poruszające przykłady gorliwego kultu maryjnego, szacunku dla symboli ojczystych:

Po obiedzie dziadów wstawał od stołu, mówił krotką modlitwę i zegnał się. Potem nastawiał dłoń i starannie zmiótłszy z ceraty okruszynki, zsypywał je do kominka, pilnie patrząc, czy ktośkolwiek nie nakruszył chleba na podłogę. O ile tak się zdarzało, kazał podnieść i wrzucić w ogień.

- *Grzech chleb marnować, pod nogami deptać!.. – mawiał surowo. Chleb, to dar Boży. Kto darów Bożych nie szanuje, tego Bóg ciężko karze! Chlebem Pan Jezus na ostatniej wieczerzy z apostołami łamał się! O chlebie w modlitwie pańskiej mówi się. Święta rzecz, chleb! Za to jego i szanować trzeba. Ot!* (s.27, z zachowaniem oryginalnej pisowni – przyp. M.C.)

Zbiór opowiadań Szpyrkówny to także nieświadoma antycypacja eliadowskiego ducha – rzecz o młodości i starości zarazem, a nawet – połączenie clikiwości (czasem na granicy dobrego smaku) z ...refleksją oświatową, jak choćby tu:

Człowiek u źródła oświaty jest jak szkło: winien być czysty, ażeby przepromienić na innych światło, które nań pada (s.121)

I to wszystko w kontekście życia codziennego w polskim dworze (o duszy dworu pisałam niedawno szerzej, jest to temat szczególnie bliski „archeologowi literatury polskiej”). „Zaścianek Rudziniszki” - bo nad tym opowiadaniem lęzę ronię - jest rzadkim przykładem kwintesencji „kresowości codziennej”, niespiesznej – wręcz – poza czasem.

Mimo, iż od strony serca jestem pisarką, a od strony płuc naukowcem, nie mogłabym pisać o jakimkolwiek wątku obyczajowym czy literackim okresu międzywojennego bez emocji – żyję tamtymi czasami na co dzień, a dobrze mi z tak pojmowaną emigracją wewnętrzną, gdy obrzydzenie genderowymi czasami nijakości oraz relatywizmu potęguje się z każdym dniem.

„Płacz królowny, czyli o sto i pierwszej królownie morskiej żalosa bajka” – w stylu baśni opowiadanej przez babcię wnuczętom wieńczy zbiór opowiadań Szpyrkówny. Może warto, by współczesne babcię wyzwolone, skupiające energię na tzw. samorozwoju poczytały ją spragnionym serdecznej lektury wnuczętom? Czy aż musiały rozwinąć się biblioterapia - by ewidentny cel czytania bajek oraz baśni, otrzymawszy obudowę terminologią naukową) dał się przypomnieć egoistycznym dorosłym?

Nie pouczam, tylko wstawiam się za wnuczętami i dziećmi. Wszak jestem tylko archeologiem-amatorem od zapomnianej polskiej literatury pięknej.

Już milczę i wracam do żmudnej pracy.

Lipcowa amnezja

Felieton, wtorek, 14, lipiec 2015 10:33

Pewnego letniego dnia 1944 roku słońce wstało o zwyczajowej porze, deszczyk popadał tylko przez chwilę, drób brykał głośno i hardo. Coś tam wielkiego i straszego huczało na niebie, a kobiety o rozmiarach trzydrzwiowej szafy szły nad Bystrzycę nucąc i przeklinając zarazem, bo tyle bielizny się do prania nazbierało. W kilka godzin później dekretem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego zostały znacjonalizowane majątki ziemskie powyżej 50 hektarów powierzchni użytków rolnych albo 100 hektarów powierzchni ogólnej.

Nie miał szczęścia też las, jeżeli jego powierzchnia przekraczała 25 hektarów. Właściciele zostali potraktowani gorzej niż okoliczne czworonogi, bo przez kolejne trzy dni sami sobie musieli zadawać tortury, to znaczy w podręczną walizkę zebrać najpotrzebniejsze rzeczy, które zgodnie z dekretem nie mogły mieć wartości muzealnej, artystycznej czy też naukowej.

Innymi słowy PKWN wyciął przy pomocy metaforycznego, zardzewiałego sekatora te obszary polskiej duszy, które odpowiadały za szacunek dla wartości prywatnej oraz pieczołowite przechowywanie pamiątek rodzinnych.

Na szczęście demon PKWN nie ma władzy nad szlachetną duszą - nawet jeśli niespecjalnie ukrywał, że jego krwiożerczym celem jest zagłada ziemiaństwa jako największego zagrożenia „właściwej polskiej rzeczywistości”.

Lipiec toczył się leniwie (równie leniwie jak niektórym leniucho-turystom na plaży), a złe, plugawe oraz straszne i tak wisiało nad głową. Trrrrach! O godzinie dwudziestej minut piętnaście Radio Moskwa poinformowało beznamiętnym głosem, iż Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego powstał w pierwszym polskim mieście na zachód od Linii Curzona zajęтым przez bohaterską Armię Czerwoną podczas ofensywy białoruskiej – czyli powiało grozą. Grozą i kłamstwem, skoro dopiero w sześć dni później pierwsi członkowie Komitetu Wyzwolenia Narodowego Polski dowlekli się łaskawie do Chełma! Co więcej, przeciw stawili im czoło: przedstawiciel Armii Krajowej oraz delegat powiatowy! I tu wzrok felietonisty pada na ówczesną mapę Lubelszczyzny z kłującymi oko szczegółami od Lublina po Chełm. Mapę, która przez chwilę układa się zgodnie z realiami roku 1980. Skąd taki przeskok w czasie?

Ano tropem lubelskim podążając – przypominam, że 13 lipca 1980 właśnie rozpoczął się strajk pracowników Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Lublinie – wszak trwał wtedy Lubelski i Świdnicki Lipiec. Fala strąków objęła Polmozbyt Lublin, Fabrykę Maszyn Rolniczych „Agromet”, KWK w Bogdanie, Fabrykę Łożysk Toczących w Kraśniku, Wytwórnię Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku – wszystkich „płomienistych protestem” miejsc nie pomnę.

Ach, ach, któż pamięta – z powodu strajków nie odbyły się wówczas tragikomiczne obchody kolejnej rocznicy ogłoszenia Manifestu Lipcowego. Lipcowa amnezja 2015 czy brak elementarnej wiedzy?

Wakacyjna aura nie sprzyja przywoływaniu zwrotnych dat – brzuchy smażą się na piasku, rozum prysł w babskich gazetkach kolorowych, lipcowa dolce fa niente trwa. Tyle że nad plażowym bezruchem złośliwy chichot historii coraz głośniejszy. Byle dureń potrafi rządzić zgromadzeniem bezwolnych oraz leniwych duchem (o lenistwie ciała nie wspomnę).

Zaciskam zęby powtarzając w myśli: „Sustine et abstine”. To z Epikteta. Wolę ból historii (pamiętać, bronić, przekazywać, trwać!) niż codzienne umieranie na plaży w lipcowy, beztroski czas.

Burza przeszła obok

Felieton, niedziela, 12, lipiec 2015 11:29

Zanik kultury wysokiej nie jest tematem, nad którym rzewnymi łzami płakałyby media. Wybuch wojny spowodował również zagładę rzeczonyj kultury wysokiej II RP, toteż rozpaczają do dziś pasjonaci tego okresu. Świat Dobra i Piękną roztrzaskano bezpowrotnie w dniu 17 września 1939, a nicość w kulturze wysokiej, tak charakterystyczna dla naszych czasów nie obchodzi żyjących i mało obchodzić będzie przyszłych analityków naszej epoki.

Przypomnijmy: podczas Kampanii Wrześniowej zginął nieodżałowany sympatyk idei narodowej Tadeusz Dołęga-Mostowicz, a polska rzeczywistość początku XXI wieku nie została uświetniona obecnością ani jednego prawdziwie narodowego pisarza, ani jednego prawdziwie narodowego poety czy po prostu interdyscyplinarnego umysłu twórczego. Była jeszcze nadzieja, spadło kilka kropel, burza przeszła obok.

Brak (ale o dziwo w świecie artystycznym nikt z tego powodu nie cierpi!) Franza Fischera obdarzonego żywą inteligencją, wygłaszającego filozoficzno-bajeczne monologi w knajpach takich jak „Ziemiańska” czy „Oaza”. Teraz musiałby potulnie iść do Mc Donalda a stoliki „U Sowy” omijałby szerokim łukiem. Rzeczony Franz Fischer stronił od polityki z obrzydzeniem, choć w tym nie ma sprzeczności - czynił ją głównym przedmiotem swoich publicznych wystąpień. Ciekawe, czy gdyby jednak żył w naszych czasach jeszcze raz powtórzyłyby z całą mocą, że warunkiem zaprowadzenia porządku w Polsce jest rozstrzelanie dwustu tysięcy lajdaków?

Nie przeczę, że zajmują mnie wieści o kolejnych etapach powstawania filmu o Eugeniuszu Bodo. W moim jednak mniemaniu nikt nigdy i w żadnych okolicznościach nie zastąpi tu oryginału więc przywoływanie historii tego wielkiego aktora oraz sympatyka idei narodowej następuje zbyt późno.

Kabaret literacki rozkwitał na nowo w polskich realiach lat 20. Ze słynnymi przebojami „Tango Milonga” czy też „Czy pani mieszka sama” - oczywiście! W naszych czasach kabaret literacki i kabaret jako taki jest coraz częściej marnym naśladowaniem rzeczywistości która wysoką kulturę polityki kabaretem zdążyła już uczynić.

Najdowcipniejszą kobietą w II RP, lubiącą sport, zmysłową elegancję, dancingi, morskie wycieczki, potyczki słowne była Magdalena Samozwaniec. W sferach kultury wysokiej

naszych czasów jej żeński odpowiednik nigdy się nie pojawił, a pseudointelektualny bełkot feministek w żadnej mierze, nawet konstrukcji elementarnego zdania, nie może z najdowcipniejszą oraz najinteligentniejszą satyryczką II RP równać.

Pierwsza Grande Dame poezji polskiej - Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, zarzucająca hipnotyczną mgiełkę na zdezorientowanego rozmówcę, porównywana podówczas do czarodziejki, wróżki, motyla, żyjąca z poezji i poezją, zdumiona byłaby zapewne widząc tak obfite żniwa w naszych czasach. Żniwa za którymi kryje się tytaniczna praca setek, tysięcy samozwańców poetów i poetek Internetu, facebooka, e-maili i SMS-ów, gryziopiórków klawiatury koniecznie szukających potwierdzenia swojej wielkości: a to wstąpienia do jakiejś organizacji czy związku lub też domagających się nieustannych komplementów i zachwytów (nawet, jeżeli pochodzą one od ludzi kompletnie nie znających się na literaturze, ani nie zainteresowanych losem czy poetów naszych czasów. Może jedynie ich urodą albo stanem portfela).

A swoją drogą w smutku przypominam, że ostatnia prapremiera dramatu Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej miała miejsce drugiego dnia II wojny światowej, a publiczności było tyle co połowa klasy w ówczesnej, nieczynnej już szkole.

Tym oto sposobem jedna z moich największych pasji, spojrzenie na realia wieku XX poprzez „okienka literatury” działa zgubnie. Podręczniki PRL-owskie ocenzurowały wielkie nazwiska polskiej kultury wysokiej tak skutecznie, że to, co powinno być oczywiste i znane, smakowane i przywoływane staje się beczelnym banałem.

Bez młota i kowadła

Felieton, piątek, 26, czerwiec 2015 17:04

Z jednej strony pochłonięta biblioterapią, z drugiej opowiadając dzieciom baśnie z potrzeby serca zastanawiam się nad sposobami umocowania w rzeczywistości historii oraz opowieści, które od lat bombardują moją wyobraźnię.

Pierwszy „baśniowy” punkt odniesienia: Katarzyna Michalczak, „absolwentka podyplomowych Gender Studies” wypowiadając się na łamach Internetu o bajkach i baśniach, pisze też o swoim synu. Oto cytat:

„Mój syn w przedszkolu natychmiast zrozumiał, że dzieci, przede wszystkim chłopcy, śmieją się, jeśli inni odstają od ich schematu trzyletniego macho. Chłopiec, który nie ma typowo męskich cech, ma niższy niż inni status w grupie i może zacząć być szykanowany. Dlatego stwierdziłam, że muszę mojemu dziecku wszystko szczerze wytłumaczyć: że podział ról jest taki, jaki jest, ale mnie się to nie podoba – i dlatego mi się to nie podoba. Aby go ochronić przed stereotypami, musiałabym amputować sporą

część kultury, również tę, która jest dla mnie ważna. On dobrze przyjął taką strategię, wiele rozumie i widzę, że ma też dużą świadomość genderową i feministyczną.”

Chyba nabawię się kompleksów, bo jako kobieta w wieku postbalzackim dalej nie mam „dużej świadomości genderowej i feministycznej”, choć „popełniłam” już kilka książek poświęconych kobiecości. Nadzieja dopadnie mnie na późnej emeryturze.

Zaledwie kilka miesięcy temu snułam opowieść o dziewczęciu, które uratował pewien współczesny rycerz-idealista umocniwszy w uosobieniu subtelności świadomość cywilizacyjnej spuścizny Narodu Polskiego. Opowiedział dziewczęce o swych marzeniach związanych z założeniem normalnej rodziny. Nie wyobrażałby sobie szczęśliwego narzeczeństwa z dziewczyną z innego środowiska. Wychowani w rodzinach z tradycjami, w identycznym systemie wartości zawarli ślub kościelny i otoczeni gromadką dzieci oraz wnucząt dopełnili godnego żywota w spokoju oraz w zgodzie z własnym sumieniem. Baśń szczęśliwa – prawda? Tyle, że niewielu P.T. Czytelników wytrwa w lekturze tej opowieści do końca, w niezmaconym uporze przypisując mi skłonność do idealizacji, która w istocie jest rozpaczliwą formą ironii/autoironii. A to dopiero początek.

W czasach pustych półek sklepowych i wężowatych nieskończenie kolejek ludzie potrafili sobie wzajemnie opowiadać historie, baśnie oraz bajki jako substytut kultury wysokiej w przeraźliwie bezbarwnej rzeczywistości. Rodzice czytali z własnej woli dzieciom na dobranoc, dziadkowie opowiadali o bohaterskich wyczynach przodków. Było to w czasach, gdy nikt nie ubierał zjawisk zwyczajnych w terminologię i definicję „biblioterapii”. No cóż, teraz coraz bardziej nachalnie nauki humanistyczne ubierają pojęcia proste i zwyczajne w nadmiar pustosłowia.

Coraz częściej też bajka i baśń płamiona jest przeintelektualizowanym, nieadekwatnym do jej wymiaru językiem „naukowym” – nawet nie naukowym. Już nic nie może we współczesnych interpretacji bajek i baśni być normalne, skoro Andersen (nawet jeśli jego baśnie są „antyterapeutyczne”), który tworzył w czasach przedgenderowych jest bohaterem tekstów naukowych typu „Gender, querr i dorastanie – baśnie Hansa Christiana Andersena” - tak brzmi bowiem tytuł artykułu Grażyny Lasoń-Kochańskiej interpretującej jego dzieło.

Ten skromny i zagubiony człowiek w grobie się przewraca – jeśli ma świadomość, że uwikłano go w genderową szarlatanerię (a przecież tworzył w czasach, gdy rzeczony pojęcie nie istniało), zaś nieznaną mu osobą męczy się frustracjami i lękami pisarza – bardziej niż interpretacją jego twórczości.

Zawsze zastanawiam się, na ile literaturoznawca ma prawo z butami wchodzić w czyjąś biografię i czy POJMUJE teksty analizowanego pisarza, którym zajmuje się z racji pracy badawczej, choćby sam w życiu przez moment nie przeżył „leku i frustracji” spowodowanej stanem twórczym, bo nigdy twórcą nie był.

I dlatego – nie wydaję miażdżących „wyroków biograficznych” na baśniopisarzach. Naukowcem jestem połowicznie, a połowicznie pisarko-poetką, a co dziwniejsze wcale nie między młotem a kowadłem. Po prostu wolę wychowywać dzieci w tradycyjnym, pięknym systemie wartości.

Złodzieje bez honoru

Felieton, poniedziałek, 22, czerwiec 2015 14:38

Z łaciny „alimentum” to pożywienie. Jak nazwać zatem pasożyta, który nie płaci latami na własne dziecko? Jeden – drugi... chłopisko-byczysko zdolne do pracy, ale nie rozumiejące istoty jakichkolwiek obowiązków rodzicielskich. Nie płaci, bo nie pracuje lub fikcyjnie szuka pracy - tak, by jej nie znaleźć i tak, by „za przyzwoleniem” okradać własne dziecko. Albo zarabia dużo, ale jego własne dziecko jest dla niego powietrzem.

Nierób i pasożyt pozbawiony sumienia – to mało powiedziane. Klasyczny biorca bez sumienia, któremu nieodpowiedzialne „ja” wystarcza za całą rzeczywistość. Swoje potrzeby potrafi zaspokoić niezależnie od tego ile MA: żarcie, ciuchy, internet – tak tylko lista się zaczyna... a brak tu miejsca by przytoczyć całą. On i jemu podobni pokaleczyli dzieci – odrzucając je oraz niszcząc dobro rodziny po wielokroć doprowadziwszy do chorób i samobójstw. Tyle, że media o tym mniej i ciszej, bo jatki polityczne to temat w gruncie rzeczy niebolesny wobec PRAWDZIWEJ CODZIENNOŚCI RODZINY.

Dzieci, na które biologiczny ojciec nie płaci alimentów, są przez niego po prostu bezwstydnie okradane. Okradane z obecności dobrego, kochającego, stałego w uczuciach, współuczestniczącego w ich codzienności oraz objaśnianiu świata rodzica. Okradane z godnego życia.

Wiele zrozpaczonych kobiet boi się przechodzić przez niekończące się labirynty biurokracji. Są jednak takie, którym troska o dzieci i determinacja dodaje dodatkowej pary skrzydeł. Składają więc zawiadomienie o uchylaniu się od płacenia alimentów – szczególnie w sytuacji, gdy dzieci chorują, brak pieniędzy na leczenie czy rehabilitację.

Przypominam sobie raptem jakieś durkheimowskie podszeptywanie... o autorytecie rodziców... postrzeganych przez dzieci jako istoty wyższe. I w tym momencie mogliby – choć niesłusznie – mieć do mnie pretensje samotni ojcowie wychowujący dzieci. Niesłusznie powiadam, bo nie opisuję tu monopolu nieszczęść samotnych matek. Mam świadomość do jakiego heroizmu zdolni są również samotni ojcowie, ale biorę tu w obronę okradane z alimentów dzieci. Okradane przez jedną z najbliższych im istot na ziemi. Matki okradanych dzieci najczęściej jednak nie zostają feministkami – są zbyt

zaabsorbowane realnymi problemami, skupione na dzieciach. Mają silne poczucie obowiązku niezależnie od okoliczności.

Do 1 września 1939 roku nawet złodziej miał honor, który zabraniał mu okradać własną rodzinę i mieszkańców kamienicy. A w przypadku uchylania się od płacenia alimentów złodziej okrada własne dziecko. Urzędnicy zajmujący się świadczeniami alimentacyjnymi są coraz częściej bezradni, a bezradność spotęgowała się dwa lata temu, pojawił się pomysł zniesienia kary więzienia dla uporczywych złodziei.

Na FB jednoczy się społeczność „Ścigamy alimenciarzy”, a w podtytule czytamy: „Jesteśmy mamami dzieci, których ojcowie zobowiązani do płacenia alimentów nie płacą ich dlatego, że nie chcą, a nie dlatego, że nie mają.”

Pomysłów na puentę mam kilka – zamknę ją w trafności łacińskiej. Wprawdzie to peryfrazą przysłowia rzymskiego, przytoczonego przez Cyncerona w „Mowie w obronie Publiusza Kwinkcjusza”, ale użyję jej w nowoczesnym znaczeniu: „Qui semel scurra, numquam pater familias”, co w tłumaczeniu brzmi mniej więcej tak: „Kto już raz okazał się błaznem, nigdy nie będzie ojcem rodziny”.

Ale widać złodziejem – tak.

Wydobyte z niepamięci

Felieton, niedziela, 14, czerwiec 2015 15:53

W 1911 roku w Wilnie, nakładem wydawnictwa Witolda Kopcia ukazało się dzieło przełomowe – przede wszystkim dla osób duchownych.

”Krótki podręcznik zwyczajów towarzyskich dla osób duchownych według „Ascetyki kapłańskiej” J.E. ks Dra Józefa Sebastiana Pelczara – Biskupa Przemyskiego” – bowiem tak brzmiał tytuł tej książki - wywołał wiele dyskusji a zarazem uporządkowywał zasady dotyczące „zwyczajów towarzyskich” osób stanu duchownego, co w tamtych czasach było swoistym ewenementem.

Przypomnijmy, iż Józef Sebastian Pelczar był beatyfikowany przez papieża Jana Pawła II w dniu 2 czerwca 1991 podczas IV pielgrzymki do Polski, zaś kanonizowany - w dniu 18 maja 2003 w Rzymie.

W pamięci diecezji zapisał się jako wieloletni prezes Towarzystwa św. Wincentego à Paulo oraz – tu dochowam wierności eksponowaniu wątków pedagogiczno-dobroczywnych w moich felietonach – był inicjatorem powstania licznych czytelni oraz wypożyczalni książek, nieodpłatnych wykładów, ponadto pierwszej szkoły dla

służących, szkoły gospodarczej dla dziewcząt ochronek dla najuboższych dzieci. Zwalczał alkoholizm ... i emigrację!

Żałuję niezmiernie, że została zapomniana jego spuścizna: dzieła historyczne, teologiczne, w których podejmował także zagadnienia dotyczące prawa kanonicznego, podręczniki zawierające do dziś aktualne treści. Nie pamiętają o jego dorobku nie tylko nauczyciele oraz pedagodzy. Pamięć polska jest zazwyczaj krótka - szczególnie o Dobru, Dobro-Czyńcach!

Wydobyta z niepamięci książka biskupa Józefa Sebastiana Pelczara dla duchownych traktuje o przestrzeganiu ośzczędności (czyli higieny ducha i ciała, estetyki wnętrza), o używaniu tytoniu oraz tabaki, o ubiorze kapłańskim, o ułożeniu i ruchach ciała (określenie dosłowne – przyp. M.C.), o zachowaniu się na ulicy i w miejscach publicznych, o spotykaniu się z wiernymi oraz duchownymi, o składaniu wizyt, o biletach wizytowych, o przyjmowaniu wizyt.

Odrębny rozdział poświęcony został konwersacji – w tym konwersacji przy stole, podczas podróży, sztuce pisania listów, umeblowaniu wnętrza, przyjmowaniu gości, przyjmowaniu i dawaniu podarunków, punktualności, zaciągania pożyczek i zwlekania z opłacaniem rachunków. Innymi słowy, książeczka stanowi kompendium prawideł dobrego tonu kapłańskiego, a puenta brzmi następująco:

„Nie można wprowadzić nazwać tego dobrze wychowanym, kto się odznacza tylko powierzchowną układnością, zewnętrznym połosem. Człowiek dobrze wychowany jest grzeczny, stara się o piękne formy nie da pozorów, lecz dla tego, że je uważa za najistotniejsze wyobrażenie wewnętrznej dobrotliwości, uprzejmości i szacunku, jaki żywi dla swoich bliźnich.(...)Człowiek dobrze wychowany przede wszystkim jest człowiekiem prawdziwie zacnym, ma przy tem odwagę w wypowiedaniu swoich poglądów, zasad i uczuć; wie też, że dla każdego człowieka zacnego bije choć raz w życiu godzina ofiary i poświęcenia się dla drugich; stąd też nie cofa się nigdy przed żadną usługą, czy to kapłańską czy obywatelską.” (s.95-96)

Klamrą „Krótkiego podręcznika zwyczajów towarzyskich dla osób duchownych” jest katalog biblioteki kapłańskiej, rozumiany jako wykaz dzieł najniezbędniejszych dla każdego kapłana.

Na szczególną uwagę zasługuje wykaz dzieł - kapłańskich lektur obowiązkowych z zakresu nauk społecznych, ale to materiał do odrębnej analizy i nie tutaj znajdzie ona swoje miejsce.

Biskup Pelczar dbał nieustannie wysoki poziom moralny i umysłowy duchowieństwa, zaś ”Krótki podręcznik” do dziś jest cenną lekturą nie tylko dla kapłanów, ale dla gorliwych katolików, którzy potoczność słów potrafią odrzucić na rzecz dobroczynienia, tym bardziej w czasach utopionych w relatywizmie.

„Tajemnica Długiego i Krótkiego Życia”? Nie tym razem!

Felieton, sobota, 06, czerwiec 2015 09:50

Na półce pełnej kunsztownej literatury polskiej, acz niesłusznie zapomnianej leży sobie skromniutko, kurzem przypudrowana „Tajemnica Długiego i Krótkiego Życia” nakładem Gebethnera i Wolffa wydana w roku 1911. Nawet dla skruszonych literaturoznawców i tak autor tego dzieła zostanie egzaltowanym aż do palpacji biedaczną, wciśniętym w ramki uwikłanego parnasisty czy symbolisty, szarpanego wyimaginowanym *élan vital* – prawie przybyszewszczyzna!

Nic bardziej mylnego – i mam tu na myśli nie tylko autora, ale także jego dzieło. Może warto spojrzeć głębiej, a nie okiem znudzonego hejtera 2015, którego już nawet Facebook oraz Twitter nuży niemiłosiernie. Nawet nie chce mu się trzymać wytycznych ścieżek rowerowych, siedzieć od rana do wieczora w galerii handlowej, robić po tysiącokroć selfie, nie chce mu się modlić, a nawet zatęsknić za życiem wiecznym. Bo po co?

Bogusław Adamowicz – bo to on przecież jest autorem „Tajemnicy Długiego i Krótkiego Życia” wyłuszczył na kartach tytułowej noweli przystępne kompendium filozofii genezyjskiej. Tak, od samego Juliusza Słowackiego, tam gdzie „Król-Duch”!

„Tajemnica” to opowieść nader aktualna. Rzecz o niepokornym obywatelu, który przed władzą nigdy, ale to przenigdy na uniżoność się nie zdobył. Nie zmieniał też oglądów politycznych co pół roku (jak czynią to „przylepińcy” – gdzie akurat w tej chwili „bardziej antysystemowo” oraz gdzie więcej razy będzie można się liczniejszemu gronu pokazać publicznie - szczególnie w oszczędnościowo krótkiej spódniczce lub w krótkich spodenkach niedojrzałości).

Gdyby bohater książki Adamowicza funkcjonował jako postać realna, zdolna do podróży w czasie zdumiony byłby pandemią uniżoności, apoteozą potakiwania i padania na kolana przed pokrętnymi duszyczkami rozpychającymi się całą gębą (nie tylko łokciem) w polityce. Wszak nijak nie umiał sobie poradzić z liczeniem gwiazdek na spodniach dygnitarzy, a zatem wedle prawideł TAMTEJ rzeczywistości mógł być jedynie srogo ukarany. A w praktyce wyglądało to tak:

„Nieraz więc za to odbierał za to mniejsze lub większe porcje bambusowych polechtań, zależnie od powagi osobistości, z którą miał szczęście się spotkać. A ponieważ i kije nie zdołały nauczyć go obowiązkowości, nic więc dziwnego, że coraz to więcej doznawał niezaprzeczonych dowodów prawidłowego funkcjonowania i znaczenia bieglności w matematyce miejscowych władz wykonawczych.” (s.136)

Ciekawe, co na to rzekłby pierwszy prawodawca ateński Drakon, który jak wiemy za wszystkie przestępstwa wyznaczył karę śmierci: dla złodziei oliwek oraz morderców. Leges Draconis otworzyły na oścież wrota zabójstwu w obronie własnej i zabójstwu mimowolnego.

Jakoś dziwnym trafem obecna literatura piękna omija największych zdrajców narodu, wylewając wążutką strużkę oskarżeń na postacie –trzecio oraz czwartoplanowe. Zobojętniała na współczesność i literatura, i twórca a w konsekwencji także czytelnik. Coraz mniej książek-map prowadzących ku osiągnięciu wewnętrznej integralności, tęsknocie za nawróceniem i ofiarowaniem zadośćuczynienia.

Stu lat trzeba, by właściwie odczytać i zrozumieć tak, jak w przypadku „Tajemnicy Długiego i Krótkiego Życia”, czyli ciągle nie tym razem.

Kto jeszcze dzisiaj pamięta „diseusy”?

Felieton, piątek, 08, maj 2015 17:03

Diseusy” – a jedna to „diseusa” lub poprawnie „disease” – deklamatorka, recytatorka przyciągająca potocznością słów do przedwojennych teatrzyków rewiowych, gdzie publiczność łatwo było na dwie godziny z okładem zabawić beztrosko afiszowanym słowem mówionym.

Taka Zula Pogorzelska wygłaszająca egzaltowanym tonem bojaźliwej małej dziewczynki, która w ciemnościach boi się spać i jej podobne mniejsze lub większe gwiazdy na kabaretowym niebie, wszystkie wzorowane były na słynnej Mistinguett. Ta z kolei wylansowana została zgodnie z modelem od pucybuta do milionera.

Rzeczona Mistinguett była gwiazdką i gwiazdunią Moulin-Rouge oraz Folies-Bergère, śmiała – tak śmiała że granice zdążyła po wielokroć przekroczyć. Miotła się między arcynaturalnością i arcyprzesadą, a jednak wykosiła inne obiekty zainteresowań tej miary z powszechnej świadomości i zaangażowanego wzdychania paryskiej publiki. Istota tak ekspansywna oraz maszerująca na wysokich obcasach po przysłowiowych trupach stała się na kilka lat najważniejszym punktem odniesienia dla paryskich mediów i miłym dla oka męskiego tematem zastępczym.

W czasach minionych temat zastępczy miał to do siebie, że przynajmniej był miły dla oka – obecne tematy zastępcze są zazwyczaj dla oka obrzydliwe i pozostawiają w duszy gmatwaninę wzburzenia oraz niesmaku.

Niegdysiejsze „diseusy”, którymi ekscytowała się tak brukowa prasa, jak i wielkie dzienniki przynajmniej aspirowały do oryginalności Mistinguett, dzięki czemu przynajmniej umiały poprawnie oraz samodzielnie konstruować zdania.

Minione lata ekspansji gender w polskich mediach pokazały, że „diseusy” tego nurtu są w zmaskulinizowany sposób agresywne i że ich wiedza jest płytka, a rzekoma elokwencja wytrzymuje tylko przez „ekranową” chwilę.

Zwróćmy uwagę, że zagrożenie ideologią gender przestało być nośnym tematem. Mam niejaki przypuszczenie, że niektórym wojującym antygenderystom, aktywnym jeszcze przed kilkoma miesiącami w publicznej debacie i publicystyce, gender po prostu spowszedniało i stało się – podobnie jak uzależnienia od Internetu i pornografii rodzajem upiornej normy, z którą niewielu normalnych jeszcze ludzi potrafi się pogodzić.

„Diseusy genderowe” w mediach gotują, tańczą, śpiewają i opisują zawartość swojej bieliźniarki. Dawno już porzuciły potrzebę dyskursu intelektualnego. Skoro nie umieją się przyznać do tego, że chętnie zostałyby kurami domowymi... spadły do rangi kur medialnych!

Przy wdzięcznej pomocy powiedzeń odnoszących się do drobiu od zawsze w tradycji polskiej piętnowano paskudne przywary. „Daj kurze grzędę, a ona: wyżej siędę” opisuje pazerność. Znane powiedzenie „kura sąsiada jest zawsze tłustsza niżli własna gęś” uwypukla pożądanie dóbr materialnych. „Diseusy medialne”, która nie mają dostatecznej wiedzy o gender, a same siebie określają jako feministki, trafnie podsumowuje wyrażenie „znać się na czymś jak kura na pieprzu”.

Szkoda tylko, że o gender coraz delikatniej nawet jego przeciwnicy. Cackają się z nim coraz bardziej jak „kura z jajem”.

Skąd ta nagła zmiana?

Patronka głośłowia

Felieton, sobota, 02, maj 2015 10:59

Niestosowne jest pisanie o sztuce przemowy w czasach, gdy odeszła w zapomnienie, a na jej miejsce pojawiają się rywalizujące monologi, konkurujące wykłady, sms-owe okrawki uczuć, pseudointelektualne dyskursy, porady „jedynie słuszne” i nadęte mowy kolejnych samozwańczych autorytetów.

Język ma być ojczysty, a nie wykradziony czy zapożyczony. Sto lat minus dwa lata temu zaczynano uczyć, iż trucizną są szyderstwa, słowna pogarda, niegodziwe podejrzenia oraz potwarze. Teraz niewiele już ludzie mają sobie do powiedzenia nadinterpretując każdy polityczny do-myślnik(!). Namnożyło się pisarzy, autorytetów, wyroczeni, retorów. Ludzie – również za przyczyną wszechobecności Internetu -

wypluwają z siebie hektolitry słów uprawniając sami siebie do wygłaszania jedynie słusznych sądów.

Zabierający głos publicznie, często przygotowywani przez sztab specjalistów od ojczyściej mowy - choć do wylewania hektolitrów słów przyczyniają się - nie mają zazwyczaj pojęcia o mądrych i pięknych zasadach rządzących retoryką. Słyszcy się natomiast o dziennikarkach, które chcą robić wywiady z nieżyjącymi od dawna pisarzami lub o politykach, którzy nie rozumieją nawet sensu swoich własnych, publicznie składanych deklaracji.

Zróbmy sondę uliczną – może na wyższym poziomie, niż te które tak silne budzą ostatnio emocje. Zapytajmy, czym jest retoryka? Termin znany od ponad dwóch tysięcy lat w obrębie kultury i cywilizacji śródziemnomorskiej albo jest wielu współczesnym mówcom obcy, albo zbyt ciężki i zadowalają się oni gotowcami położonymi w ostatniej chwili na biurku przez pomagierów. Co wymagać od przyczyniających się do stopniowego obniżenia się poprzeczki publicznych wystąpień! Komu z uprawiających publiczne *dolce fa niente* chciałoby się dostosować się do mądrości La Rochefoucauld: „Prawdziwa wymowa polega na tym, aby powiedzieć wszystko co trzeba i tylko to, co trzeba”?

Dobrze – powie kolejny mądrała – współczesny hejter (czyli już praktycznie każdy), odczuwając intensywną potrzebę wyrażania przemyśleń w sposób intencjonalny, przekonywujący i sprawny. Retoryka nie jest już patronką nagiej prawdy, tylko patronką gołosłowia, nie bawi się ani w egzemplifikację poprawnego myślenia, ani argumentowania. Bredzi o fałszywych ideach, lepkich obietnicach, podsuwa fałszywe uczucia i odczucia, tapla się w błocie z manipulacją.

Tracę zapał do analitycznego słuchania politycznych deklaracji przedwyborczych. Jeśli mnie starcza pamięć nie myli, w klasycznej retoryce powinna obowiązywać zasada „semper augeatur et crescat oportet oratio” (w tłumaczeniu: „mowa powinna zawsze wznosić się i rosnać”). Innymi słowy: treść narastająca dynamicznie & pęczniejąca od treści mowa. Biedny Arystoteles, łamiącym się od tysięcy lat krzykiem, przechodzącym w szept usiłował całe pokolenia przekonywać, że retoryka jest sztuką zadziwiająco bliską dialektyce, ale dialektyka od lat przeszło stu ma fatalne, ustrojowe konotacje i Arystotelesa nikt już nie chce słuchać!

Przydałoby się też w czasie przedwyborczym przypomnieć Cyncerona, który płakał rzewnymi łzami nad tymi, którzy przemawiają publicznie długo i nudno. A czy to on, czy inny pobratymiec retoryczny jego powtarzał, że centrum przywołanej przez nas dziedziny stanowią najważniejsze zagadnienia życia obywatelskiego oraz państwowego?

Tuż po wyborach zmieni się wartość kruszca – milczenie znów będzie złotem, a niedotrzymywane obietnice do kałuży z błotem – plask! Straciwszy zaufanie do słów wybieram po raz kolejny doświadczenie pustyni – przynajmniej ciszy i odosobnienia nikt nie kała fałszywymi obietnicami, nie zwodzi i nie kaleczy.

Rację miał Gorgiasz twierdząc, iż słowa posiada taką moc oddziaływania na „dyspozycję psychiczną, jak leki na kondycję fizyczną człowieka”. Zbliżające się wybory to test prawdziwości słów.

Oby źle dawkowane lekarstwo nie okazało się trucizną.

Dzielny ojciec Paderewski

Felieton, niedziela, 19, kwiecień 2015 17:00

W tych czasach ojcowie uciekają od ojcostwa gdzie pieprz rośnie. O genderowych Piotrusiach Panach pisałam już wielokrotnie – a ile razy można ręce załamywać słysząc o kolejnych ojcach odcinających się od swojego syna, tylko dlatego że jest przewlekle chory, niepełnosprawny albo nie odpowiada „zaprogramowanemu” obrazowi syna idealnego - na żądanie.

Paderewski miał szlachetne wzorce ojcostwa w rodzinie i z nich czerpał. Teraz, gdy młody mężczyzna przygotowuje się do roli męża, a następnie rodzica - jeśli jest oczywiście na tyle refleksyjny, dojrzały i mądry, by się do tego rzetelnie przygotować - powinien przeanalizować przykład ojcostwa, który otrzymał w dzieciństwie. Jeśli jego ojciec nie sprawdził się jako ojciec – a takie zjawisko przybiera rozmiary pandemii – potrzebny mu będzie mu inny dobry, męski wzorzec na całe życie.

Jesienią 1881 roku Ignacy Jan Paderewski został dwudziestoletnim wdowcem z niemowlęciem na utrzymaniu. Matka małego Alfreda zmarła wskutek gorączki popołogowej i spoczęła w rodzinnym majątku na Witebszczyźnie. Czy Paderewski załamał ręce? Czy przesiadywał godzinami patrząc bezradnie na płaczące dzieciątko? Trochę pomagała mu Julia Korsakowa – babcia. Miał wówczas pod opieką dwadzieścia dwie uczennice w Instytucie Muzyczny w Warszawie, koncertował z Władysławem Górskim – skrzypkiem budzącym silne palpacje pań z towarzystwa. Właśnie wrócił z koncertów w Druskiennikach. Dwudziestoletni wdowiec, dla którego dobro syna jest najważniejsze. To dla niego godził rzeczy niemożliwe. Dalej prowadził klasę fortepianu, koncertował, tworzył!

Niespełnione było marzenie Paderewskiego o byciu „ojcem kompletnym”, czyli takim, który będzie towarzyszył synowi jako wzorzec męskości przez całe życie oraz który będzie w Alfredzie rozwijał nie tylko gibkość intelektualną, ale sprawność fizyczną - również z myślą o przyszłej służbie na rzecz Ojczyzny. W opiece nad sparaliżowanym młodzieńcem dzielnie wspomagała Ignacego Jana Paderewskiego jego druga małżonka – Helena. Według dokumentów wszyscy bliscy członkowie jego rodziny zmarli bezpotomnie. Alfred - jedyny syn Ignacego odszedł na zawsze w wieku 21 lat w wyniku powikłań wywołanych chorobą krążenia.

Czasem historia mówi szeptem, bowiem liczą się dlań wielkie heroizmy i wielkie wygrane. Taktownie milczy na temat heroizmów codziennych, które dają sił do... no właśnie!

Od 8 października 1881 już nic nie było tak jak dawniej. Nie ma wygodnego zasiadania w fotelu wczesnozimową szarugą! Nie ma celebracji obiadów przy lekkiej konwersacji o muzyce! Z jednej strony Paderewski był zdecydowany wybrać dalszą karierę kompozytora, z drugiej był w pełni świadom odpowiedzialności osamotnionego ojca, jakie na nim spoczywają. Mały synek wymagał szczególnej opieki i w jego oczach widoczna była przeraźliwa samotność, płaczliwe wołanie o obecność nieobecnej matki i o obecność zanurzonego w muzyce ojca.

Alfred miał dwa lata, gdy ojciec w sali balowej pałacu zdrojowego w Nałęczowie grał rzewnie dla publiczności, wśród której zasiadał Bolesław Prus. Paderewski pokazał, iż można być osamotnionym ojcem i godzić karierę z opieką nad dzieckiem, że im więcej obowiązków spoczywa na barkach jednego człowieka, tym więcej światów potrafi pogodzić.

Z rozmysłem nie piszę o Paderewskim jako o polityku, ale o przykładzie wysokiej kultury ojcostwa. Wszak coraz mniej w Rowie Mariańskim publicystyki o kulturze wysokiej, a tym bardziej o wysokiej kulturze - ojcostwa.

I w tym oto kontekście przypominam fragment wygłoszonej po latach mowy Paderewskiego w dniu 23 listopada 1913 roku w Chicago podczas wieczornicy żałobnej ku czci Henryka Sienkiewicza, który dla wielkiego mówcy oraz muzyka był synonimem „ojca kompletnego” polskiego narodu: „Umarł, jak żył karmiąc łaknących. Przez blisko 50 lat żywił naród cały swym słowem, przez ostatnie dwa lata chlebem polskim, od was głównie przesyłanym –karmił wdowy i sieroty. Za to narodu żywicielstwo, za to wdów i sierot karmienie, cześć mu i chwała i wdzięczność nieskończona przyszłych pokoleń!”.

O ilu współczesnych wzorcach ojcowskich tak można publicznie powiedzieć?

Twoja córeczka

Felieton, niedziela, 12, kwiecień 2015 20:19

Opowieść o córeczce Jaira ma niezwykły wymiar dla współczesnej matki. Dziecko nie umarło, ale śpi. Powraca do życia.

Twoja maleńka córeczka też zasypia ufna i bezbronna, jest cała Twoja - MATKO, ale tylko dana Ci na chwilę – jak to pisała Święta Katarzyna ze Sieny. Można wyłączyć laptop, pralkę, telewizor, radio, komórkę, ale nie da się wyciszyć w obecności dziecka całego zła tego świata.

W precudnej książce autorstwa S. Magdaleny Ponichter CSFN „Moi bliscy z Galilei” - a otrzymałam ją na pamiątkę Bierzmowania od Siostry Marii, która uczyła mnie religii i którą niespodzianie spotkałam po wielu latach w miejscu spotkań niemożliwych... historia o córeczce Jaira została opowiedziana na nowo. Książka, którą ofiarowała mi siostra Maria w dniu 5 maja 1981 roku opatrzona jest dedykacją:

Duch Święty „Słodki gość duszy naszej to najbardziej wytrwały, wierny i zawsze gotowy do pomocy Przyjaciel”. Kardynał Stefan Wyszyński

Kochanej Marcie w Dniu Sakramentu Bierzmowania

...i tu podpis Siostry Marii.

„Moi bliscy z Galilei” od tamtej chwili są ze mną wszędzie.

To właśnie w opowieści z tej książki, zatytułowanej „Córka Jaira” znalazł się znamieny fragment:

„Ileż to dzieci doskonale odżywionych, z kwitnącymi kolorkami na buziach, zapada na anemię w rozwoju duchowym. Bo rodzice nie dostarczyli dziecku koniecznego pokarmu duchowego. Zapomnieli, że oprócz ciała, które potrzebuje witamin ma jeszcze duszę. Że urodzili swe dziecko nie tylko na kilkadziesiąt lat ziemskiego życia, ale na całą wieczność. Nie nauczyli kochać. Nie nauczyli modlić się. Zabili dziecięcą, prostolinijną potrzebę szukania Boga. Te dzieci są martwe. I nikt nie zauważył - nawet rodzice – momentu ich śmierci”.(op.cit.,s.99)

Ci rodzice, którzy doprowadzili do martwoty ducha swoich dzieci, sami są martwi duchem. Dla pewnej symetrii wychowawczej, przypominam sobie myśl cytowaną w przedwojennych książkach dla pedagogów, nauczycieli oraz rodziców, a mianowicie „Dziecko jest ojcem człowieka dorosłego”. Jeśli chcemy nasze społeczeństwo od martwoty ducha uwolnić, powinniśmy dać dziecku możliwość godnego rozwoju duchowego – i nie chodzi tu bynajmniej o „kupowanie” dziecku talentów i umiejętności poprzez organizowanie mu wedle własnego dorosłego widzimisię dzieciństwa od godziny 6.30 do 22.05. Powtarzam raz jeszcze i przy tej okazji patrząc w oczy tym P.T. Czytelnikom, którzy mieli wątpliwości podczas lektury jednego z moich felietonów – tak, jestem za zapisywaniem dzieci na zajęcia pozalekcyjne, ale zgodnie z zainteresowaniami i umiejętnościami dziecka, a nie na te, które są ewidentnym odzwierciedleniem niespełnionych ambicji rodziców oraz ucieczką od poświęcania czasu własnym latoroślom.

Może niczym Jair trzeba wielokrotnie paść na kolana i przyznać się do popełnionych błędów, zaniedbań wobec dzieci. Rodzic, który porzuca swoje dziecko zaaferowany uciekami cielesnymi, pustym balonem swojego „ja” i bliżej nieokreśloną, wyimaginowaną potrzebą rozwoju duchowego zadaje swojemu własnemu dziecku śmierć duchową.

Nie ma dziedziny życia duchowego, odzwierciedlającego wyraźniej i określającego dokładniej charakter narodu jak wychowanie. Tym bardziej padnijmy na kolana, modląc się w intencji córeczki... synka...:

„Gdyby zaszła potrzeba, oddałbym dla niej życie i krew. Ale to za mało...Ty jesteś ŻYCIEM I ZDROWIEM, NAJLEPSZYM WYCHOWAWCĄ I NAUCZYCIELEM, CHLEBEM I KRWIĄ. Wejdz, choć nie jestem godzien, w progi naszego domu i wejrzyj na małą córeczkę.

Jeśli przez swą nieudolność zaniedbaliśmy coś w jej rozwoju – wskrześ ją i obudź. Powiedz: Dziewczynko, mówię ci, wstań. Talitha kum.” (op.cit.,s.100).

Ankieta w sprawie Żydów

Felieton, wtorek, 07, kwiecień 2015 18:04

Na początku roku 1939 słynny „Orędownik – Ilustrowany dziennik narodowy i katolicki”, wydawany w Poznaniu staraniem Stanisława Czapiewskiego, Jana Płazaka, Konstantego Dobrzyńskiego, Henryka Waltera i kilku innych podówczas znanych, a obecnie spoczywających na dnie Rowu Mariańskiego nie pamięci ujawnił (narodowemu) światu ankietę w sprawie Żydów.

Starannie omówiona na łamach periodyku ankieta „osądziła ujemnie ich rolę (Żydów – przyp. M.C.) w życiu narodów europejskich i podkreślała konieczność ich emigracji”. Nie zdarzało się podówczas bowiem, by tytuły oraz podtytuły „orędownikowe” brzmiały równie wylewnie.

Im bardziej profetycznie, tym wylewniej – tak brzmiała niepisana zasada podobnych mu periodyków nurtu narodowego, to sam P.T. Czytelnik zdecyduje w czym należałoby doszukiwać się symetrii.

Ankieta była niczym *un petit prétexte* do analizy pogłosek jakie podówczas pojawiły się na Litwie (przypominam, że był to początek roku 1939). Jakoby wzorem niektórych państw europejskich planowana była tam „gruntowna czystka” wolnych zawodów, a także handlu oraz przemysłu w celu zmniejszenia wpływów żydowskich w tychże dziedzinach. Pogłoski zgoła groźnie wybrzmiały, skoro strach padł na zainteresowanych i w trybie natychmiastowym zwołano posiedzenie Centralnego Komitetu Zrzeszeń Żydowskich na Litwie. W dniu obrad w Kownie, ich były ulice – nie kamienice, a burzliwe nastroje dyskutantów niepokoiły „tornadyczną” wręcz ekspresją. Centralny Komitet uchwalił, iż w przypadku jakichkolwiek represji wobec Żydów „społeczeństwo

Żydowskie” (określenie oryginalne – przyp. M.C.) rozpocznie bojkot ekonomiczny republiki.

Rok 1939 zaczął coraz bardziej rozmiękać się na drobne, gdy niejaki Robert Briscoe – poseł do parlamentu Irlandii, powróciwszy z wojaży po Niemczech i Polsce postanowił stanąć na czele misji z Dublina (w czym wielu natychmiast mu ochoczo przyklasnęło!), która miała spiesznie udać się do Stanów Zjednoczonych, ażeby gromkim głosem zakrzyknąć o potrzebie uzyskania poparcia rządu amerykańskiego dla 10-letniego planu osiedlenia Żydów z Polski, Niemiec oraz Austrii. Zapytać należy, cóż za interes miałyby rzeczony Robert Briscoe w uzyskaniu poparcia amerykańskiego dla tak zamasyście wygodnego planu? Ano poseł Briscoe sam był Żydem i jego misja przebiegać miała pod ścisłą kontrolą syjonistyczną, a czy na Irlandczyka wyglądał czy nie wyglądało stało się kwestią drugorzędną, skoro do tego typu inicjatyw klucz zazwyczaj jest ten sam. Choć rozmowy miały być krótkie oraz intensywne, poseł Briscoe zamierzał swój pobyt przedłużyć do trzech miesięcy nawet – poseł na czyjś koszt i kosztem innych – nihil novi.

W Berlinie też zawrzało. „12-Uhr-Blatt”, periodyk od ankiety w sprawie Żydów, cytuje wylewnie premiera Węgier, który oświadczył, iż w 1938 roku ilość Żydów przybyłych do miasteczek i miast w jego kraju „powiększyła się w ostatnim czasie w sposób niepokojący”. Ad vocem odpowiedział mu przywódca „Svansk Socialistic Samling” – Sven Lind twierdził, iż „rządy wszystkich państw zainteresowanych wspólnie powinny wyznaczyć Żydom pewien obszar geograficzny jako miejsce zamieszkania, gdzie Żydzi nie mogli by wyzyskiwać innych narodów”. Przypominam –to dyskusja z początków 1939 roku – tak naprawdę nigdy nie zakończona.

Włączył się w nią wprawdzie prawicowy węgierski dziennik „Virradat”, informując o powołaniu w Budapeszcie związku emigrantów żydowskich. Cel miał być jeden i to konkretny: ułatwienie emigracji Żydów węgierskich do państw Ameryki Południowej.”Virradat” potrząsnął też nieźle czytelnikami przyzwyczajonymi do oficjalnej papki informacyjnej podając wprost, że z chwilą uzyskania zgody rządu argentyńskiego wyemigruje tam trzydzieści tysięcy Żydów!

Każda informacja ma swoją pod-informację, a ta kolejną pod-pod-informację, niczym w sprytnie skonstruowanej powieści szkatułkowej. Szkatułka, którą właśnie otworzyliśmy jest pokrytą tajemnymi znakami puszką Pandory. Nikt już nie zdobędzie się na odwagę opublikowania ankiety „w sprawie”. Najodważniejsi – nim zaczerpną powietrza, by wyartykułować słowo, zostaną zdekapitowani na poziomie litery.

Ani „Orędownika”, ani żadnego cytowanego tu periodyku już dawno nie ma. Na szczęście pozostała sama dyskusja.

Amnezja i ból

Felieton, sobota, 28, marzec 2015 10:41

Ile można wytrzymać? – pytamy bynajmniej nie tylko po kolejnej, uważnej lekturze opowieści o Hiobie. Ból może być wyimaginowany, ale może tak przerażający, że życie z nim na co dzień jest niekończącym się umieraniem.

Ludzie autentycznie cierpiący nie obnoszą się demonstracyjnie ze swą nieporadnością i bohaterstwem w jednym. Słowa stają się bowiem za ciasne, choć pewne typy bólu są bardziej podatne na leczenie chirurgiczne. Na nic jednak ono, gdy ból fizyczny splata się w konwulsyjnym uścisku z bólem psychicznym w rodzaj postępującego „zabłuszczenia”. Po co mieliby zabierać głos ci, którzy bo chirurgicznej interwencji odczuwają nieporównywalnie silniejszy ból, niż ten, z powodu którego byli leczeni?

Umiera Dobry Człowiek. To tak, jakby obumarło Dobro. Ponoć ci źli pętają się po świecie, owijając nam zardzewiałym drutem stopy, bo dostali kolejną szansę. Kolejną, a także jeszcze jedną. Pierwszą reakcją na wieść o śmierci bliskiej osoby to niedowierzanie. Nie żyje? Jak to nie żyje? Taki Dobry Człowiek? Dlaczego w takiej chwili właśnie tak bardzo Bóg go potrzebował? Może to jednak pomyłka? Zbieżność imion i nazwisk? Niektórzy przyznają się nawet do halucynacji związanych z obecnością Nieobecnej Osoby.

Rozmawiałam swego czasu z kobietą, która po raz kolejny nie donosiła nienarodzonego dziecka. Tak bardzo czekała na nie czując coraz silniej Obecność pod swoim sercem. A gdy dzieciątko umarło, popadła w całkowite odrętwienie, nie chciała ani jeść, ani pić. Po czym któregoś dnia niespodziewanie wstała i zaczęła pomagać nieszczęśnikom oraz zagubionym. Z niespotykaną czułością i uwagą pochylała się nad samotnymi, cierpiącymi czy osamotnionymi. Kolejna cicha święta, której oszalały w złu świat nawet nie będzie pamiętał.

Dlaczego? Oszalały w złu ma coraz potężniejsze problemy z pamięcią. Nie wie już nawet, czy wojna już od dawna trwa, czy dopiero się zaczyna. Czy to ostatnia z zaplanowanych wizyt seryjnego samobójcy na pokładzie samolotu, czy też po prostu początek kolejnych? Czy nienawiść boli straszliwie czy też zupełnie uodparnia na ból?

Nawet „ból” został skutecznie zdeprecjonowany przez zwinnie jak kozica górską skaczącego po krzesłach i stał się przedmiotem internetowych żartów jako „bul”.

Przerastające człowieka cierpienie też już nie jest istotne, jeśli nie zostało obfotografowane i skomentowane na Facebooku.

Czas przypomnieć sobie wszystko, czego nauczyliśmy się na strzelnicy, recytując w myśli wiersz Andrzeja Trzebińskiego, który był ponoć ulubionym utworem Danusi Siedzikówny:

*„(...)Poniosę nad granicę kalinę, kłosy, bzy -
To z nich granice będą – z miłości, a nie z krwi.
Granice mieć z miłości w żołnierskich sercach – „U”.
Nasz kraj tam gdzie się kończy, gdzie w piersiach braknie tchu.”*

Słodcy niepotrzebni

Felieton, piątek, 20, marzec 2015 20:36

Opowieści prawdziwe wypełniają przestrzeń felietonu niczym literatura i nauka – przestrzeń Biblioteki Aleksandryjskiej. Z tą tylko różnicą, że felietonistyka polska miewa się nadzwyczaj dobrze i raczej nie podzieli losu słynnej Biblioteki.

Pewien znany aktor pojawił się publicznie podczas kolejnej prestiżowej okoliczności tego samego wieczoru. Organizatorzy i wielbicieleki zaproponowali zdjęcie zbiorowe. Ochoczo przystał, wszak publicznie oraz nieustannie wielbiony potrzebuje więcej i więcej. Gdy pewien znany periodyk spieszył zamieścić, a także opisać rzeczony zdjęcie, Aktor zasyczał: zdjęcie – tak, ale mają na nim tylko szczupłe osoby, z grubasami nie będę się fotografował (choć się już był sfotografował!), bo psują mi wizerunek!

Aktor nie stracił tego wieczoru tłumu wielbicielek, bowiem żyją dalej w błogiej nieświadomości i zasypiają z jego zdjęciem otulonym we łzach pod chłodną poduszką.

Tyle że za sto lat biografowie odnajdą rzeczony zdjęcie i wykrzykną zgodnym chórem: ”Cóż za harmonijne ciepło wzajemności!”

Światek artystyczny ma nieodmiennie to do siebie, że inni traktowani są jak naczynia jednorazowe – raz wykorzystane lądują w koszu na śmiecie. Gdy potrzebne jest dobre nazwisko, by dana inicjatywa wyrosła ponad konary baobabów, o taką osobę zabiega się płaszcząc i płacząc. Z pomocą bynajmniej nie pospieszy tu pokryte kurzem przysłowie, iż kompan we wspólnych przygodach, towarzyszy z poszukiwaniu prawdy, w chwilach zwątpienia czy nieszczęścia staje się sprzymierzeńcem i pomocnikiem.

Savoir-vivre w środowiskach artystycznych od dawna już jest pojęciem nieznanym, smutniej jest w środowiskach publicystycznych, gdzie o savoir-vivre jest jeszcze się przepięknie mówi i publikuje, choć środowisko postulujące imperatyw stosowania savoir-vivre w publicystycznej codzienności postępuje niejednokrotnie „pas comme il faut” ze swoimi najbliższymi sercu publicystami.

Słodcy wtedy, gdy potrzebni, naczynia jednorazowe – gdy niepotrzebni.

Taki fenomen obserwujemy również w środowiskach akademickich - póki co, muskam skojarzeń na przykładzie znamienitej duńskiej uczelni w Aalborgu, gdzie kolejny „mędrzec” od dobra dzieci, prof. Christian Graugaard (odsylam do strony www. tamtejszej uczelni) – nota bene przedstawiciel mojego pokolenia – głosi, iż oglądanie twardej pornografii (z pomocą nauczycieli i zmodernizowanego programu szkolnego) pomoże uczniom pojąć, iż jej oglądanie różni się od prawdziwego seksu. Po takim praniu mózgow duńscy małoletni nie tylko będą „słodkimi niepotrzebnymi”, zdegradowanymi przed dorosłych do roli królików doświadczalnych, ale zasilą wolne miejsca w szpitalach psychiatrycznych.

Puenta jest zbyt bolesna, by sprowadzić ją do poziomu zdawkowej puenty.

Rekomendowane czy w zapomnieniu?

Felieton, sobota, 14, marzec 2015 09:25

W czasach neocywilizacji obrazkowej niezwykle trudno jest rekomendować dzieła pisane, jeśli nie odcisnęły piętna swej obecności na Facebooku lub nie uraziły czyjś wysokiego ego. Upływ czasu nie nadwyręza jednak treści dzieł doskonałych, acz niesłusznie zapomnianych.

W 1938 roku X. Stanisław Tadeusz Podoleński - jezuita, pedagog, socjolog i późniejszy męczennik opublikował dzieło pod znamienym tytułem „Rodzina w Sowietach” w symbolicznym nakładzie stu egzemplarzy i to w serii znanej podówczas jako „Komunizm bez maski”. Autor – doskonały znawca spraw dotyczących rodziny przedstawił niedolę przeciętnej rodziny „pod sowieckim zaborem”, rozbitej przez bezbożne ustawodawstwo a przede wszystkim piekło, przez które kobiety i dzieci przechodziły za bolszewickich czasów. Dlaczego współcześni nie znają tego dzieła? Publikacja to arcyciekawa, tym bardziej, że w owym czasie gorąco rekomendowana „kierownikom Akcji Katolickiej” oraz prelegentom różnym. Ci ostatni licznie funkcjonują w naszych czasach, przekonani głęboko o własnej, acz intuicyjnej znajomości retoryki praktycznej, choć „wyobrażone” z „prawdziwym” mija się w ich przypadku z zadziwiającą regularnością.

Retorzy i mędrzy licznie funkcjonują, choć coraz mniej cierpliwie słuchających. Pedagogika jako nauka rozrosła się w Polsce po II wojnie do monstrualnych rozmiarów i pedagog-teoretyk zdominował skutecznego pedagoga-praktyka.

Słynny Antoni Makarenko, którego wówczas tak czule wspominano oraz którego już kilka razy niesfornie nazwałam „prawujaszakiem gender” przekonywał w swych

pismach o potrzebie panseksualizacji komunistycznej rzeczywistości jeszcze przed II wojną. Co działałoby się w chorych komunistycznych umysłach, gdyby faktycznie wszystkie były spanseksualizowane?

Wszak to rzeczony Makarenko twierdził, iż specjalne metody wychowawcze są pożyteczne, bowiem służą wychowaniu seksualnemu. Nie przypominam sobie, by sprecyzował jednak jakie. Niewinny wujaszek na tle hordy niewinnych dorosłych, którzy uważają, że wiedzą wszystko najlepiej.

I stało się. Świat dziecka – programowo pełen dobra i piękna został zniszczony przez dewiantów i „molestowanie seksualne”. Do dziś Standing Committee on Sexually Abused Children forsuje bezduszną terminologię jako eufemizm okrucieństwa.

To „niewinni” dorośli odarli dzieci z chrześcijańskiej tożsamości polskiej kultury, na przykładzie i tak wystarczająco już kontrowersyjnego, narzuconego odgórnie podręcznika, znanego jako DARMOWY „Nasz elementarz”. To nieodpowiedzialni dorośli ograniczyli rolę symboli religijnych i narodowych w procesie normalnej edukacji polskiego dziecka, z czasem w jego świadomości i świadomości polskiej rodziny. Zafundowali dzieciom brak równowagi psychoafektywnej oraz brak poczucia bycia kochanym. Pomoc przychodzi najczęściej opieszale, gdy już jest zdecydowanie na późno.

Szkoła także dalej dokonuje zawłaszczenia duchowego dzieci. Rozbudowana wiedza o starożytności contra zero godzin poświęconych II wojnie światowej. To rodzice powinni, wprowadzać swe latorośle w system wartości i nikt obcy nie ma prawa zawłaszczać rodzicielskich praw oraz obowiązków. Mają prawa do wyboru modelu wychowawczego zgodnego z wyznawaną przez nich wiarą. Tyle, że wielu z nich pogubiło się w poł drogi między tym co wartościowe i rekomendowane dla dobra dziecka, a tym, co przypomina zakamuflowane wytyczne „neosowietyzacji” ducha polskiej rodziny. Przestali czytać ze zrozumieniem.

Wszak czytania ze zrozumieniem szkoła wymaga teraz tylko od dzieci.

Urodzeni w Internecie, w Internecie pogrzebani...

Felieton, poniedziałek, 09, luty 2015 12:47

Hejtowanie to uzależnienie. Uzależnienie być może jeszcze niesklasyfikowane, trudne do wyleczenia, bowiem potrzebujący pomocy - tej pomocy wcale nie chce. To uzależnienie od wyrażania nienawiści.

Anonimowy hejter nie zdaje sobie sprawy albo po prostu udaje, że nie zdaje sobie sprawy, iż popelnia zarazem przestępstwo. Ktoś wymyślił eufemizm oparty na

anglojęzycznym źródłosłowi i nienawiść otrzymała nietajone przyzwolenie. Hejter, czyli „nienawidzacz” jest współczesnym modelowym tchórzem. Schowany za przybraną tożsamością ugniata błoto w klawiaturze własnego komputera. Gdyby nakleić mu na czole IP, spod którego jad się sący albo uświadomić mu, że nie jest anonimowy... cóż by zrobił?

Coraz bardziej rozlewa się zjawisko cyberbullingu – bo przecież na wszystkim można zarobić.

Hejt przekroczył już dawno pajęczyny Internetu i wdziera się do meili, sms-ów.

Gadzi Język z „Władcy Pierścieni” jest zmutowanym feniksem, który tym bardziej głodnieje, im bardziej ONR zwiera szyki.

Przyjrzyjmy się jednak bliżej uzależnionym od hejtowania. W niektórych przypadkach potrafią łączyć zarabianie z uzależnieniem, w niektórych – nie znajdując REALNEJ pracy dają się skusić „ofercie” płatnego, aktywnego hejtowania. Są opłacani za aktywność w internetowych dyskusjach politycznych systematycznie dyskredytując ludzi uczciwych. Są nawet firmy zatrudniające hejterów, których zadaniem jest podnoszenie „klikalności”, sabotowanie konkurencji lub też uprawianie zawodu, którego określano niegdyś eufemizmem „spółdzielnia długie ucho”. Dniem i nocą produkują długie tyrady na FB i forach dyskusyjnych, śledzą poglądy i wnikliwie obserwują losy dyskutantów.

Hejtują młodzi i starzy. Młodzi – gdy jest to ich naturalne środowisko bezkarności, bo urodzili się w Internecie i tu umrzeć zamierzają, anonimowo lejąc żółć i jad.

Skutki? Wystarczy przypomnieć całkiem niedawną historię uczennicy, która hejtowana wstrętnymi pytaniami na ask.fm nie wytrzymała dłużej i powiesiła się. A oprawca pozostał anonimowy.

Za mało przykładów? Oto następny: nauczycielka z wieloletnim stażem, pracownica jednego z większych ośrodków doradztwa metodycznego chciała hejtowaniem doprowadzić do obłędu, a następnie samobójstwa irracjonalnie wybraną ofiarę – tym razem udało się w ostatniej chwili uniknąć nieszczęścia i sprawą zajęła się prokuratura.

Stereotypowe remedium brzmi: nie przejmować się, ignorować, nie wdawać się w polemikę, bo taka hejtera nakręca, pchnąwszy go ku jeszcze większej nienawiści, groźbom, i agresji. Jaką upiorną ciekawostkę można potraktować fakt, że hejter innych oskarża o nienawiść, brak zasad, obłęd i wszelkie przejawy zła tego świata, czując się słodko niewinnym oraz znającym się na absolutnie wszystkim nieskazitelnym moralistą.

Są hejterzy anonimowi, są hejterzy podpisujący się swoim nazwiskiem.

Anonimowi zakładają fałszywe konta na portalach społecznościach, na forach, czując się bezkarni w swych hejterskich praktykach. Do czasu. Zdążą jednak dać upust kompleksom, zawiści, bezprawnego osądzania prowadzić zacieklą walkę na miecze przed monitorem. W rozdeptanych bamboszach i zwietrzałym piwem jako odorem

odwagi. Są przeświadczeni o swojej misji wypełnianej za pomocą agresywnych, często irracjonalnych komentarzy, skierowanych świadomie w konkretną osobę – we wszystko co jej samej dotyczy, a – przy eskalacji zła – w całe jej środowisko.

Kiedyś kolekcjonowano znaczki pocztowe i wizytówki, teraz można tworzyć kolekcje hejtów wedle wysublimowanej systematyki. By dokonać owej systematyki trzeba mieć jednak za dużo czasu i puste życie.

A swoją drogą zastanawiam się, czy przydomki, którymi jestem obdarzana powinny znaleźć się tekście o hejtowaniu czy komplementom. „Faszystka” (!). „Feministka” (!). „Żydówka” (!). „Publicystyka narodowa jest tylko dla mężczyzn, jakim prawem ONA TU...?” – to tylko kilka subtelnych przykłądów.

P.T. Czytelnikom pozostawiam to pod rozwagę.
A nie pod osąd.

Dobro-czynienie w czasach zagłady

Felieton, środa, 04, luty 2015 14:45

Przez pryzmat historii jeszcze boleśniej zaczynam rozumieć, co dzieje się tu i teraz. Zarazem jednak inaczej spoglądam na współczesne formy pomocy zinstytucjonalizowanej jaką jest choćby wolontariat, odczuwając zarazem nieodpartą tęsknotę za jej kresowymi przejawami niezinstytucjonalizowanymi z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych minionego wieku. Ostatni ordynat wybudował wówczas w Massalanach nieopodal Ejsymontów Wielkich szkołę powszechną i opłacał nauczycieli. Dla dawnych pracowników ordynacji stworzył dom spokojnej starości i serdeczniej opieki, którego domem starców nikt nie śmiałyby nazwać.

Nieopodal Wołkowyska, w niewielkiej Rosi wchodzącej niegdyś w skład dóbr hr. Stefana Potockiego, Beata Branicka założyła sklepik dla ubogich, a także szpital dla zakaźnie chorych, którego część wyizolowała z czasem na ochronę dla osiemdziesięciorga kruchych, niedożywionych, zagubionych dzieci. Troszczyła się także o los młodzieży i to z myślą o niej stworzyła warsztaty, w których każdy jej podopieczny mógł doskonalić swe talenta manualne. Mało tego: sama też prowadziła lekcje religii, przygotowywała dzieci do Pierwszej Komunii Świętej i młodzież do Bierzmowania. Inna dama hojnego serca i światłego umysłu - Zofia Korzon-Lubieniecka zorganizowała podówczas w okolicach Szczuczyna kursy rolnicze dla młodzieży oraz ufundowała Dom Ludowy dla okolicznych mieszkańców.

To zaledwie kilka przykładów szlachetnej postawy polskiego kresowego ziemiaństwa w czasach po kolejnej zagładzie. Wielki majątki, ale i wielkie serca. Wielkie poczucie odpowiedzialności za innych i miłosierdzie nie stawiające granic. Brak zdeformowanych samousprawiedliwień w stylu „bo już dalej nie mam siły”, „dlaczego miałabym - miałabym dawać tyle z siebie nieznajomym” (czyt. „gorszym”).

Dobro-czynienie, które zaczęło ginąć w szponach 17 września 1939 roku. Mordowane, torturowane, zsyłane.

Teraz tabuny biorców nie rozumieją istoty dobro-czynienia, bowiem tak przyjemnie jest brać, że biorą całymi garściami, uważając, że im się po prostu należy. Biorcy w sensie emocjonalnym, materialnym, nowocześni zachłanni, którym obce jest całkowicie pojęcie wzajemnego „noszenia brzemion”.

Philánthrōpos, czyli kochający ludzkość w roku 2015 wyciąga z portfela wymiętolony banknot i podaje obdartusowi (tak go nazywa) w świetle wielkiej rampy. Zadbaj jeszcze, by po wielokroć pochwały go lizusowskie media – może im coś tego na przyszłość skapnie. Najlepiej, żeby był szczupły i wiecznie młody, bo z takimi chcą się kandydaci na ludzi sukcesu fotografować. Przeciwnością dobro-czynienia w dawnym stylu stało się usystematyzowane niszczenie człowieka-symbolu i człowieka-instytucji.

Niewielu do dzisiaj wie, że pod koniec 1981 roku bezpieka przygotowywała plan skompromitowania Anny Walentynowicz. Kolejnym haniebnym posunięciem miało być podtrucie bohaterki „Solidarności” środkami farmakologicznymi, które miały doprowadzić ją do skrajnego odwodnienia organizmu.

Któż wie, ilu innych działaczy i to w naszych czasach kolejnej zagłady wykańczanych było powoli. Niepostrzeżenie. Poprzez podawanie im różnych środków farmakologicznych w jedzeniu i napojach, co skutkowało przedziwnymi, czasem irracjonalnymi zachowaniami, osłabieniem woli, zadziwiająco biernością i nasilającymi się problemami zdrowotnymi.

Dobro-czynienie w walce ze złem organicznym: nie do zmierzenia, zważenia czy policzenia. Szczególnie atrakcyjne dla niszczycieli, oprawców i tych, co po cichu przygotowani są do wykonania konkretnego zadania. Bestii w białych rękawiczkach, z których nieustannie kapie świeżo pozyskana krew.

Platynowy tatuś

Felieton, środa, 28, styczeń 2015 11:21

Łatwiej teraz o platynę niż o dobrego tatusia.

Gdy ojciec umierał w bitwie albo na wojnie, jego syn i córka doznawali przepastnego

smutku, dumni zarazem, że oddał życie za Ojczyznę.

Kiedy „ojciec” porzuca własne dzieci wymaltretowawszy je do granic wytrzymałości psychicznej, fundując im ciągle uczucie strachu i sinusoidalnego zachowania: od przemocy fizycznej po jawne lekceważenie, wtedy dziecko doświadcza śmierci wielokrotnej. Najpierw niewyobrażalnej pustki, potem wyjącego bólu wypełniającego całe ciało, następnie zaś irracjonalnego samooskarżenia: „pewnie zrobiłem coś złego, skoro mój tatuś mnie nie kocha i nie mieszka ze mną”. Czuje, że jest gorsze, coraz gorsze.

Potraktowane jak naczynie jednorazowe jeszcze chciałoby wybaczyć, ale zrazem coraz bardziej boi się tego, co by było gdyby jednak ojciec wrócił. Czy dalej będzie bił, straszył, albo odpychał gwałtownie dziecko, gdy będzie mu przeszkadzało mizdrzyć się do tysiąca i jeden nagich bajek w Internecie.

Za jakiś czas dojdzie do tego wieloletnie miganie się od płacenia alimentów - bo z czegoś trzeba zaspokoić wydatki na potęgujące się uzależnienia. Już sam hazard i zakupoholizm przecież absorbuje kieszeń.

Portret „platynowego tatusia” to tylko jeden z przykładów. Może mieć też swój żeński odpowiednik.

Ojciec, który porzuca swoje dzieci pozbawia zarazem swoje dzieci matki. To ona będzie musiała teraz w dwójnasób udźwignąć finanse, wychowanie, podwójne zmęczenie fizyczne, a zarazem nie będzie miała prawa poważnie zachorować, bo dzieci mogą liczyć na co dzień tylko na nią.

Kiedy myślimy o zwyrodnialcach i potworach w ludzkim ciele, to z reguły przed naszymi oczami pojawiają się konkretne nazwiska prawdziwych i fikcyjnych psychopatów, lecz tak naprawdę wielu mężczyzn tytułujących się ojcami zasługuje na takie miano. Rujną dzieci i żony, opuszczają rodziny dla własnej wygody i egoizmu nie licząc się z nikim oraz niczym. Pokłosie tego co zrobią mówi samo za siebie: nienawiść i pragnienie zemsty, zatrucie radości życia. Tyle, że nienawiścią i pragnieniem zemsty przepełnieni są oprawcy - nie ofiary.

Kto mężczyzn doprowadził do stanu, który można określić jako „worek narządów” bez sumienia?

Feministki deprecjonujące męskość i z lubością poniewierające mężczyznami. Nadopiekuńcze matki niewydolne wychowawczo. Niewydolni wychowawczo ojcowie. Wycofani. Nieobecni. Zaburzeni.

Oczywiście w dzisiejszych czasach "wierność przede wszystkim sobie" nie jest karana, ba, niekiedy jest wręcz gloryfikowana! Nie łudźmy się, wielu wyrodnym ojcom i

mężów dożyje swoich dni w dostatku i spokoju nie myśląc o swoich występkach. Tylko ta przysłowiowa szklanka wody na starość...

Co więc można powiedzieć o takich mężczyznach, którzy wyrzucają swoje rodziny poza jakakolwiek ligę? Poszukują oni "nowych wyzwań". Są niestali i płytko emocjonalnie, stosują różne techniki manipulacji. Potrafią adaptować się do nowej sytuacji oraz wyznają zasadę "cel uświęca środki". Porzucając własne dzieci stopniowo je uśmiercają (i nie tylko jest to subiektywne uczucie uśmiercenia, odczuwane przez dzieci), wpędzając je w irracjonalne poczucie winy, samotność, izolację, depresję, różnego rodzaju choroby psychosomatyczne skutkujące hospitalizacją i bezbrzeżnym cierpieniem.

Konkludując: lepiej nie będzie. Chyba, że przez świat przetoczyłaby się nieprawdopodobna rewolucja moralna lub społeczna.

Wspierajmy odrzuconych, bądźmy przy nich, nie pozwólmy by ztratili się we własnym cierpieniu.

Na chwilę choć tonizując: brak ojca można porównać z paleniem: nie szkodzi od razu, ale sieje zniszczenie przez całe lata...

Siostrzyczki i braciszekowie zamordowanego dziecka

Felieton, niedziela, 11, styczeń 2015 14:24

Koszmary senne. Najpierw pojedyncze, potem cykliczne. Cierpiące, nienarodzone rodzeństwo woła o pomoc. Żyjący braciszek czy siostrzyczka nie dają sobie rady z przerażającymi snami. Nie może zrozumieć, kim jest tak cierpiące, nieznajome - a przecież tak bliskie - dziecko.

Rodzice też zachowują się jakoś inaczej. Szczególnie mama. A potem strzęp przypadkowo usłyszanej rozmowy. Dziwne myśli gonią kolejne.

Dorośli nazwaliby to „syndromem ocalańca aborcji”. Wydumana nazwa tu na nic. Dziecko ma coraz większe poczucie zagrożenia, lęk, a potem już liczne łęki rozlewają się. Domyśla się, że - mówiąc językiem poprawności dorosłych - „rodzice aborowali jego rodzeństwo”. Dziecko zadaje sobie pytanie: „Dlaczego JA żyję, a moja siostrzyczka – mój braciszek nie?”

W dorosłości osiągnie nawet sukces, ale ciepłe słowa i pochwały nie będą go cieszyć. Żyje na kredyt, bo rodzice byli niesprawiedliwymi sędziami i skazali jego rodzeństwo w maleńkości na śmierć.

Kim byłby jego braciszek, gdyby żył? Lekarzem? Ogrodnikiem? Dobrym ojcem licznej gromadki dzieci? Kim byłaby jego siostrzyczka w dorosłości? Pielęgniarką w hospicjum? Ilustratorką książek dla dzieci? Panią przedszkolanką?

„Gdzie teraz jest mój braciszek? Gdzie teraz jest moja siostrzyczka?” – pyta dziecko określane mianem „ocalonego od aborcji”. Przeżyło, ale dotknięte jest nieustającym lękiem przed śmiercią. Cierpi na napady paniki. Straszliwie boi się ciemności i bólu.

Może rodzona matka planowała i na nim dokonania aborcji, ale w ostatniej chwili od tego odstąpiła? Ma ona wyrzuty sumienia? Jest zaprogramowana na wyrachowanie? Trudno wyrokować.

Tyle, że to jej dziecko będzie miało nieustające poczucie winy i musi żyć ze świadomością, że komuś nieustannie przeszkadza, że nie spełnia oczekiwań otoczenia. Będzie uciekać w uzależnienie, potem w liczne uzależnienia albo przynajmniej stanie się współuzależnione. Obciążone wygórowanymi oczekiwaniami matki weźmie na siebie ciężar dziecka niechcianego.

Ocaleńcy od aborcji to są właśnie osoby, które z różnych powodów „chciano”. To one są dotknięte Zespołem Osoby Ocalonej od Aborcji. Ich rodzeństwo zostało zabite, zaś oni są ocaleńcami. Czasem matka w przypływie irracjonalnego gniewu wykrzyczy im prosto w twarz „Szkoda, że ty żyjesz!”, obwiniając ocalonych za jej własne niepowodzenia.

Może zaś jego braciszek-bliźniak lub siostrzyczka-bliźniaczka została zabita podczas aborcji, a ono ocalało? Może ono też miało być zamordowane, ale matka odstąpiła od decyzji? Albo zwlekała do czasu, gdy już za późno było na zabicie nienarodzonego?

Siostrzyczki i braciszki zamordowanego dziecka będą już zawsze mieli niskie poczucie wartości. Deficyt asertywności skomplikuje im codzienność. Staną się bardziej podatni na przemoc. Uwikłani w wieczną niedojrzałość nie będą umieli tworzyć zdrowych relacji.

Pierwszym prawem każdego człowieka jest prawo do życia – a nie „bycie chcianym/niechcianym”, a matka winna być ostoją swoich dzieci, a nie – katem.

Na front, książko! Na front!

Felieton, środa, 07, styczeń 2015 12:16

Na co dzień żyję w dwóch światach i nie oznacza to bynajmniej dwoistości natury. Dzienna - w słusznej ilości - dawka lektury czasopism i książek, z których ostatnią zamyka data 31 sierpnia 1939 roku pozwala mi spojrzeć na rozpacz teraźniejszości z zupełnie innego punktu widzenia.

W 1937 roku w Krakowie, nakładem Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy ukazała się broszura autorstwa ks. P. Turbaka zatytułowana „Na front w obronie praw religii” o charakterze niemalże profetycznym: „Komunizm, totalizm, egoizm - oto bożki dzisiejszego człowieka po wyrugowaniu religii z publicznego, a w dalszym następstwie i z prywatnego życia!”.

Autor przytacza też przerażające statystyki, ogłoszone swego czasu przez paryski „Le Monde!”, dotyczące „sowieców komunistycznych”, czyli państwa gdzie całkowicie wyrugowano religię z życia. Ks. Turbak podaje liczby dotyczące pomordowanych przez komunistyczną czerezwyczajkę w latach 1917-1923 (wyimkowo pięć lat!), gdzie mordercy wyrzekli się religii, ale zarazem rozkoszowali się „zapachem krwi ludzkiej niewinnie przelanej”.

„Bilans prawdziwie szatański!” - jak podkreśla sam autor. Komunistyczna czerezwyczajka wymordowała bowiem w tym okresie: 25 biskupów, 1215 księży, 6575 nauczycieli, 8800 lekarzy, 1900 urzędników, 344250 pracowników umysłowych, a gdyby podać jeszcze ilości wymordowanych przedstawicieli innych zawodów i innych proveniencji.

Ks. Turbak słusznie gniew okazuje wobec wylansowanego przez sowieców zamysłu jakoby religia miałyby stanowić jedynie sferę prywatną i uważa to za niedorzeczną „postępowość”: ”Więc Bóg jest naszym Panem tylko w domowych ścianach, lecz już w zawodowej organizacji, w ułożeniu stosunków między robotnikiem a kapitalistą, w prawodawstwie państwa, to naszym panem będzie może żyd Marks! Wolne żarty, moi panowie!” (Cytuję z zachowaniem pisowni oryginalnej - przyp. M.C.)

Podkreśla też, że gdyby religia polegała jedynie na noszeniu medalika i obrazach na domowych ścianach, byłaby jedynie sferą prywatną prowadzącą do dewocji. Komunistów i socjalistów nazywa „grabarzami religii” – to przykład gromkiej, tematycznej metafory, której brak w naszych czasach.

Nam wszystkim coraz bardziej potrzeba lektur przemawiających do sumień, lektur gromiących i naprawiających zamiast piętujących się na księgarskich półkach stosach poradników, napisanych często przez tych, którzy sami ze sobą zupełnie sobie nie dają rady. Ks. Turbak woła do nas głośno, uzmysławiają nam, że jesteśmy k a t o l i k a m i na których ciąży wielki, dziejowy obowiązek, bowiem to religia katolicka stała się „oblubienicą polskiego narodu”. Ponadto utwierdza w przekonaniu, iż wszelkie organizacje handlowe, zawodowe, polityczne, oświatowe, sportowe jako „objaw życia jednostek”, które zbiorowym wysiłkiem zdobywają potrzebne dla siebie dobra powinny mieć katolickie oblicze.

Co miałyby to oznaczać w praktyce? W statutach związkowych oraz programach organizacyjnych nie powinno być żadnej sprzeczności z katolicyzmem, a terminy zebrań

i narad nie kolidowałyby z niedzielną potrzebą uczestnictwa we Mszy Świętej.

Echa tej publikacji znajdziemy w dwóch innych znanych P.T. Odbiorcom broszurach „Raj komunistyczny” ks. prof. Fr. Kwiatkowskiego oraz „Źródła dzisiejszego bezbożnictwa” tegoż samego Autora.

Ważne i poruszające lektury warto przywoływać w czasach upadku polskiej oświaty i szkolnictwa - genderyzacji umysłów i pozbawiania uczniów niezbędnych w edukacji młodego Polaka lektur. Nie chcemy chyba, by nasz kraj stał się synonimem abominacji z pustynią genderowo-lekturową w tle.

Nie-matki i mateńki

Felieton, niedziela, 04, styczeń 2015 15:01

One chciałyby mieć za wszelką cenę. Mieć dzieci piękne i „udane”, bo innych nie umiałyby pokochać. Tylko podobne do idealnego ojca i do idealnej matki. Zapędzają je zatem do przymusowego udziału w niezliczonych zajęciach pozalekcyjnych. Wożą całymi popołudniami albo każą pociechom, by pojechały same.

Musi być duuużo zajęć. Sportowych, muzycznych, językowych, rysunkowych, filmoznawczych, modelarskich, z doskonałości origami, „kreatywnego” pisanie, „savoir-vivre’owych”, survivalowych, byleby tylko dziecko nie miało czasu być dzieckiem.

Mało tego. Opłacone osoby obce przejmują obowiązki - również rodzicielskie - aż do powrotu matek umęczonych czternastogodzinnym dniem pracy (często na własne życzenie). Niewydolne wychowawczo stare dziewczynki przyczyniają się do rozpowszechniania kultu małych, w gruncie rzeczy bardzo nieszczęśliwych i osamotnionych pseudogeniuszy.

Pseudogeniuszy, którzy potrafią żyć jedynie światłem odbitym.

To także typowy przykład pozorowanych działań wychowawczych, tworzenie obrazu „doskonałego” dziecka na zamówienie, które w przedszkolu, szkole deponowane jest do późnych godzin, potem prowadzone na liczne, absorbujące zajęcia, tak, by późno wracające z pracy matki widziały własne dziecko jedynie pogrążane we śnie.

Tym samym – uciekając w pracę, w życie towarzyskie, w wieczorne włączenie się na zakupach w świeckiej świątyni, czyli galerii handlowej same siebie pozbawiają normalnego macierzyństwa i więzi z własnym dzieckiem.

Są na szczęście matki, mateńki i mamusie, które kochają swoje dzieci bezwarunkowo. Jedno z takich przepięknych świadectw znalazłam na stronie, poświęconej codzienności nieuleczalnie chorego chłopca. Nie sposób „pociąć” na cytaty tak głębokiego wyrazu

matczynej miłości do bezbronnego dzieciątka, dlatego też wypowiedź przytraczam w całości:

„Zdrowe, czy chore. Sprawne czy kalekie. Grzeczne czy łobuzowate. Ciche czy wrzeszczące. Powolne czy niedoścignione. Zdolne czy mniej uzdolnione. Śpiewające czy głuche. Spostrzegawcze czy niewidome. Oby było kochane, a szczęśliwe będzie.

Nie zastanawiaj się czy warto wydać na świat dziecko, czy je usunąć ze względu na jego ułomność, chorobę. Dziecko to CUD. Doceń je, a ono się odwdzięczy.

Życie Frania choć pełne bólu, cierpienia i łez. Pełne też śmiechów, zabaw i radości. Otaczają go ludzie, którzy kochają, dbają i trwać będą w każdej minucie jego życia. On jest szczęśliwy i tak bardzo chce być dalej z nami. Skąd to wiem? Bo tu jest, bo walczy, bo on tak bardzo chce żyć! Widzę to w jego gestach, ruchach, bladych uśmiechach, w sposobie jaką ściska mą dłoń!

Podziękuj dziś Bogu za swoje dzieci. Za to, że są. Nieważne, jakie. One są. I wyszeptaj dziecku do ucha to, co często niewypowiedziane na głos: "Kocham Cię Skarbie i nigdy nie przestanę."

Nie ma tu puenty. Bezgraniczna, bezwarunkowa miłość nie jest bowiem końcem, lecz nieustającym początkiem.

Po śmierci Dmowskiego naród w żałobie

Z kraju, piątek, 02, styczeń 2015 15:34

„Orędownik” - Ilustrowany dziennik narodowy i katolicki z 5 stycznia 1939 roku w całości poświęcony był Romanowi Dmowskiemu. Poruszające nagłówki artykułów wyrażały boleść tej części narodu, która oplakiwała Jego śmierć.

Cytowano „Warszawski Dziennik Narodowy” - naczelną organ Stronnictwa Narodowego, kreślącego w artykule wstępnym sylwetkę Wodza ruchu narodowego:

„Roman Dmowski nie żyje! Dla najbliższych, dla współpracowników politycznych jest to stwierdzenie faktu, który wstrząsa do głębi. Odszedł bowiem człowiek, który umiał być mistrzem i przyjacielem, człowiek, który dzięki swej znajomości Polski i świata wiedział zawsze, gdzie jest prawda i gdzie jest wieczny interes Polski...”

Redakcja „Słowa Pomorskiego” podkreślała:

„Roman Dmowski obdarzony był przez Boga największym w Polsce instynktem narodowym. Na długiej, a wielkiej linii dziejowej stoi kolumnowym drogowskazem,

tyczącym drogę pokoleń. On jedynie na równi Chrobrym, Łokietkom i Kazimierzom wbijał żelazne słupy w granice narodu. Jedynie on objął całość wszechpolską”.

„Wielki kanclerz zmartwychwstającej Polski” - pod takim tytułem pisał Stanisław Stroński w „Kurierze Warszawskim”:

„Zgasł jeden z największych umysłów politycznych na szlaku dziejów Polski. W dziedzinie politycznej niepodobna, oczywiście, oderwać myśli od działania, więc też dzieło polityczne życia ś.p. Romana Dmowskiego będzie w całości wiekopomne.(...) Jako polityk i pisarz polityczny, śp. Roman Dmowski non ex se natus est, nie urodził się sam z siebie. Zjawiskiem dziejowym, rozległym i potężnym, w którym mocna jego postać wysunęła się wkrótce na czoło, był, pół wieku temu już wyraźnie zachowujący się prąd narodowy wszechpolski”.

W „Słowie” wileńskim z dnia 5 stycznia 1939 roku czytamy:

„Dmowski przywiązywał zawsze największe znaczenie do ideologii i dzisiaj wielki tryumf stał się Jego udziałem. Młode pokolenie polskie, dorastające już w epoce rządu Jego przeciwników, od góry do dołu przeniknięta jest Jego ideologią”.

Warto też w dniu śmierci Romana Dmowskiego przypomnieć przynajmniej fragment Jego przemówienia, wygłoszonego na uroczystości nadania Mu doktoratu honoris causa Uniwersytetu Poznańskiego w 1923 roku:

„Bóg mi dał to szczęście, że widzę inną Polskę, że umrę w innej, niż ta zdeptana, zhańbiona i uciśniona, ze strachem w przyszłość patrząca, w której się urodziłem. Ale i wtedy, gdy ten obraz był daleki, nie czułem się nieszczęśliwy: swoją siłę moralną opierałem na poczuciu, że spełniam w miarę sił święty obowiązek, że wysiłki moje i tych, którzy na równi ze mną, pod tym samym nakazem i dla tego wielkiego celu pracują i walczą, lepszą niezawodnie zbliżając przyszłość, i nas w tej pewności, którą i dziś, więcej nawet, niż kiedykolwiek posiadam, że po nas przyjdą inni, którzy z tą samą wiarą, z tym samym poczuciem obowiązku i odpowiedzialności pracę swoją będą Polską dźwigali, walczyli o jej byt i należne jej miejsce w świecie”.

Można by tak mnożyć dziesiątki przykładów nagłówków i cytatów z ówczesnej prasy, nie pominawszy tytułu „Postać dziejowa” („Goniec Warszawski”), „Dzieje ostatniego 50-lecia Polski i Dmowski” („Wieczór Warszawski”), „Wielki sługa i żołnierz narodu” („Ilustrowany Kurier Codzienny”) , „Gorący patriota”(„Kurier Polski”), „Decydująca rola Dmowskiego” („Kurier Poranny”) , „ Twórca szkoły politycznej” („Czas”), „Dmowski własnością całego narodu” („Dziennik Poznański”), „Przeciwnik na wielką skalę” (socjalistyczny „Robotnik”), „Gorące serce polskie” („Polska zbrojna”), „Nieubłagany przeciwnik Żydów” (żydowski „Nowy Dziennik”), „Wielki, ale szlachetny przeciwnik” (Deutsche Rundschau” – organ Niemców zamieszkałych w Polsce), „Dmowski i Niemcy” („Danziger Vorposten”). Cytowane były liczne depesze kondolencyjne –w tym – i nie jest to dla mnie zaskoczenie -od słynnego Kornela

Makuszyńskiego. Na pierwszej stronie „Orędownika” z 5 stycznia 1939 znalazł się też szczegółowy opis ostatnich godzin życia Wielkiego Polaka oraz program uroczystości pogrzebowych.

Próżno szukać echa tamtych zdarzeń w dzisiejszych „wielkich” gazetach i „wielkich” tygodnikach. „Wielkich” - bo wielkie zaczynają przynosić straty.

Najwięcej adresów wspominkowo-kondolencyjnych można znaleźć dziś na Facebooku. Dziś jednak stańmy przy Jego grobie. I niech pochylą się głowy nie tylko tych, co przyjaciółmi jego idei, ale i Jego adwersarzy... I niech otworzy się zapomniana fraza z okolicznościowego wydania „Gońca Warszawskiego”: *„Dmowski był postacią dziejową. Częstkę Jego odnajdzie każdy z nas w sobie”*.

W kibitce sumienia

Felieton, wtorek, 30, grudzień 2014 11:09

Jest rok 1915. We Lwowie, nakładem „Życzliwych i Przyjaciół Autora” (nazwa autentyczna!) ukazuje się książka Jana Tadeusza Wróblewskiego „Zza kraty. Wspomnienia z więzienia”. Unikatowy egzemplarz, który trzymam dziś w ręku nosi pieczęć „Centralny Komitet Obywatelski Królestwa Polskiego Samara”. Obok zaś adnotacja pismem kaligraficznym: „Ofiarodawca XXX (tu znamienite polskie nazwisko), 9 marca 1916, Samara.

Samara nad Wołgą.

Ręce felietonistki drżą ze wzruszenia. Ta pieczęć to tysiące ludzkich losów. P.T. Czytelnicy domyślają się, że chodzi o organizację utworzoną w dniu 24 sierpnia A.D. 1915 z inspiracji Władysława Grabskiego, która zajmowała się organizacją życia społecznego jednoczącego się państwa oraz niesieniem pomocy polskim wygnańcom i jeńcom, a także reprezentowała uciśnionych i prześladowanych Polaków w Rosji. Pragnę też przypomnieć, że sam Grabski wysłał syna właśnie do Samary, gdzie młodzieńca leczono kumysem. Gdy tradycyjna terapia nie dała rezultatu, zawiózł go na Kaukaz. Oburzenie Grabskiego wywołał fakt, że jeszcze w lipcu 1915 roku ochrona carska przeprowadziła tzw. „aresztowania pożegnalne” (o ironio!), zsyłając w głąb Rosji ponad trzy tysiące osób.

Unikatowy egzemplarz książki znaczonej jest polską krwią – dlatego też z tak wielką atencją trzymam go w ręku. Literaturoznawcy, historycy, nauczyciele i niestety narodowcy o niej już zapomnieli. A przecież jest to ponadczasowe studium polskiego męczeństwa na terenach okupowanych przez Rosję.

Historia zaczyna się od bezprzyczynnych aresztowań uczniów.

Bezprzyczynnych? Uczniowie rozmawiali między sobą po polsku. „Strożajsze wospreszczajetsa w stienach gimnazji razgowariwat’ na polskom jazykie.” – cytuję z zachowaniem oryginalnej pisowni przerażona pewną symetrią – niedługo za najmniejsze choć słowo krytyki pod adresem plugawego gender uczniowie będą surowo karani przez władze szkolne.

Uwięzieni chłopcy z opowieści Wróblewskiego wyzywani są od złodziei, doliniarzy i trafiają do więzienia. Nie znam innej książki, która w sposób tak wiernie realistyczny oddawała szczegółowy opis tego, co działo się z Polakami w rosyjskich więzieniach. A przecież te same budynki zamieniono później w sowieckie więzienia, tylko treści niektórych aktów oskarżenia i szybkich wyroków nie zachowały się do wiadomości potomnych.

„Za kraty. Wspomnienia z więzienia” to także wnikliwe studium zła, mentalności i pogłębiającej się atrofii sumienia oprawców i morderców. To także realistyczne opisy przykładów upokarzania naszego narodu, prześladowań i ruskiego „celebrowania” w wysyłaniu Polaków na katorgę:

„Na niskim stołku siedział ów chudy i mały stary człeczyna, a nogę wyciągniętą trzymał na specjalnym kowadle. Kowal objął delikwentowi żelazną obrączkę kajdan gołą nogę nad kostką, włożył nit w odstające spojenia i młotkiem silnie kilkakrotnie uderzył. To samo powtórzył z drugą nogą – prędko, sprawnie, umiejętnie. Za każdym uderzeniem młotka łańcuchy kajdan dzwoniły urywanymi i tępyimi dźwiękami stali, a za każdym dźwiękiem kajdan – łza wielka spływała po policzkach zbrodniarza... Zakuwanie w kajdany ból mu sprawiało nie fizyczny, jeno jakiś inny...” (s.30). To tylko przykład „pasowania na katorżnika”.

Tyle, że to oprawcy są na zawsze uwięzieni w kibitkach swojego sumienia – jeśli jeszcze je mają. A co na to Autor? „Pragnę jeno dać na tych kartkach w bezstronnym oświeceniu obrazek owej „strasznej” kary więziennej, przed którą drży wolny obywatel, a która niejednemu z ideowców tak pięknie opromienia głowę aureolą męczeństwa, gdy mury więzienne opuści” (s.18)

W kibitce sumienia oprawca prędzej czy później zdechnie z braku powietrza, a męczennicy idą choćby bosy do nieba...

Ubogi żłóbek w lwowskim mieszkanku

Felieton, środa, 24, grudzień 2014 09:00

Święta Bożego Narodzenia rozpoczynają się w sercu i sumieniu. To jedyne wyjście, gdy sklepy w większości lekceważą religijny wymiar Bożego Narodzenia, zaś wymiar dobra wykorzystują do zwiększenia obrotów.

Zaprzyjaźniona rodzina ze stanu Maryland, dumna ze swych polskich korzeni, pieczołowicie kultywująca – podkreślmy mimo odległości, również cywilizacyjnej - polskie obyczaje w iście XIX-wiecznym stylu, bojkotuje w okresie przedświątecznym sklepy ogałające Boże Narodzenie z wymiaru religijnego, sympatyzując od roku z chrześcijańską organizacją AFA, upowszechniając co roku aktualną listę firm sprzedających produkty „antybożoronarodzeniowych” marek.

Niedawno cała tamtejsza rodzina zaangażowała się nawet w działania tej oto organizacji, która co roku proponuje również bojkot sklepów unikających w reklamach słowa „Boże Narodzenie”. Żałuje, że tej formy działalności nie odkryła przed kilkoma laty, gdy sieć restauracji McDonald’ na stronie internetowej LGTB promowała ... „Happy Meals” dla dzieci! Przerażają ją - również w Polsce - nieźrównoważone zegary, przypominające raczej oklapłe plasterki sera z obrazów Salvadora Dali, wytyczające czas świąt Bożego Narodzenia na pięćdziesiąt cztery dni przed jego prawdziwym terminem.

W reklamach zaś – polskich również - Boże Narodzenie zamienia się w „te święta”, „te wyjątkowe dni”, „święta pełne zabawek”, „dni świątecznych domowych wypieków”, dni „świętecznie niskich cen”.

W ramach ucieczki przed amerykańską laicyzacją Bożego Narodzenia rodzina ze stanu Maryland zamierzała w tym roku spędzić święta w Europie. Pomysł odwiedzenia krewnych w Oxfordzie spalił na panewce, skoro to Oxford – uchwałą władz miejskich - właśnie pospieszył się z anulowaniem Bożego Narodzenia, zastąpiwszy go Zimowym Świętem Światła.

Rodzina ze stanu Maryland najchętniej zasiadłaby dziś do wigilijnego stołu w maleńkim, ubożuchnym mieszkanku, na trzecim pięterku rozsypującej lwowskiej kamienicy, bo i tam dzisiaj na świat przyjdzie Dzieciątko Jezus. Tam jak co roku czeka prababcia Stasia, stawiając na wigilijnym stole cztery puste talerze – dla każdego po jednym i choć wie, że nie przybędą, czeka na nich z opłatkiem jak najdłużej, bo może jednak

Tu właśnie należałoby przypomnieć słowa Juliusza Słowackiego „O matko Polsko, [...] W żłobku serc naszych biednych położona” (Beniowski, pieśń V).Nieprawdaż?

Co roku rodzina ze stanu Maryland stawia na swoim wigilijnym stole puste talerze – dla prababci Stasi, która ciągle na nich czeka, dla pradziadka Ksawerego, którego po Wigilii prababcia Stasia odwiedzi na Cmentarzu Łyczakowskim. Puste talerze – jeden na drugim, bo stawiane obok nie pomieściłyby się na stole. Dla tych z rodziny, co w Katyniu. Dla tych, co w Ostaszkowie... dla tych, co w Powstaniu Warszawskim.

Już wiedzą, że w tym roku służby graniczne nie przepuściły przez obecną polsko-ukraińską granicę transportu ze świątecznymi darami od kibiców Łódzkiego Klubu Sportowego oraz Resovii Rzeszów dla Polaków ze Lwowa. Wioząca paczki grupa polskich kibiców stała mocno ponad dobę ze świątecznymi prezentami na granicy, po czym została z niej zawrócona. Rodzina z Maryland chciałaby wiedzieć, czy zakończyły się procedury mające na celu podjęcie kolejnej próby dostarczenia darów.

Może w ubogim żłóbku mieszkanka prababci Stasi byłoby jeszcze jaśniej?

Przebaczyć i nigdy nie zapomnieć?

Felieton, piątek, 19, grudzień 2014 10:20
Czas Adwentu.

Czas, by dawać świadectwo pobożności - szczególnie wobec tych, którzy wyrządzili nam krzywdę. Przebaczenie jest duchowym Rowem Mariańskim.

Obejmuje otrzymującego wybaczenie i udzielającego. Wlewa się do obcych serc. Ponoć niektórzy otrzymują setną i tysięczną szansę, ale rzadko kiedy potrafią ją docenić przymrożeni w zło-czynieniu. W przypowieści o synu marnotrawnym jest wybaczący i miłosierny Ojciec, ale i skruszony oraz świadom swych przewinień syn. Dręczą go wyrzuty
sumienia.

A co z tymi, co krzywdzą konsekwentnie i tworzą cały paradygmat krzywd, schowani za atrofią sumienia? Pytam o rzeź Ormian w czasie I wojny światowej zapytawszy już o rozbiory. Pytam o Wołyń, pytam o Katyń, pytam o Ostaszkowo, gdzie był mój Dziadek. Pytam o Auchwitz. Pytam o Sybir. Pytam o Berezę Kartuską i moje pytania nie mają końca.

A zarazem myślę o Świętym Szczepanie, który w chwili kamienowania wybaczył swym prześladowcom. Myślę o Marii Goretii, która wybaczyła swojemu oprawcy. Potem uczyniła to jej matka, a po trzydziestoletniej karze więzienia oprawca wstąpił do kapucynów. W znalezionym po jego śmierci „Apelu do świata” jeszcze raz błagał o wybaczenie.

Kiedyś czytałam uważnie Senekę. Był to czas szczególnej uważności i lęku przed organicznym złem. Teraz już się nie boję. Z Bożą Opieką idę dalej pod prąd. I choć

woda sięga czasem do ust - nikt mi ich nie zamknie.

Teraz myśl Seneki przegląda się w wartkim nurcie i wyraźnie widać twarze winowajców oraz pokrzywdzonych. *Parricidae a lege coeperunt – Ojcobójcy pojawili się wraz z prawem przeciw ojcobójcom* – pisał w dziele „O łagodności”. Dziwna historia – dziwna anegdota. Ponoć bowiem Solon zapytany dlaczego w ustanowionych przez siebie prawach nie wprowadził kary za dzieciobójstwo, odpowiedział, iż nie wyobraża sobie, by kiedykolwiek taka zbrodnia mogłaby mieć miejsce.

Niewyobrażalne zło przybiera coraz dziwniejsze wymiary. Czasem bolesna prawda o niegodnych uczynkach ujawnia się zupełnie przypadkowo, choć zło-czyńca skrywał ją przez samą siebie i przed światem latami.

Są jednak tacy pokrzywdzeni, którzy bez przebaczenia nie potrafią żyć. Nie przebaczywszy zgubiliby się we własnym labiryncie, staliby się ofiarami swej własnej obsesji. Czasem wybaczą uludnie, w przypiływie pierwszego impulsu żywiąc nieustannie w sercu nienawiść i przerażenie.

Wybaczyć nie znaczy zapomnieć. Ale czy oznacza rozpamiętywać? Inaczej brzmi wybaczenie win „książkowych”, inaczej bezmiaru zła, którego byliśmy świadkiem i za przyczyną którego ucierpiały najdroższe naszemu sercu istoty. Czasem jedno spotkanie, jedna rozmowa może spowodować lawinę zło-czynienia.

I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. Ilu z nas wypowiada te słowa do bólu świadomie? Ilu z nas jest szczerych w stosunku do samych siebie? A ile razy nam wybaczano? Można też kogoś zdręczyć poczuciem krzywdy. Można też zdręczyć krzywdą. Można też pomylić wybaczenie z zapominaniem. Do wybaczenia niezbędna jest skrucha. Nawet skrucha domniemana.

A czy można wybaczyć gwałt?

Psychopaci często tworzą udane i wiarygodne wrażenie osoby kordialnej, miłej, kochającej- wszystko po to by emocjonalnie uzależnić od siebie nieszczęsną ofiarę, bez końca traktować ją jak przedmiot i niszczyć.

Czy zamordowane przed urodzeniem dzieciątko wybaczyłoby swojej nie-rodzicielce morderstwo?

Co się stanie, gdy spotkają się na Sądzie Ostatecznym?

Te i inne pytania (tu zasmucę co niektórych) pozostaną bez odpowiedzi. Relacje międzyludzkie nie mieszczą się w żadnym schemacie.. Ofiara znajdzie w oprawcy ludzkie uczucia, nawet jeśli nie wobec niej - to wobec kogoś innego. Czasami tylko natychmiast ujrzy emocjonalną pustynię.

Nie zamierzam kończyć tego artykułu. Niech każdy z P.T. Czytelników dopisze sobie jego puentę. Akt woli rozpoczyna wędrówkę w wybaczeniu.

Nawet jeśli...

Lustrzane odbicie

Felieton, sobota, 13, grudzień 2014 18:11

Po raz kolejny w Polsce wiele się mówi o matce, dziecku i rodzinie, choć jak zazwyczaj słowa nie idą w parze z uczynkami.

Przypomina to zaangażowanie władz państwowych w opiekę socjalną nad dzieckiem i matką po roku 1944. Można było utonąć w wodolejstwie tekstów dezyderat produkowanych wówczas w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej, a nawet w Ministerstwie Sprawiedliwości. Potop i pożoga w jednym.

W Departamencie Opieki nad Dzieckiem i Wychowania Pozaprzedszkolnego po 1948 roku prowadzone były nad psychiką dzieci na podstawie 1126 rysunków z lat 1945-1948 i cóż się okazało? Polsko-niemieckie sceny batalistyczne znalazły się w 340 pracach, bombardowanie na 355, wysiedlenia na 145. Egzekucja na 59, sceny z obozów na 25, zaś przykłady znęcania się nad Polakami w 36. A przecież niektórzy autorzy prac nie widzieli Niemców od kilku ładnych lat! Wojna załęgła się w umysłach dzieci na dobre i zabrały ją ze sobą w dorosłość.

Ciekawe, że nie zachowały się żadne analogiczne prace dziecięce dotyczące sowietów (tak, nie ma tu błędu) ...

W „Programie i wytycznych metod nauczania rysunku” w II RP, opracowanym przez Henryka Polichta znalazł się następujący zapis:

„Aby osiągnąć cel nauki rysunku trzeba oprzeć się na programie przystosowanym do psychiki i do zainteresowań dziecka”.

Wojna i genderyzacja psychikę dziecięcą już dostatecznie okaleczyła. I to na trwałe. **Może należałoby za kilka lat poddać analizie rysunki dzieci, które były ofiarami programowej genderyzacji w szkołach i przedszkolach?**

Po wojnie w domach dziecka pierwszeństwo miały sieroty ze środowisk, które stanęły do walki z podziemiem, jak i rodzin chłopskich. Chore faworyzowanie potęgowało się w kolejnych latach aż do apogeum stalinizmu.

Dezyderaty, raporty i donosy pastwiły się nad losem dziecka, który uwarunkowany był wówczas szczególnie przez złowieszczy układ sił politycznych (czy też przez złowieszczą jednostronność), zaś rozbuchana ambicja współdziałania z ludem pracującym miała tylko potęgować dziecięce nieszczęścia.

Tak, działały już wówczas świetlice prowadzone przez Caritas! Tak liczne i tak zarazem oczerniane, oskarżane w donosach jadłem przezartych o klerykalizm oraz bliżej niedookreśloną jednostronność! Polska Ludowa chciała odebrać rodzicom dziecko i sama zająć się jego wychowaniem i nie był to bynajmniej kryptonim wychowawczy ówczesne Matki Polki. Kuriozalnie zabrzmiał więc na tle ideologicznego tornada karta z dziejów ówczesnego polskiego prawodawstwa, które przewidywało srogie kary pieniężne za dzieciobójstwo i aborcję, śmiało więc można mówić o walce zła ze złem.

Kończąc tekst atramentową plamą nad plamą historii chcę zwrócić uwagę P.T. Czytelników na żyjące dziś dzieci z tamtych czasów. Ile z nich pamięta czas wojny i bestialstwa, których dopuszczali się okupanci, a następnie agresywną indoktrynację w szkole połączoną ze zohydzaniem prawdziwych autorytetów?

Czy taka sytuacja dziś się nie powtarza?

Histeria nasza powszednia

Felieton, piątek, 12, grudzień 2014 12:50

Histeria fascynowała już starożytnych, następnie obudowywano ją dziwacznymi teoriami humorów i waporów także. Nadpobudliwość, impulsywność, niedojrzałość emocjonalna, zadziwiająca nadwrażliwość, teatralizacja gestów, całkowita zależność od zdania innych. Buchająca zagadkowością i potęgująca się niezrozumiałość. Rozhuśtane nastoje tak mocno, że niewidzialna huśtawka za chwilę zerwie się z łańcucha.

Nieleczona histeria może się pogłębiać. W zamierzonych czasach przypisywano ją kobietom, teraz natomiast płci już nie wybiera. Histeryk zanurza się w swych lękach, brzuch zwija mu się w spiralę bólu, „protestacyjna” wysypka na ciele, a może mu nawet histeria i wzrok, i słuch, i mowę odebrać.

Żyjemy w czasach neohisterii. Surrealiści potrzebowali jej do badań artystyczno-naukowych i nie wyeksploatowawszy doszczętnie przetrzucili na kolejne pokolenia. Histeryczne są relacje międzyludzkie: eksplozja „ciałka”, a po chwili gęsta nienawiść do tej samej osoby, bowiem nie jest na zawołanie i nie na warunkach histeryka. Histerycznym procesem jest wszechgenderyzacja rzeczywistości - rozbuchanej w mediach, podręcznikach, sztuce, wychowaniu, edukacji, przechodzącej przez miejsca szczelnie chronione niczym „Przechodzimur” z opowiadań Marcela Aymé. Przyczyn

histerii psychiatrzy dopatrują się we wczesnym dzieciństwie, czyżby histeryczni genderyści próbowali zemścić się za swoje nieudane dzieciństwa i byłyby niewinni cierpieci?

Histerię mogą też spowodować nieprawidłowości w procesie socjalizacji dziecka. Postępowanie zaangażowanych genderystów odzwierciedla cały łańcuch nieprawidłowości w relacjach międzyludzkich na przestrzeni ich życia. Histeryczne są zachowania wojujących feministek, które - zmęczczyźniałe na własne życzenie - wyją z tęsknoty za prawdziwym facetem próbując mu wydłubać zarazem metaforyczne oko.

Najnowsza odmiana histerii łączy się z kompletną niewrażliwością, nie tylko genderyści (a czego wymagać od ludzi z atrofią sumienia?), ale i szaraczkowe nie reagują gdy co roku w Polsce zostaje uśmiercanych przed narodzeniem – wynika z oficjalnych danych Ministerstwa Zdrowia. To nie tylko rozpacz polska, to rozpacz całej Europy!

Na świat przychodzą żywe dzieci w trakcie aborcji dokonywanej po dwudziestym tygodniu ciąży i nikt o nie walczy o maleństwa! Nikt im nie udzieli pomocy medycznej! Histeryczne zło podaje im co najwyżej śmiertelny zastrzyk albo dusi z całej siły. Żywa jeszcze przed chwilą istotka ginie w czeluściach kosza na śmiecie. A przecież żyła na tej ziemi przez kilka czy kilkanaście nawet godzin.

Trwa histeryczna fascynacja tymi co jedynie tańczą, śpiewają, gotują i „celebrytują”, a zarazem milczące przyzwolenie na mordowanie maleństw. Niespełna trzy tygodnie temu komisarz praw człowieka Rady Europy publicznie umył ręce – umył w brudnej wodzie, ogłosiwszy wszem i wobec, iż kwestia zabójstw noworodków nie podlega jego kompetencjom i wykpił się przed spotkaniem z przedstawicielami organizacji pozarządowych, które o dzieciątka chciały zawalczyć!

Komitet Ministrów Rady Europy, w którym zasiadają przecież przytomni na umyśle oraz ciele przedstawiciele rządów czterdziestu siedmiu państw członkowskich zaledwie przed kilkoma miesiącami nie osiągnął porozumienia w sprawie działań, które należy podjąć, „by zagwarantować, że płody, które przeżyją aborcję, nie będą pozbawiane opieki medycznej”. Wszak do opieki takowej – jako istoty ludzkie urodzone żywe – mają prawo zgodnie z Europejską Konwencją Praw Człowieka. Kolejny przykład neohisterii cywilizacji śmierci?

Neohisteria to czyn, neohisteria to bezczynność, ale neohisteria to także słowa. Agresja słowna rani dotkliwie. Jakie modne, powszechne w naszych czasach! Poczawszy od nędznych dowcipów, wymyślnych docinków skończywszy na podważających godność rozmówcy.

To najlepszy przykład barbarzyństwa skrytego pod płaszczkiem dojrzałości.

Pan dusz i pieniędzy

Felieton, sobota, 06, grudzień 2014 08:29

Kiedys dla Polaka święta była własność, chleb ze znakiem krzyża, pokolenia w zgodzie pod jednym dachem żyjące, wielkie wydarzenia narodowe i rodzinne, a teraz świętością staje się prywatna i rozbuchane ego. Galeria handlowa w niedzielę urasta do rangi świeckiej świątyni. Liczy się pełen wór i krąg swojaków.

Pęka tożsamość narodowa i kruszy się polska dusza. Na szastanie symbolami albo wymienianie ich na prymitywne znaczki graficzne przyzwolenie jest i już. Ilu nie ma pojęcia dlaczego flaga jest biało-czerwona i jakie są obowiązki polskie, skoro wystarczą polskie przyjemności. Nowy katalog symboli będzie książką telefoniczną dla analfabetów.

Była Matka Polka, a teraz ojciec Słupska.

Sztandarowy „ped” nie tylko będzie panem dusz i pieniędzy w swoim okręgu, ale zawładnął symbolem ojca i nauczyciela. Włodarz lokalny cieszył się niegdyś posłuchem u swych poddanych - musiał być jak ojciec. Teraz to nowy ironiczny symbol władzy. Włodarz jak ojciec przecież - od XII wieku zarządca dóbr książęcych bądź innych możnowładców świeckich czy też duchownych, a po uwłaszczeniu chłopów w XIX wieku, kierujący folwarkiem i nadzorujący robotników najemnych otrzymał miano ekonomy. A kto zacz, pan dusz i pieniędzy ze Słupska?

W 1925 roku niejaki Stanisław Trębicki opublikował wizjonerskie dzieło – sumptem własnym – bo wydawcy nie chcieli obarczać się tak ciężkim głazem złowróżbnej wizji poświęcone wojnie przyszłości.

Poza wojną gazową, walkami powietrznych eskadr lotniczych, miotaniem płomieni, topieniem statków pasażerskich przez łodzie podwodne, działam bijącymi na 120 kilometrów ...i bynajmniej nie jest to fragment eposu heroicznego, lecz studium lęku przed wielkim cywilizacyjnym nieznanym. Opis kraju uwikłanego w wojnę gazową, w którym nie będzie zakątka od kataklizmu wolnego. W którym kalectwo płucne skutkiem gazów lub śmierć od nich dosięgnie spokojnej ludności bez względu na płeć oraz wiek może okazać się zatrważającą metaforą świata upadłego. I pyta Trębicki: „I gdzie jest dla nieszczęsnego żołnierza wróg czy przed nim skupiony, czy może już lotem sępa w głąb kraju się przeniósł, w stronę jego domowego ogniska?”.

Zastanawiam się, czy Autor nie jest tym samym Stanisławem Trębickim, który nie jako polityk czy artysta dla Polski się zasłużył, lecz jako właściciel warszawskiej fabryki mieszczącej się po 1905 roku przy ulicy Kopernika 33, która to pompy do wszelkich płynów, ręczne, transmisyjne i motorowe, węże gumowe i parciane oraz narzędzia ogniowe dla staży ochotniczych podówczas po dobrej cenie ofiarowywała. Tu lęk przed

perspektywą apokaliptycznych intensywności wziął górę nad kolejną reklamą wyrobów z rzeczzonej fabryki. Lęk jednak to klasyczny: przez znanym-nieznany.

Trębicki nie przewidział jednak ani sfalszowanych wyborów, ani sfalszowanych wyborami miast – przeraźliwy lęk nie musi bowiem silić się na oryginalność i tak nieprawdopodobne scenariusze.

Uznałby zapewne fenomen Słupska za eksces wyobraźni robotycznej zaawansowanych początków XXI wieku i dalej nurzałby się w odmętach bardziej przewidywalnych skutków polityczno-wojennych apokalips. To słupski nowo wybrany władarz stwierdził nie dalej niż rok temu, iż „homofobię się leczy” i że „są specjalne terapie dla ludzi głoszących tego typu poglądy”. Po Paradzie Równości w 2013 brzuch władarza ucierpiał wskutek kopnięcia, zaś twarz wskutek oplucia oraz uderzenia pięścią. Zarazem jednak FB aż huczy od apokaliptycznych wizji cząstkowych – choćby tej z futurystyczną reprezentacją straży miejskiej –wizja na rok 2020.

Tymczasem w Warszawie i gdzie indziej usta czerwone jak szmata na kiju plują nienawiścią na domniemaną nienawiść i cedzą sącząc strużkę jadu jakoby mapę Polski zalewa falą ataków na tle rasowym, narodowościowym i homofobicznym, a w związku z tym zwykły alarm przeciwpowodziowy były jedynie kwileniem rannej ptaszyny wśród pól. Przepelnieni nienawiścią cedzą jadem krztusząc się nieustannie, jakoby na mapie Polski brakowało jednoznacznych działań, które przerwałyby falę rosnącej nienawiści w Białymstoku, Wrocławiu i Warszawie. Z worków z nienawiścią, którymi przepelnieni są mistrzowie hipokryzji można by tamy budować i wały przeciwpowodziowe.

Pozostaje pytanie, jak w tym wszystkim odnajdą się zwykli ludzie uwięzieni w ogniu walk o ich dusze? Niepewni - czy wybrać drogę tolerancji czy tradycji - będą musieli odpowiedzieć na pytanie „jaka Polska” ...nim zaleje ich fala „jadu miłości”.

Feminizm jako przemoc

Felieton, niedziela, 30, listopad 2014 12:23

Feminizm wojujący to błazenada operująca sprzecznościami i niekonsekwencją. Kobiety bronione są wybiórczo, wtedy, kiedy pasuje to feministkom. Jeśli nie, - ich cierpienie spotyka się z obojętnością. W końcu lepiej stłuc jakiegoś faceta.

Są różne rodzaje przemocy. Choćby psychiczna oraz emocjonalna, gdy cierpienie zadane jest w sposób werbalny i niewerbalny, a poczucie własnej wartości, godności,

prywatność zostały pogwałcone. Ofiara cierpi niemożebnie – krytykowana, ośmieszana, znieważana, poniżana.

Jest też przemoc fizyczna, czyli bicie, szarpanie, zadawanie ran, uniemożliwianie picia, jedzenia czy nawet snu. Jest i przemoc seksualna – aż do „dewiacjonizmu” lansowanego w mediach jako mającego przyzwolenie – ze strony głupców, których nawet Breugel brzydziłby się malować.

Jest i przemoc ekonomiczna, przejawiająca się choćby zmuszaniem do podejmowania zobowiązań finansowych, zmuszanie do zależności materialnej.

Feministki pod pozorem przeciwdziałania pomocy czy też pozorowanym przeciwdziałaniem chcą wprowadzać w amoku zapisy niezgodne z polskim porządkiem prawnym oraz klarownym systemem wartości normalnego człowieka, wbrew polskiej tożsamości oraz tradycji rodzinnej.

Feminizm wojujący to błazenada operująca sprzecznościami i niekonsekwencją. Kobiety bronione są wybiórczo, wtedy, kiedy pasuje to feministkom. Jeśli nie, - ich cierpienie spotyka się z obojętnością. W końcu lepiej stłuc jakiegoś faceta.

Jako skrzyżowanie terroru i dewiacji lansują się choćby kobietony z Femenu, wrzucając do sieci film, na którym jakoby znęcały się nad księdzem (choć w rzeczywistości jest to naturszczyk). I to pod pretekstem, że nienawidzą mieszania się Kościoła w sprawy polityki (tak, nienawidzą – bo są kompletnie ograniczone i nawet nie umieją się posługiwać eufemizmami). Tym samym jawnie podlegają do dyskryminacji religijnej i ekstremalnej przemocy!

Akurat teraz przetacza się coroczna (i tak od ponad dwudziestu chyba lat!) kampania międzynarodowa ”16 dni bez przemocy wobec kobiet”. Tak widać tytuł wylansowany niefrasobliwie tylko budzi wątpliwości. To tylko kolejna, nieinteligentna przykrywka mająca odwrócić uważny wzrok rodziców od możliwości decydowania o losie ich własnych dzieci.

Tyle, że chora walka klas zdążyła się już dostatecznie wymieszać z chorą walką płci, a jakoś nie widać, by poza głoszeniem formułek feministki stawały autentycznie w obronie najbardziej bezbronnych – dzieci nienarodzonych, skazywanych na śmierć przez zdeklarowane aborcjonistki (za które same się przecież uważają i nimi po prostu są) i ludzi starszych, niewinnie włączanych w odpowiednik elektrycznego krzesła, jakim już w wielu krajach stała się eutanazja.

Pełnomocnik rządu ds. równego traktowania jest tylko kolejnym urzędnikiem suto opłacanym i wygłaszającym okrągłe formułki, z których niewiele wynika. Słynna konwencja o zapobieganiu przemocy wobec kobiet, o którą taka awantura - jest zardzewiałą przykrywką dla forsowania feministyczno-lewackich przeformułowań

normalności, bowiem pod pretekstem konwencji wciskają nam jej twórcy do oczu i uszu rozżarzoną lawę, czyli toporne redefiniowanie pojęcia rodziny, małżeństwa i dewiacje.

Państwa, które ratyfikowały już taką konwencję dumnie obnoszą się z infolinią dla ofiar, portalem internetowym, zmianą procedur policyjnych czy miejsc w schroniskach. Póki co jest na poziomie szumnych obietnic – prawdziwe ofiary przemocy nie potrzebują substytutów!

A poza tym jak można brnąć w sprzeczność, jaką jest wygłaszanie haseł antyprzemocowych... językiem przemocy! Demagogią! Półprawdami!

Gdy w dyskusjach padają argumenty rzeczowy, feministki wyją „To seksizm!” , „To bzdura!” „To nie tak!” – czyli kompletna pustka argumentacyjna. Tak marnie nie dyskutują ani kobiety ani mężczyźni, czyżby same feministki miały problem z określeniem własnej płci?

Feministki nie mają za grosz szacunku dla swoich rozmówców. Posługują się demagogią i pół-prawdami, a na rzeczowe argumenty reagują krzykiem "to jest seksizm", albo "nieprawda!". To feminizm jest formą propagowania dewiacji i pornografii, układów płci sprzecznych z naturą i dobrym smakiem.

Próbują „wychowywać” dzieci teoriami w stylu programu „Równościowe przedszkole” – wychowywać na odległość, skoro same najczęściej nie chcą mieć dzieci, brzydzą się dziećmi i rozkoszują się tematyką proabrocyjną jako formą krwiożerczej walki.

A co z pomysłem "podatku od bycia mężczyzną", który zaproponował w Riksdagu szwedzki kobieton, topiący kompleksy w alkoholu i dziełach Marksa"? Według niego (rzeczonego kobietona!) mężczyźni powinni ponosić zbiorową odpowiedzialność za seksualne molestowanie pracownic i wypłacać ofiarom niebotyczne odszkodowania.

Agresywne feministki prowadzą bardzo cyniczną grę. Bitą kobietą to powód do zwarcia szeregów i pomocy pokrzywdzonej. Bite dziecko nie budzi ich zainteresowania – bo jest dzieckiem.

Atak na Bogu ducha winnego mężczyznę – to profilaktyka, to konieczność. Słuszna walka o bezpieczeństwo kobiet, czy zwykła niekonsekwencja epatująca złem? Na to jakże oczywiste pytanie, P.T. Czytelnik odpowie sobie sam.

Dawać czy ofiarowywać

Felieton, poniedziałek, 24, listopad 2014 18:50

Biją dzwony. Wyją syreny. Alarm: zanik normalnych więzi międzyludzkich. Mało tego: niewielu potrafi się już autentycznie dzielić.

Przyglądam się obdarowującym. Są tacy, który jeszcze to czynią z potrzeby serca. Wprawdzie zanika pojęcie filantropii, ale jeszcze są skorzy do obdarowywania. Nie oddają potrzebującym zaplamionej koszuli, której sami na swój własny grzbiet by nie włożyli, ale biblijnym płaszczem dzielą się przynajmniej na pół.

W tej oto chwili tu moja pamięć burzy się wręcz oceanicznie i przypominam sobie jak w znamienym roku 1989 do Lublina przyjechała pewna znana francuska orkiestra. Muzycy przywieźli przy okazji kilka pudeł darów dla biednych polskich studentów. „Komisja pomocowa” otworzyła je i cóż ujrzeliśmy? W pierwszym – były zwoje dziurawych, znoszonych rajstop. W drugiej paczce - mieszanina wybrakowanych listków z tabletkami, które przyjmują osoby chore na Alzheimera oraz tajemniczymi resztówkami środków antykoncepcyjnych. A w trzeciej – poplamione, dziurawe swetry.

To jak pięść wbita do gardła głodnego. Szukać z obrzydzeniem dalszych metafor?

Przyjrzyjcie się wyciągającemu rękę. Widać, czy ją wyciąga po raz pierwszy, czy też czyni to notorycznie i nie umie się już powstrzymać, nawet jeśli znów NA TRWAŁE POSIADA. Przyjrzyjcie się obdarowującemu. Widać, czy w jego przypadku jest to gest zniecierpliwienia, a wręcz obrzydzenia czy też – ofiarowywanie z głębi jestestwa. Żeby nie było tak, jak w słynnej historii o lejku dla biednych, w której – skoro już Francją powiało – ekscentryczny pisarz Pierre-Henri Cami w jednym ze swych najsłynniejszych „czarnohumorystycznych” dramatów przywołał postać dyżurnego, jedyne biednego w okolicy, którego moźni na siłę karmili astronomiczną ilością jedzenia, tudzież poili i zmuszali do słuchania muzyki dworskiej. A ów ze wstrętem odmawiał – bo ileż można dać się obdarowywać, gdy nie z potrzeby serca to płynie, lecz z obwarowanemu statystykami lansowaniu oraz udawanej dobroci. Gdy biedny już pęczniał w oczach z przejedzenia i ani kruszynki więcej, wówczas pacholkiwie wepchnęli mu do gardła siłą „lejek dla biednych” i tak oto musiał... No właśnie.

Najprawdziwsza, niepodważalna miłość wyraża się w bezinteresownej służbie bliźniemu jak w przypowieści o miłosiernym Samarytaninie. Powinniśmy nieustannie pytać swego własnego sumienia: czym już teraz mogę podzielić się z potrzebującym? **PODZIELIĆ PRAWDZIWIE I OFIAROWAĆ PRAWDZIWIE!** Uczniowie jednej z warszawskich szkół – a jest już ponad pięciuset chętnych od kilku tygodni deklarują chęć oddania krwi na rzecz ciężko chorego, ulubionego wychowawcy i nauczyciela.

Wzajemnego «noszenia brzemion» trzeba się uczyć nieustannie i nie ma od tego żadnego urlopu. Przyjrzyjmy się zastępom współczesnych "miłosiernych Samarytan", którzy nie promują nachalnie w mediach i w tzw. towarzystwie aktów własnej – też domniemanej także – dobroci. Miejmy odwagę sami zaangażować się w dzieła pomocy.

Niechaj powróci altruista, dobry człowiek i filantrop (*philánthrōpos* to kochający ludzkość – przypomnijmy w czasach powszechnej bez-miłości!).

Niech powróci w czasach, gdy coraz częściej stawia się znak równości między pomocą a zbrodnią! W Indiach z użyciem siły wysterylizowano już przecież jedenaście milionów. Jedenaście milionów kobiet i mężczyzn. Po przeprowadzeniu zbrodniczych zabiegów kobietom podawano antybiotyk „wzbogacony”... o trutkę na szczury! Użyto obrzydliwych, brudnych narzędzi chirurgicznych.

A tak przy okazji: poszukajcie, która z sieci placówek medycznych na polskich stronach internetowych ofiarowuje polskim dziewczętom i kobietom „pomoc” w postaci implantów antykoncepcyjnych uwalniających progestagen. „Pomoc” skuteczną przez trzy lata. Hormon poprzez otaczające go tkanki dostaje się do krwi, a następnie rozprzestrzenia się po całym organizmie. Taki mały, giętki, plastikowy pręcik o długości 4 centymetrów i średnicy 2 milimetrów. Łatwa bezpłodność na zamówienie! „Ekskluzywne” Indie prawie.

Bitwa a zaraz wojna: dobro obdarowywania kontra patologia dawania. Bo czym będzie świat? Świat maleństw mordowanych jeszcze przed narodzeniem i dorosłych pozbawionych szansy posiadania dzieci?

W fabrykach egoizmu dorośli będą masowo produkować zabawki.

Zabawki, którymi nie będzie miał kto się nawet bawić.

Za wąsami Stalina

Felieton, sobota, 22, listopad 2014 13:11

Eufemizm typu „awaria systemu” miał chyba wprowadzić społeczeństwo w patetyczny nastrój w stylu II Światowego Kongresu Obrońców Pokoju z wąsami Stalina w tle - pisze Marta Cywińska o PKW.

Do bólu ironiczny splot okoliczności czy przypadek? 22 listopada 1950 roku w Warszawie zakończył się II Światowy Kongres Obrońców Pokoju. Przypomnijmy, iż Światowa Rada Pokoju powstała również w Warszawie właśnie podczas rzeczonego kongresu.

Od początku swego istnienia była uzależniona i finansowo, i politycznie od Związku Radzieckiego. Gołębek pokoju okazał się wybrakowanym kogutem i dzień 22 listopada, a także dwa poprzednie pokalały po raz kolejny wszystkie odcienie „dobrego pokoju” oraz zamieniły go w maskaradę. Tyle, że już bez masek.

W dniach 20-22 listopada 2014 w Warszawie maski spadły z hukiem po raz kolejny. Oto skład PKW pamiętający czasy II Światowej Rady Pokoju. Manipulacje na liczbach, pojęciach i ludziach – tyle że tym razem w kontekście wyborów samorządowych. Eufemizm typu „awaria systemu” miał chyba wprowadzić społeczeństwo w patetyczny nastrój w stylu II Światowy Kongres Obrońców Pokoju z wąsami Stalina w tle.

Jest rok 2014. Z jakiej racji mamy żyć w przyzwoleniu na dopełnianie fałszu? Kiedy wreszcie zmieni się świadomość narodu? Czy aż muszą bombardować go serie nieszczęść, żeby przebudzenie było gwałtowne, acz skuteczne? System demoliberalny był cichym zabójcą, teraz nie pomoże mu żaden obrońca. To obywatele mieli decydować o losie swoich najbliższych przestrzeni narodowych.

Kto zwątpił już w całkowicie w demokrację racji nie ma, bo jak można zwątpić w coś, czego nigdy w Polsce nie było? Czy polityczne, skompromitowane elity zupełnie już skamieniały i taka kamienna katatonia sprawiła, że kurczowo trzymają się łamiącego się stołka, który i tak niedługo zamieni się w wieko?

Dotychczas pojęcie karykatury odnosiłam do sfer sztuki wysokiej, zmęczona "letnimi" temperaturami malarstwa do 1939 roku. Teraz to wybory są nową formą happeningu, rodzajem przestrzennej karykatury, w którą bez pozwolenia został wciągnięty polski wyborca!

Czy po raz kolejny winni nie będą ukarani? Również ci, którzy bezkarnie szkalują narodowców? Demokracja – a mamy tego dowody stojąc znów u wrót siedziby PKW – jest formą ustroju totalitarnego. Kto zatem jest autorem słów wypowiedzianych publicznie i zapisanych w rok po zamknięciu II Światowego Kongresu Obrońców Pokoju:

„Wytyczenie takich zadań nie było łatwe i nie wszędzie musi być do końca przeprowadzone”? Czy to była prorocza zapowiedź farsy wyborów samorządowych A.D. 2014?

Za sztucznymi wąsami Stalina i koszem na śmiecie zamienionym w urnę wyborczą można ukryć nawet węża.

Historia bis na bis

Felieton, piątek, 21, listopad 2014 11:39

W okresie międzywojennym uczniowie szkół powszechnych bez przymusu i z potrzeby serca przychodzili na spotkania z weteranami powstania styczniowego. To był niesamowity wręcz przykład ciągłości patriotycznych emocji pokoleniowych i tworzenia relacji: patriotyczny mistrz – patriotyczny uczeń. Nauczyciele na zajęciach pozalekcyjnych organizowali dla uczniów również pogadanki z historii kultury – zwłaszcza materialnej, technicznej, więzi społecznych, życia codziennego w danej epoce. Specjalni goście opowiadali uczniom o historii polskiego stroju, polskiego domu, polskiej broni, polskiej komunikacji, symboli narodowych. Nie sądziłam, że problematyka nauczania historii w okresie międzywojennym stanie się moją kolejną pasją – z myślą o naprawianiu kolejnej sfery rzeczywistości.

W kursach historii II stopnia nauczania wprowadzano elementy historii politycznej, wojny i dyplomacji, a także – by posłużyć się terminem metodyków z epoki – „dziejów wewnętrznej budowy państwa i społeczeństwa”. Na zajęciach pozalekcyjnych omawiano dzieła pisarzy politycznych – w tym ich twórczość literacką. Mariaż wiedzy historycznej i literackiej był na porządku dziennym.

Władze szkolne chętnie popierały twórcze pomysły nauczycieli tego przedmiotu oraz propozycje ich gości w dziedzinie metodycznej i wychowawczej. To w okresie międzywojennym wprowadzono przedmiot pod nazwą „Nauka o Polsce współczesnej”, a po reformie - „Naukę obywatelską”, która opierała się na skutkach położenia geograficznego i szczegółowym sytuacji gospodarczej naszego kraju.

Podczas lekcji uczniowie analizowali „wykazy statystyczne” oraz treść konstytucji. Celem tego typu zajęć było uaktywnienie obywatelskie (!) dzieci i młodzieży, którym też w ramach lekcji umożliwiano zwiedzanie instytucji charytatywnych, komunalnych oraz państwowych. Jak czytamy w wykazie postulatów pedagogów z początku lat 30-tych istniała wówczas potrzeba wydawania „periodycznych biuletynów o stanie gospodarczym, kulturalnym i politycznym państwa”, przeznaczonych do „uobywatelniania młodzieży” – cóż za przejmujący neologizm! Szkoda, że przepadł wraz z kolejną wojną.

Teraz historia w życiu uczniów dzieli się na okrojona - szkolną i fascynująco eksponowaną poza jej murami. Coraz więcej jest autentycznych pasjonatów żmudnego jej odkłamywania, To Żołnierze Wyklęci - ofiary bestii tworzących ten „system” są naszymi bohaterami, naszymi autorytetami! Zarzuca się im mordowanie Żydów i rzekomy antysemityzm. Agresywną kampanię prowadzą lewackie środowiska, często pozorowane „na prawo” i zeuropeizowani krzykacze prymitywizmu. To „Żołnierzy Wyklętych” potrzebują przede wszystkim młodzi ludzie!

Wiele upłynęło czasu, nim 3 lutego 2011 roku Sejm uchwalił ustawę o ustanowieniu 1 marca Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych. I to po ilu latach starań! Po ilu latach milczenia. To przecież 1 marca w 1951 roku w mokotowskim więzieniu komuniści strzelając w tył głowy zamordowali przywódców IV Zarządu Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość!

A co teraz? Zarazem historia jest systematycznie rugowana z programu szkolnego i niedługo wiedza uczniów ograniczać się będzie do znajomości daty wybuchu I wojny światowej. Chyba, że bezpiecznie zatrzyma się na pochyleniu nad rozbiorami.

Bestialski system upadł?! Doprawdy?

Pozostali przecież jeszcze ci, którzy wysługiwali się zbrodniczemu reżimowi. Tylu moralnych nędzników, zdrajców, donosicieli nadal w dalszym wybiela swą przeszłość.

Historia nauczana obecna w szkołach jest wymkiem prawdziwych potrzeb. Tylko historia drugiego obiegu bis przywróci młodym ludziom prawo do rzetelnej i niezafałszowanej Historii.

Błędne równanie?

Felieton, sobota, 15, listopad 2014 09:54

Dziecko jest częścią życia rodziców dziewięć miesięcy przed narodzeniem. W starożytnych Chinach dzieciątka przychodzącemu na świat dopisywano jeden rok, miało to bowiem wszystkim i każdemu z osobna przypominać, że czas przed narodzinami jest nieodłącznym etapem życia.

Teraz coraz częściej między życiem a śmiercią stawia się znak równości, żeby przytłumić chore sumienia. Ludzie usprawiedliwiają się często tak: „robię i robiłem, co mogłem i nie potrafię już więcej”. Sami sobie obniżają poprzeczkę, nieustannie usprawiedliwiając rozpełzające się zło oraz nijakość, a wygodnictwo i egoizm już dawno osiągnęły rozmiary pandemii.

Co znaczy: „robię i robiłem, co mogłem”? To desperacka gołosłowność! Systematycznie tracona zdolność tworzenia trwałych więzi już się dokonała i stała się problemem ogólnoludzkim. Nie jest to tylko kwestia traktowania każdego kolejnego człowieka jak naczynia jednorazowego, które „przez chwilę użyte” zostanie wyrzucone do kosza. Wskutek degrengolady emocjonalnej dorosłych cierpią najbardziej dzieci: sieroctwo społeczne jest kolejną wynikającą z wygodnictwa oraz egoizmu dorosłych pandemią.

Sierotami są dzieci, które nie zostały obdarzone miłością nawet w pełnej rodzinie. Sierotami są też dzieci wychowywane przez samotnych ojców i samotne matki, w

sytuacji gdy niezdolny do rozumienia obowiązków albo zaburzony, egoistyczny drugi rodzic zostawia własne dziecko i powodowany chęcią zaspokojenia części swojego „ja”, zwanej „pożądać, zdobyć i posiadać na własnych warunkach” odchodzi do innej osoby. Osoby współuczestniczącej w procederze tworzenia sieroctwa dziecka, które teoretycznie ma dwoje żyjących rodziców.

Człowiek potrzebuje akceptacji i sygnałów miłości na wszystkich etapach życia, łączących się poczuciem więzi oraz łaknieniem bezpieczeństwa.

Dreńczy Cię bliżej nieokreślony lęk egzystencjalny? Manipulujesz udawaną depresją, bo masz za mało, albo za dużo, uwiera Cię Twoje „ja” i mnogość pretensji do Boga oraz ludzi? Pójdź wreszcie do hospicjum i daj siebie umierającemu! Zawalcz o nienarodzone! Poświęć swoje nędzne życie Ojczyźnie! Nie pozwól, by Twoje dziecko było eurosierotą, sierotą społeczną, byś „kochał” je wyłącznie na swoich warunkach zdegenerowaną pseudomiłością szalonego egoisty! Adoptuj dziecko jeśli nie możesz mieć własnych i przestań usprawiedliwiać się, że „robisz, co możesz i nie możesz już więcej”!

Są ojcowie, którzy tęsknią za żoną i nienarodzonym dzieckiem już w drodze do pracy. Są też i ci, którzy już je zabili brakiem miłości odrzucając je w chwili, gdy dowiedzieli się, że będą ojcami.

„Robisz, co możesz i nie możesz już więcej”! Tylko dlaczego nie masz odwagi spojrzeć innym w oczy?

Zakurzona nauczycielka

Felieton, środa, 12, listopad 2014 22:23

Gdyby jednak moja młodość przypadała na okres międzywojenny, zostałabym zapewne sumienną nauczycielką historii. Po odzyskaniu niepodległości polskie władze oświatowe zajęły się określaniem podstaw ideowych oraz programów w ramach ujednoczenia systemu szkolnego, a moje zapędy dotyczące nauczania historii w niepodległej Polsce godne byłyby zastępu Siłaczek.

Upraszam też P.T. Czytelników przy tej okazji, by czytali moje felietony metaforycznie, a nie jak to mawiali przedrewolucyjni Francuzi „au pied de la lettre”.

W II Rzeczypospolitej - przypomnijmy - obowiązywał wszak 7-letni obowiązek szkolny. Funkcjonowały podówczas 7-letnie szkoły podstawowe, zaś nauka w gimnazjum trwała 8 lat – w tym 3 lata gimnazjum niższego i 5 lat gimnazjum wyższego. Istniały 3 typy gimnazjów: humanistyczne, matematyczno-przyrodnicze i klasyczne z greką i łaciną.

Podjęłabym bez wątpienia pracę w gimnazjum klasycznym, doczekawszy reformy edukacji w roku 1932, gdy połączono system szkół podstawowych z ponadpodstawowymi. Rok wcześniej brałabym udział w pracach podkomisji historycznej Kongresu Pedagogicznego w Wilnie, postulując nauczanie historii jako prawdy dziejowej, traktowania dziejów Polski systematycznie, a nie – fragmentarycznie.

Zaproponowałabym z myślą o dzieciach w różnym wieku cykl pogadanek z historii kultury polskiej z zastosowaniem metody pogładowej - w muzeach oraz w naturalnym środowisku dziecka, z uwzględnieniem dziejów Kresów oraz edukacji narodowej.

Wprawdzie rozpowszechnione było jeszcze wówczas nauczanie tradycyjne, lecz historia w programach nie była jeszcze traktowana pobieżnie. Walczono jeszcze wówczas z apoteozą niewiedzy oraz ignorancji w formułowaniu programów nauczania, zaś historyk-pedagog bronił jeszcze ochoczo praw nauki, łącząc jej wymagania z prawem dziecka do prawdy dziejowej. Nauczyciele domagali się przywrócenia godnego miejsca lekcjom historii najnowszej. Występowali też przeciw jej lekceważeniu, niedocenianiu przez metodyków.

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych historia nie była traktowana jako nagromadzenie faktów, lecz jako synteza terażniejszości z przyszłością. Płomienni publicyści i nauczyciele historii w jednej osobie postulowali traktowanie lekcji historii jako tworzenie „teraźniejszości w ruchu”, rozumienie przeszłości połączonej z oceną miejsca, jakie terażniejszość zajmuje w dziejach. Podkreślano, iż nauczanie w ogóle powinno być przepojone „duchem historyzmu”, zaś historia w nauczaniu powinna być jego ośrodkiem (choć na ówczesnych lekcjach historii wprowadziłabym elementy retoryki praktycznej i dodatkowe analizy tekstów literackich traktujące o najważniejszych wydarzeniach w dziejach Polski).

W metodach nauczania historii postulowano również uwzględnienie nie tylko poziomu ucznia, lecz środowisko (wieś, miasto), jego pracę badawczą – analityczną i twórczą zarazem. Potępiano podręczniki zawierające teksty uproszczone, uogólniające jako minimum obowiązującego na danym poziomie materiału historycznego oraz podręczniki tendencyjne, uczące faktów – nie zaś ich analizy czy samodzielnych rezultatów pracy zdobytej własnym doświadczeniem.

Nie mam najmniejszej ochoty być nauczycielką historii obecnie, bo historia w szkołach – poprzez okrojenie programu na rzecz szczątkowych godzin lekcji w szkole podstawowej, gimnazjum czy liceum – umiera, a podręczniki upraszczają dzieje ograniczając wyobraźnię historyczną uczniów.

W wiele lat po wprowadzeniu reform szkolnych w II RP zaprzepaszczone odrodzenie nauczania historii w polskich szkołach! Zostają nam cmentarze, pamięć o Żołnierzach Wyklętych i Marsz Niepodległości!

Za chwilę i tak będzie w polskich szkołach jak w Niemczech. Władze Berlina likwidują przecież lekcje historii w piątej i szóstej klasie gimnazjum. Zostaną one zastąpione przedmiotem o tajemniczej nazwie „nauki społeczne” z rozszerzonym programem gender.

Wilhelm II ustąpi miejsca dewiantom-przebierańcom. A kto będzie bohaterem polskich lekcji historii?

Modelka pod tezę

Felieton, niedziela, 09, listopad 2014 18:01

Lansuje się teraz sztuczny model kobiety. Szymborską choćby. Nie jej twórczość zainfekowaną wiernopoddańczymi, czerwonymi wierszami, lecz ją samą jako pomnikową laureatkę noblowską – cóż, gdy sama nagroda literacka jest już ewidentnie przyznawana z klucza.

Kiedy przed laty mówiłam różnym miłośnikom literatury, przekonanym o swej wiedzy absolutnej na temat Szymborskiej: „Ludzie, obudźcie się! Ona pisała o Leninie!” Pokazywałam im unikalne podówczas przedruki jej wiernopoddańczej twórczości – nie wierzyli.

Czy aż trzeba tylu lat, żeby ludziom otwierały się oczy – i to nie tylko w kwestii tendencyjnej „literatury”? To w słynnym wierszu „Lenin” noblistka pokazała, że czoło ma aż czerwone od czołobitności. Nazywa go „nowego człowieczeństwa Adamem” – co na szczęście dobitnie skomentował swego czasu dr Stanisław Krajski, do którego wypowiedzi odsyłam.

Szymborska o Leninie wypowiadała się wręcz ekstatycznie:

*„Że w bój poprowadził krzywdzonych
że trwałość zwycięstwu nadał,
dla nadchodzących epok
stawiając mocny fundament.”*

Odbiorcy czującemu żal lub niedosyt polecam lekturę stalinowskich peanów pióra noblistki, z której w pamięci złowróźnie dźwięczy fragment:

*"Pod sztandarem rewolucji wzmocnić warty
wzmocnić warty u wszystkich bram".*

Lansowana jest Szczuka - nie jej twórczość krytyczno-literacka.

Szczuka – o ile mi wiadomo – tylko dwie książki w życiu napisała samodzielnie, zaś dwie we współautorstwie. Jedną z tych ostatnich (choć drugą o tej samej tematyce) do spółki z Bratkowską. Innymi słowy feministyczna propaganda - i to głośno rozdmuchana – brzmi czupurniej niż chwalenie się raptem dwiema własnymi książkami. Jako żywo przypomina mi się jednak „Duża książka o aborcji” wydana przed trzema lat przez duet Bratkowska-Szczuka, a promowana w księgarniach internetowych w dziale „Poradniki – Rodzina”(sic!) i wyposażona w hasło, które ponoć miało przyciągać za rogi czytelników, a jak się okazało – skutecznie odpycha. Hasło brzmiało bowiem: „Pierwsza na polskim rynku książka, która przełamuje tabu milczenia wokół aborcji”. Książka o zabijaniu nienarodzonych adresowana jest do „młodego czytelnika” i ma mu przybliżyć sytuację, w jakich kobiety „decydują się podjąć trudną decyzję o przerwaniu ciąży oraz możliwe społeczne konsekwencje takiego wyboru m.in. wykluczenie społeczne, poniżenie, przemoc psychiczna i fizyczna oraz izolacja.”

Lansowana jest usilnie Środa - nie jej działalność naukowa, tylko działalność edukacyjno-propagandowa.

Nie ma (prawie) kobiet piszących docenianych za mądre idee i promowanie wartości, za profesjonalizm. Liczy się publiczne pyskowanie albo wygląd – vide krążące po internecie zestawienia nieudanych zdjęć parlamentarzystek ze zdjęciami młodych dziewcząt biorących się za politykę – z różnym skutkiem i z różnych przyczyn.

Teraz pisarki tworzą antywzorce, bo poszły w kierunku biologizmu i od dawna na polskim rynku wydawniczym nie było powieści, która potrzęsnęłaby sumieniem oraz wyobraźnią by nastąpiło przebudzenie serc i umysłów.

Odbiorcy literatury coraz bardziej się od niej oddalają, bowiem sama w sobie przestała być zjawiskiem atrakcyjnym dla czytelnika, którego wyobraźnia i rozdrżanie ciąży w kierunku pikantnych szczegółów z życia odtwórczego pisarza, który z prowincji wypływa do metropolitalnego rynsztoka dzięki koneksjom, romansom – mniej lub bardziej prawdziwym, usytuowawszy siebie pośród sympatyków, członków, sekretarzy, szarych eminencji kapituły takiej czy innej. Kapituły, która spowoduje coroczne przyznania kolejnej nagrody, o której za sto lat nikt nie będzie pamiętał, jako, że przedziwną regułą jest, iż pisarz przez lewackie media hołubiony za życia... w niepamięć kolejnych pokoleń się zapada.

Literatura piękna stworzyła niegdyś szlachetny model dla kobiet, czerpiąc z autentycznych, heroiczych wzorców Matki-Polki, czyli kobiety-instytucji, która jest notorycznie ośmieszana przez lewackie „pisarczynie”.

Matka-Polka znana z działalności konspiracyjno-patriotycznej wychowująca w duchu narodowym, tradycji i wartości musi bezwzględnie powrócić do kanonu wielkich postaci w literaturze polskiej oraz przygotować polskie dzieci do zmierzenia się genderyzowaną rzeczywistością.

Silniejsza i mądrzejsza niż wszystkie „modelki pod tezę” razem wzięte, które już przemijają, a Matka-Polka powraca.

Zapomniana lekcja

Felieton, poniedziałek, 03, listopad 2014 17:40

Zbliżają się wybory samorządowe. Z billboardów patrzą na nas starannie wyretuszowane postacie. Tak idealne, że aż niemożliwe.

Za chwilę wielu z nich przemówi. I tu przyjdzie kolejne rozczarowanie. Wielu wydobędzie z siebie potoki słów pustych znaczeniowo. Może niech uczą się od Cyserona, dla którego samo bycie politykiem to po prostu śmiesznie mało. Polityk pławiący się w polityce jest politykiem wybrakowanym, wszak rzeczony Cyseron był też obrońcą sądowym oraz filozofem i gdyby w zasobie jego słów znalazło się „nieróbstwo” w odniesieniu do wielu polityków, z pewnością by go użył.

Niech uczą się od Demostenesa, którego mowy jako żywo wpisują się w dzisiejsze zapotrzebowanie polityczne wybieranych oraz wyborców. Wszak tak wielu ulega powszechnej namiętności mówienia o sobie (od fałszywej skromności po emfazę) i ztraca poczucie rozumnego traktowania retoryki. Jest ona przecież nie tylko sztuką prowadzenia inteligentnych sporów, lecz także skutecznego obalania argumentacji (à propos dziwi, dlaczego niektórzy „specjaliści” od retoryki - utytułowani po kursach, podyplomówkach nie wygłosili nigdy publicznie żadnej mowy i mają problemy z błyskotliwym oraz pojemnym treściowo wysławianiem się).

Niech politycy uczą się od Isokratesa i Gorgiasa. Ci jednak pobierali po 10 000 drachm od ucznia i utrafiwszy w zapotrzebowanie związane ze starożytną demokracją grecką cenili siebie, bowiem udzielając rad za darmo nie byliby tak szanowani.

Niech się uczą od Kwintyliana, który powtarzał, iż sztuka przemawiania jest najważniejszą ze sztuk w kształceniu obywatelskim, a ponadto od św. Augustyna. Wszak i on był wykładowcą retoryki. W sztuce mądrego i skutecznego przemawiania kierował innych ku poszukiwaniu prawdy, motywując zarazem do czynienia dobra. Wielu po lekturze pism św. Augustyna zaczęłoby się zastanawiać, czy w ogóle godni są, żeby za politykę się zabierać.

Wielu polityków popełnia gwałt na słowie - bowiem jak inaczej można nazwać głoszenie kłamstw i składanie obietnic bez pokrycia? To Orwell napisał, że największym wrogiem języka jest nieszczerłość.

Inna kwestia: gdy wymowa odbiega od zasad, staje się bełkotliwa i niezrozumiała, wówczas jej enuncjator staje się niewiarygodny. Politycy po prostu zapominają, że to co

dla nich samych cudownie swoiste, może być odrażające dla wyborców oraz że mają skutecznie działać na rzecz dobra szerszego gremium, a i tak oślepią ich blask własnego „ja”. Wiele kwestii wypowiadają z lekkością - i nie jest to lekkość godna komplementów, tylko lekkość bliska nicości.

Politycy często mylą wystąpienia informacyjne z perswazyjnymi, okolicznościowe z negocjacyjnymi. Przyspieszony kurs domorosłej retoryki odnosi wręcz odwrotny skutek. Fale retorycznego uniesienia często blokują zdrowy rozsądek, a prościutkie doświadczenia własne w wystąpieniach przedkładane są nad doświadczenia głębokie i mądrość godnych naśladowania.

Polityka kaleczy słowa, ale to politycy powodują, że okaleczenia są zainfekowane.

Okaleczony bluszcz

Felieton, piątek, 31, październik 2014 17:09

Zło uzależnia. A co ze współuzależnionymi? Ofiarowują stale siebie, ale nie potrafią już od nikogo brać i wyglądają jak umierający ze starości choćby mieli po dwadzieścia kilka lat.

Nie mylmy ich z tymi, którzy angażują się w sprawy bliźnich spiesząc z autentyczną pomocą i z potrzeby serca. Współuzależnieni nie cierpią widomie - bezmiar ich cierpienia jest przesłonięty przez cierpienie okrzykniętych uzależnionymi. Zamartwiają się po wielokroć na miejscu tych, którzy do swego uzależnienia podchodzą beztrosko przy tym zupełnie siebie nie traktują poważnie. Inni też się do nich odnoszą lekceważąco.

Współuzależnieni starają się być mili i taktowni, ale pod tym spreparowanym, wręcz przezroczystym naskórkiem czai się potężny gniew. Zapominają o potrzebie bycia kochanym, zamrażając w sobie dzień po dniu każdą część siebie - każdą, która otworzyłaby się dla miłości pięknej i w czystej postaci szlachetnej. I tu pewien paradoks: wielu współuzależnionych to dobre żony, kochające matki, wyrozumiali mężowie, opiekuńczy ojcowie.

Pnący się, okaleczony bluszcz, która usycha w zastraszającym tempie. Wszak biorą na siebie myśli i uczynki uzależnionych i bardziej niż TAMCI stają się „ekspertami” od tego, co uzależniony myśli, czuje, pragnie, chce z siebie wyrzucić. Biorą na siebie odpowiedzialność za cały świat, ale nie potrafią wziąć odpowiedzialności za siebie samych. Pochłonięci problemami innych - swoich własnych dostrzec nie potrafią.

Z każdym dniem zrywają siebie jak plaster z niezdezynfekowanej rany. Plaster-nadzieję na normalne życie mając w pełni świadomość, że współzależnienie dotyka całej rodziny i że epidemia nie ma końca.

Reszta świata już się przyzwyczaiła, że współzależniony daje jej siebie całkowicie i jeśli owej reszcie odmówi jakiegokolwiek przysługi, dopada go przepastne poczucie winy.

Współzależnienie syci się cierpieniem, napełnia reakcją... na reakcję ludzi. Nie miejsce to jednak na budowanie lub powtarzanie niewiele zmieniających definicji. Raczej, żeby mocno potrząsnąć za ramię tych, którzy mają poczucie winy, gdy im się z serca ofiarowuje i znów pozwalają się notorycznie ranić. Tych, którzy mają przymus „groźnego” pomagania (tu nakłaniam P.T. Czytelników do rozważnej lektury metaforycznej) poprzez dawanie nieproszonych, nieadekwatnych do sytuacji rad przy tym irracjonalnie potępiając się za wszystko: za uczucia, za myśli, za oczekiwania, za wygląd, nawet, że pomagają nie tak, jak powinni!

Wiara, głęboka wiara może zapewnić bezpieczeństwo uczuciowe współzależnionemu, który również sam siebie porzucił wewnątrz niego samego. W gąszczu uzależnionych współzależniony jest prawie niewidoczny. Nie zdaje sobie nawet sprawę, że tamten czy ów pociągnął go za mankiet na sam skraj przepaści.

Wśród najnowszych uzależnień przynajmniej jedno ma charakter pandemii. Jeśli od cywilizacji można się uzależnić, to istnieje uzależnienie od cywilizacji śmierci. Od plugawego bronienia aborcji, eutanazji, eugeniki, gedneryzacji i programowego niszczenia wartości.

Czy sami mamy stać się przyczyną własnej zguby?!

Kobiety-trumny

Felieton, poniedziałek, 27, październik 2014 09:57

Kto doprowadził do ruiny współczesnego mężczyznę?

Nadopiekuńcze matki, niezdolni do pełnienia obowiązków rodzicielskich ojcowie czy wreszcie feministki?

Te ostatnie właśnie piszą o mężczyźnie okaleczonym, rozdartym sprzecznościami, zmuszonym do tłumienia „zasadniczej części samego siebie”, choć to one właśnie po kolei pozbawiają go dumy i męskości wmówiwszy mu tysiąc i jeden sprzeczności oraz sztucznych rozdarć. Nie dość, że zabrały się do długotrwałej eksterminacji więzi społecznych, narodowych, rodzinnych... nie dość, że deprecjonują na każdym kroku

szlachetne pojęcie Matki Polki, to te oszalałe krzykaczki zakwestionowały patriarchalny model relacji między mężczyzną i kobietą. Mało tego: uparcie i przy pomocy pseudonaukowych pojęć zaczęły redefiniować kobiecość. Niszczą przy tym z rozpaczliwą furią pojęcie męskości, przypisując wszelkie odmiany destabilizacji swoim adwersarzom i topią ich nawet w łyżce błota zrzucając z siebie wszelką odpowiedzialność.

Wylansowały zarazem w mediach płaczącego neurastenika, uciekającego w narkotyki, alkohol, pornografię, hazard, przy tym infantylnego. Atak hysterii i postawa roszczeniowa patyczaka w spodniach-rurkach już nikogo nie dziwi.

Feministki wmówiły facetom ich żeńsko-męską tożsamość, która jeszcze resztkami sił walczy, żeby nie być całkiem żeńska, ale i tak przecież bezskutecznie.

Portret klasyczny mężczyzny zastąpił portret mizogina lub homouwiełbiciela. Setki, tysiące karykatur będące symbolem upadku systemu patriarchalnego, do którego doprowadziły.

Feministki dokonały tragicznego okaleczenia mężczyzny, wmawiając mu akceptację jego domniemanej kobiecej strony. Dywagują tu i ówdzie, czy męskość jest konstrukcją ideologiczną czy też może dana jest biologicznie? Niektóre nawet upierają się, że męskość umacnia się jedynie w strachu przed kobiecością, a lansowani przez nie zniewieściali pisarze rozsiewają zarazę tęsknoty za łonem matki. Bezwolni zaczynają pisać w kobiecej manierze zyskując kolejnych, podekscytowanych czytelników.

Za to organizacje kobiece jak ośmiornicowe babska obejmują matronat na różnych wydarzeniach (pojęcie „patronatu” nie przeszłoby feministkom przez gardło). Były kobiety, przekonane, że popiera je większość społeczeństwa, nie widzą jak ten dosłownie promil akceptacji kłuje je we własne oko. Od lat przyglądam się, jak marnieją, szarzeją, starzeją się w przyspieszonym tempie – bronienie cywilizacji śmierci wyniszcza skutecznie również ciała orędowniczek.

Skończyły się jednak harde, nudne lektury i cukrowa wata teoretyzowania. Reporterka „Do Rzeczy” Agnieszka Niewińska, jako studentka studiów podyplomowych gender wniknęła w środowisko. Z tego powstał wstrząsający materiał.

Niestety, niektórym idealistom o silnie zmrużonych oczach wydaje się, że feminizm zatrzymał się na poziomie filmu „Seksmisja”. Tyle, że umundurowane byty zostały zastąpione przez „kobiety-trumny”, gotowe mordować dosłownie - bo już nawet nie w przenośni - nienarodzone dzieci lub też „kobiety-trumny” odrzucające ze wstrętem posiadanie dzieci jako stan sprzeczny z ich naturą.

Mężczyzn pozbawiły męskości, ograbiwszy siebie wzajemnie z kobiecych przymiotów. Pseudoideologiczna i pseudonaukowa szarpanina desperatek, które i tak łakną przecież Mężczyzny.

Gender w garderobie

Felieton, środa, 22, październik 2014 22:56

Wielu ludzi, zaangażowanych w walkę z genderyzacją codzienności i odświętności ma już po prostu serdecznie dosyć pojęcia „gender”. Nastąpił wysyp samozwańcych specjalistów od tej pseudonaukoideologii. Walka rozpoczęła się zbyt późno i media, literatura, oświata oraz edukacja coraz bardziej nasiąkają tym lepkiem brudem. Zarazem rozwijają się studia takie czy inne - z pieniędzy takich czy innych - gloryfikujące gender, które – jako całkowita negacja normalności, a niekiedy nawet naukowości trzyma się dobrze w starych murach. Linearne analizowanie pre-gender i pra-gender już nawet nie jest szokujące, co nudne.

Zastanawiam się jednak, czy gender – promujące też zwichrowaną osobowość i rozmytą tożsamość może jeszcze kogokolwiek szokować w wymiarze historycznym. Na ile współczesnym diadobabom można przeciwstawić znane powszechnie postacie, choć zmieniające fatalaszki do codziennej lub odświętnej tragifarsy.

Pod pozorami pompatyczności i powagi kryją się czasem szokujące osobowości. Taki Göring miał obsesję na punkcie kolekcjonowania mundurów – przede wszystkim wedle własnego projektu, aż do imponującej kolekcji! Kolejną zaś na punkcie orderów, odznaczeń. Gdy nie musiał się akurat publicznie pokazywać (a potem to już nawet publicznie) pokazywał twarz pod grubą warstwą nieumiejętnie nałożonego pudru. Miał też bogatą kolekcję pomadek do ust i używał co ostrzejszych kolorów. W ciągu dnia przebierał się wielokrotnie i żadnego lustra nie omijał, pozostając pod silnym wrażeniem własnej urody. Gustował też w drogich perfumach, którymi nie dało się przyćmić norm dotyczących aryjskiej fizjonomii.

Czytałam też o kobietonach, które były do krwi i tratowały bez opamiętania, zyskując przydomek "kobyła z Majdanka", "suka z Buchenwaldu" czy „kobieta z psami”, nadany im przez więźniów. Zaczynając „pracę” już wówczas wiedziały, że staną się katami – czy raczej „katkami”? Często urodziwe, a nawet filigranowe najpierw dały się skusić niebotycznym zarobkom. Jedna z nich miała nawet wysadzany perłami pejcz i napuszczała na przerażonych więźniów tresowane, głodne psy. Jedna z najokrutniejszych strażniczek wyłuskiwała do tortur przede wszystkim kobiety i tylko one zarazem ją chorobliwie fascynowały. Inna zaś sama zgłosiła się do pracy w Auschwitz. W krótkim czasie awansowała z telefonistki na zastępczynię głównej nadzorkzyni obozu kobiecego. Była obecna podczas selekcji przeprowadzanych przez dr Mengele.

Nie zamierzam akurat w tym miejscu przytaczać szczegółowych biografii – bowiem byłyby to (prawie) kalki biografii tego samego potwora.

Duchowa spadkobierczyni Simone de Beauvoir i orędowniczka liberalnego feminizmu (choć po co ten przymiotnik?) – Elisabeth Badinter (właśc. Élisabeth Bleustein-Blanchet) stwierdziła, że „przyszedł czas na androgynizm”, powołując się na proces „detrybalizacji” od „tribalisme” (fr.) – „organizacja plemienna” i „tribade” (fr.) – lesbijka.

To dopiero potworny początek.

Co kto rzecze o nauczycielu?

Felieton, środa, 15, październik 2014 14:05

Gdy od strony serca i od strony płuc pisarz czy felietonista jest człowiekiem pióra, nie bawi się w tego typu dylematy. Gdy zaś od strony serca jest felietonistą i pisarzem, a od strony płuc zasuszonym naukowcem, wówczas pytanie zaczyna nabierać dramatycznego wymiaru.

Wiele tekstów naukowych – i nie tylko rozprawiających o powadze nauczycielskiego powołania – ma to do siebie, że w sposób napuszenie skomplikowany mówi o rzeczach prostych, wręcz elementarnych. Śledzę uważnie kolejne teksty kolejnych autorów zastanawiających się w opasłych tomiśkach jaką rolę ma do spełnienia współczesny nauczyciel i nie posiadam się ze zdumienia.

Czytam o podstawowym „przesłaniu misji” (i po co taka dziwna zbitka?) nauczyciela, jakim jest wspieranie rozwoju uczniów oraz studentów, w tym o efektywnym przekazywaniu wiedzy, kształtowaniu zainteresowań, przygotowywanie młodego człowieka do życia godnego oraz wartościowego. Zarazem jednak – i tu rozwija się wizja równoległa – widzę przerzedzające się coraz mocniej zastępy Siłaczek i Judymów na rzecz zagubionych, niepewnych postaci poruszających się po omacku w zbiurokratyzowanej szkole i wypuszczających w świat kolejne... zagubione, niepewne postacie. One również przeniosą na kolejne pokolenie trzęsący się z niedookreślenia stan ducha i umysłu.

Zaledwie wczoraj był Dzień Nauczyciela (czy też święto, które utraciło „nauczyciela” w nazwie). Dotychczas bowiem – i to już zastanawiające – Dniem Nauczyciela nie czuli się objęci nauczyciele akademicy.

By nie popaść w pedeutologiczny nastój destrukcyjny, powtarzam sobie, że pamięć o moich autorytetach z czasów szkolnych pielęgnuję do dziś, zaś więzi serdeczne z moimi autorytetami dydaktycznymi i naukowymi z czasów studenckich są niezienne, choć dobre ćwierć wieku przecież upłynęło. Sposób często „interdyscyplinarny”

prowadzenia zajęć, giętkie dysputy jako najlepsza dla niepokornych studentów praktyka erystyczna, której nie zdobędą w takim samym wymiarze tłoczeni w mierne wymiary dorosłości, ogrom wiedzy przerastający dziedziny, do których na uczelni zostali jakby „przypisani” – to w pamięci pozostaje i pozostać ma bez względu na bieg dziejów.

Z jednej strony zawód nauczycielski jest dziś społecznie postrzegany jako „prosty”, wręcz schematyczny, z drugiej strony przed nauczycielami piętrzą się coraz bardziej przerastające ich wymagania. Bycia nauczycielem nie można się nauczyć albo nawet wyuczyć, to nawet nie jest kwestia powołania - pod wpływem autorytetu, postawy czy kształtującego się w sposób długotrwały. Jest jeszcze kwestia niskich zarobków, niekiedy nieukrywana kwestia braku identyfikacji z zawodem.

Świadomie nie wyczerpuję tematu nie sygnalizując bolączek czy klęsk (ale i sukcesów) zawodu nauczycielskiego, skoro nieustannie i tak sami nauczyciele gromkim głosem zgłaszają krytyczne uwagi o niedostatecznym przygotowaniu do zawodu, w tym niedostatek przygotowania psychologicznego i zanurzanie w zbędnych teoriach.

Ostatnimi laty wszyscy polscy nauczyciele znaleźli się w nowej, dla wielu niekomfortowej sytuacji. Każdy z nich (jeśli mieni się też wychowawcą, nie tylko w sensie formalnego przypisania do danej klasy w danym roczniku) pokaże, czy odważny jest, czy tchórz z niego wobec postępującej genderyzacji polskiej szkoły.

W pierwszym terminie niewielu zdało egzamin z odwagi.

Nieważkość to ciężar sumienia

Felieton, poniedziałek, 13, październik 2014 16:36

„Niewrażliwość sumienia” czy „nieważkość sumienia” czy – to tylko kwestia terminologii. Oba te określenia – a nasze czasy wyprodukują ich jeszcze więcej – idą w parze z programowym zapominaniem. I nie chodzi tu bynajmniej o przejściowe, kapryśne problemy z pamięcią, lecz o długotrwały proces całkowitego wymazywania z życia osoby, która potraktowana instrumentalnie nie jest już potrzebna.

Na zabytkowym fotelu siedzi wiekowa starsza pani. To inni dodali jej lat.

Pożyczała pieniądze? Wtedy była potrzebna. Załatwiała pracę? Też była potrzebna. Można jej się było godzinami wyplakiwać w mankiet? Słuchająca kozetka bez kwalifikacji była bardzo potrzebna. Młodość już zostawiła za sobą? Nie chce, nie umie zreperować jej, zaszyć, wyprostować rękami chirurga z reklamy. Najstarszy syn, pracujący na kierowniczym stanowisku w TEJ korporacji zdążył ją jeszcze oddać do

domu starców, gdy nie miała żadnych problemów z pamięcią. Po prostu nie pasowała do jasnych mebli w salonie.

Na co i komu miałyby się teraz przydać? Jeżeli byłaby choć cukierkowo piękna, uznano by ją automatycznie za mądrą i godną spóźnionych westchnień. Cierpienie czyni ją nieatrakcyjną dla zdrowych i samozwańczo nieśmiertelnych. Wyrzucający ją ze swego życia nawet nie podejrzewają, że pogodziła się ona z upływem czasu, znosi go z godnością i niezazdrośnie. Marszczy się przy lada dotyku i płowieje na niepodpisanych fotografiach.

Póki co, póki jeszcze patrzy z nieustannym zdumieniem na wyrzucających z życia osoby już niepotrzebne – tak niepotrzebne jak naczynia jednorazowe z impetem wrzucanym do kosza. A przecież to od rodziców, a potem stopniowo od dorosłego grona człowiek uczy się ku dobru wiodącej elastyczności uczuć lub też stopniowo pogłębia własne emocjonalne kalectwo.

Milan Kundera zarzucał ludzkości uludną wiarę w wieczną pamięć dotyczącą ludzi, wydarzeń, czynów oraz narodów. Wieczną pamięć zapewne świadomie mylił z pamiętliwością. Pamięć spraw osadzał zapewne między krzywdami i wyróżnieniami. Pamięć czynów widziałaby zapewne i inaczej widząc, że dopiero od kilku lat tak godnie pielęgnowana jest pamięć o Żołnierzach Wyklętych. Dlaczego w strachu i zaniedbaniu nie pielęgnowano jej wcześniej w czasach, gdy strach i zaniebdanie już nie miały prawa istnieć? Wieczna pamięć narodów od narodów zależy i Kunderze nie pozwolę się zbyć górnolotnymi formułkami.

Kundera zarzuca ludzkości również uludną wiarę w możliwość naprawy: czynów, grzechów, pomyłek czy krzywd. Ilu jednak wykorzystuje raz daną szansę? Według Kundery przebaczenie i zemstę zastąpi zapomnienie, bowiem nikt nie naprawi już wyrządzonych krzyw, jako że one same ulegną zapomnieniu.

Do pełnego wybaczenia potrzebna jest skrucha, inaczej bowiem krzywdziciel – potraktowany ulgowo i dotknięty nieważkością sumienia będzie krzywdził nadal. Kundera twierdzi, że nikt nie naprawi krzywd wyrządzonych, zaś one ze swej istoty ulegną zapomnieniu.

Ten tekst jest też o polityce dla tych, którzy uważają że tekst apolityczny musi być bezwartościowy.

Ten tekst jest też przestrożą, bo zapominanie boli bardziej niż zapomnienie.

Honor(y) i skandale

Felieton, poniedziałek, 06, październik 2014 13:45

Dotychczas zabierałam gromko głos w kwestii honoru narodowca i znanych P.T. Czytelnikom kodeksów honorowych, służących za wzór, wskazówkę i niezbędnik Polaka mającego poczucie godności własnej i idącego za głosem sumienia.

Spokój męskiego ducha zburzył opublikowany w 1930 roku „Powszechny Kodeks Honorowy”, wspierany głosem niespełnionych i rozedrganych kobiet, histerycznie po raz kolejny domagających się równouprawnienia również w kwestii odpowiedzialności honorowej. Jego autorem był Jan Gumiński, wytrawny i ceniony prawnik, prezes Ligi Reformy Postępowania Honorowego. W jego tworzeniu wzięły udział przedstawicielki Klubu Politycznego Kobiet Postępowych, Rodziny Wojskowej, Związku Zawodowego Kobiet Pracujących w Handlu i Biurowości.

Kodeks Gumińskiego wznoszony jak obelisk przy pomocy walecznych, acz upartych kobiet zniósł pojedynki jako formy dopełnienia i rozwikłania sporu honorowego oraz zrównał prawa oraz obowiązki kobiet, także i mężczyzn w „zakresie odpowiedzialności honorowej”. Do 1930 roku bowiem kobiety uznawano za niezdolne do wzięcia na siebie takiej odpowiedzialności. Ich rachunkami towarzyskimi zajmowali się ojcowie, bracia oraz w szczególnych przypadkach niespokrewnieni, acz rycerscy i uczciwi przedstawiciele.

Od 1930 roku upłynęło 84 lata, a kobiety dalej - z nielicznymi wyjątkami - nie mają pojęcia, że wraz z entuzjastycznym rozgłoszeniem idei „Powszechnego Kodeksu Honorowego” zrównujące prawa obu płci, wzięły one wreszcie odpowiedzialność za swoje własne postępowanie, co w praktyce oznacza, że już zawsze będą musiały liczyć się ze słowami i przestać wypowiadać wredne oraz wydumane sądy o innych. Pojedynki mocą nowego kodeksu z 1930 roku wycofano i zdezelowane na duszy niewiasty nie musiały się czuć zagrożone perspektywą dźwigania i mierzenia pistoletem lub szabelką w adwersarza (czy feministyczną adwersarkę).

Zrewidowana interpretacja wcześniej obowiązującego „Kodeksu Bożewicza” nakazywała, że zgodnie z rozdziałem I art. 8 wykluczone ze społeczności ludzi honorowych powinny być kobiety chciwe (w jakim momencie materialistka jest już kobietą chciwą?), żądne zysku (pytanie jak wyżej) oraz poniżające choćby z zemsty mężczyznę. Wykluczone ze społeczności honorowych – przez analogię – miały być ponadto kobiety tchórzliwe, lesbijki, desperatki przyjmujące utrzymanie od mężczyzn nie będących najbliższymi krewnymi, kompromitujące mężczyzn niedyskrecją, składające fałszywe zeznania w sądzie, notoryczne alkoholiczki popełniające w stanie zamroczenia czyny poniżające, kobiety przywłaszczające sobie nieprawnie tytuły oraz godności, czyli przypisujące sobie tytuły naukowe, których nie posiadają i autorstwo

prac naukowych lub dzieł literackich, których nie popełniły. Lubo też takie, które w naszych czasach wiecznymi magistrami będąc nie wzbraniają się i nie korygują, gdy media i niewirtualne lizusy mienia je doktorami lub doktorkami.

Teraz gdy skandal zatracił swe skandaliczne czy wręcz skandalizujące znaczenie, pytanie o honorowe normy żeńskiego postępowania w światku pół-literackim/pół-artystycznym kończą się zamierającym szeptem. Gdy kilka lat temu wybuchła medialna obrzydliwość z Simonem Molem, który zaraził HIV-em ileś tam młodych kobiet, brudnej wody w usta nabrały agresywne i napastliwe zazwyczaj siostrzyce, ich biuletyn, stowarzyszenia oraz inne organy. Teraz coraz głośniejszy słychać medialne murmurando wokół resztek alkoholu i brzydoty (duszy), co ciemniejsza niż noc, w czas gwałtów i molestowań starości na podstarzałej młodości, wydobywań z trumny zapomnienia pseudoliteratury na poziomie pornograficznych wynurzeń.

Jak do kwestii honorowych się mają postacie niezdefiniowane płciowo? Kodeks honorowy: Boziewiczza, Gumińskiego czy jakikolwiek inny widać blade i rachitycznie rozbrzmiewa po latach skoro tylko kobiet i mężczyzn dotyczy. Niezdefiniowanie płci jak tłusta plama na alabastrowym obrusie honorowe dylematy zakrywa, a ja i tak się wstydzę za zwichrowane chłopbaby.

Wspomagać śmierć

Felieton, wtorek, 23, wrzesień 2014 17:42

Eufemizmy triumfują: śmiertcionośne wygi przekonują, że to eutanazja zasługuje na miano wspomaganie.

Nie poddając się bełkotliwej propagandzie cywilizacji śmierci szukam WŁAŚCIWEGO znaczenia pojęcia. Wspomagać śmierć to znaczy współuczestniczyć w godnym, naturalnym umieraniu. Troskliwa pielęgnacja, zwalczanie fizycznych cierpień i bólu, życzliwe i serdeczne obchodzenie się z chorym, współprzeżywanie nie na własnych warunkach. W takiej chwili między byciem zdrowym i byciem chorym granica jest płynna, zaś darem jest absolutna cierpliwość i czas ofiarowany umierającemu. Wykrzywiony od niewiedzy teoretyk umierania wykrzyczy: *nie istnieje żadna pomoc poza podawaniem środków farmakologicznych, pomoc człowiekowi by w umieraniu własną śmiercią był sobą!*

Kto odważy się wreszcie z umierającym porozmawiać, a nie wygłaszać – tuszując własne przerażenie monolog? To egoistyczne przerażenie w obliczu nieuchronności, które dotknie czuwającego i zdrowego. Rozmowa z umierającym musi być uczciwa, nie będzie poprawek ani aneksów. Dopiero w ciężkiej chorobie widać, kto ofiarowuje potrzebującemu siebie, kto w przyjaźni, a kto w miłości, kto z rozsądku, kto ze strachu,

kto nawykowo, kto odważnie. W gruncie rzeczy to sam cierpiący wskazuje na kim mu zależy, bowiem u kresu drogi wreszcie wie kto dobroczyńcą, a kto graczem i od kogo pragnie pomocy.

W obecności umierającego musimy rozumieć sygnały przekazywane również w przedziwnych czasem gestach. Niektórzy nawet zadają sobie pytanie, czy przebywając z umierającym nie zarazą się przypadkiem jego wolą umierania. Wszak śmierć lubi wielość – na wojnie, podczas epidemii, w katastrofach. Trzęsący się z przerażenia pomyśli: *jeśli umierający wybiera mnie, bym mu towarzyszył, śmierć zahaczy i o mnie*. A przecież to tylko ciche wołanie o pomoc, szept niepewności, bezgłośna czasem skarga, milcząca nieporadność, samotność bez ujęcia, poczucie odrzucenia, utrata rzeczywistości.

Wystarczy pomilczeć wspólnie, nie chodzi tu o milczenie zalegające jak głaz, lecz towarzyszenie choremu w jego uchodzeniu do kresu życia. W procesie umierania i wspomaganie umierających kryje się nieustanna niepewność, ale i wyraźne pragnienie, by coś nie było prawdą. Ból jako bunt, targowanie się z losem, faza depresyjna, wreszcie pogodzenie się z nieuchronnym. Często rodzina JUŻ WIE, choć nie wie jeszcze sam pacjent lub też wie pierwszy, tym bardziej że napotyka na uniki w rozmowie lub irytujące go tematy zastępcze. Nadzieja wnika w niepewność choćby na chwilę, ale i tak już za późno.

Jeszcze próbuje zaprzeczać fatalnemu rozwojowi choroby, jeszcze planuje coś, czego nigdy jeszcze nie dokonał. Tak oto opiekujący się świadomie ucieka z umierającym przed rzeczywistością.

Jak twierdził Tadeusz Kielanowski przyczyną wielu chorób jest nędza, ale że pojęcie to dla wielu zdrowych zbyt skomplikowane, należy upatrywać przyczyn w nędzy materialnej, i w nędzy duchowej. Terminalnie chory cierpi nie tylko z racji bólu fizycznego, lecz uświadamiając sobie destrukcję jego prywatnego świata, który tak mozolnie budował latami. Dzieciństwo i dorosłość zaczynają nagle zatracać naturalną chronologię. Ciało staje się przedmiotem i choć fizycznie obecne daje coraz silniejsze uczucie poza-ciałem.

Jest taki zapomniany nawet przez wrażliwców rysunek Picassa zatytułowany „Płacząca kobieta”. Rysunek, który jest kondensacją „świeckiego” bólu – osoby umierającej i towarzyszącej umieraniu. Współczesny człowiek otępiały w obliczu metafor i systematycznie odzierany z duchowości powinien spojrzeć raczej na „Pietę z Avignonu” alb „Pietę” Giovanniego Belliniego. Matka Boża cała jest bólem, zaś do okaleczenia ciała Chrystusa przyczynia się niezmiennie każdy z nas.

W obliczu śmierci człowiek stara się jeszcze pertraktować z losem, jeszcze chciałby wytargować od Pana Boga kilka chwil, składa najróżniejsze obietnice: lekarzowi, najbliższemu byleby o te kilka chwil dłużej....A potem lekarstwa i napoje nietknięte, rozmowy, które pęczniały od sensu i nadziei... raptem nie mają najmniejszego sensu.

Płacz, wyjący z rozpaczny płacz. Potem coś w rodzaju akceptacji śmierci, wręcz pragnienie jako zakończenie ziemskich cierpień, a nie - śmierci jako takiej.

Najbliżsi i tak są zarażeni śmiercią wycofując się z normalnego życia społecznego, ze wstrętem czasem traktują słowa jakiegokolwiek współczucia. Umarł dobry, szlachetny człowiek, a dwunożne zło dalej wyciera buty po ziemi. To znaczy, że zły ma szansę naprawy? Tylko dlaczego z niej nie potrafi skorzystać?

Gdy o dorosłych mowa, klawiatura nabiera wartości, gdy zaś o umierającym dziecku klawiatura staje się marmurowo zimna. Gdy umiera ktoś z najbliższego otoczenia dziecko zaczyna się bać, że umrze i że śmierć jest zaraźliwa.

Tylko wiara łagodzić może poczucie lęku, towarzyszyć każdemu prawdziwemu oddaniu - w miłości i w umieraniu.

Śmierć bowiem jest JEDYNYM POCZĄTKIEM.

Kobieta powołana

Felieton, piątek, 19, wrzesień 2014 11:10

Druga dekada XXI wieku to czas zagubionych kobiet, coraz rzadziej świadomych swego prawdziwego powołania. Dar rodzenia i dar macierzyństwa jest szczególnym darem, który daje kobiecie – poza różnymi, wielokroć przywoływanymi wymiarami możliwość wyzbycia się własnego egoizmu. Każda kobieta – bo nie o wymiar fizyczny tu chodzi – może być również matką duchową, opiekunką, zajmować się działalnością dobroczynną, co w jest w naturze normalności, emanującej ciepłem i Dobrem.

Feministki i pozapłciowe mniejszości seksualne pchają się do głosu i pchają. Pusty krzyk dla zaspokojenia niezaspokojonego. Te pierwsze ewidentnie dotknięte są syndromem zanikającej kobiecości. Wkraczając w sferę publiczną już dawno wymazały z pamięci naturalną przeciw dbałość o piękno, dobro-czynienie, grację i słowo.

Powołanie na świat dzieciątka, otoczenie go miłością macierzyńską, czyli bezwarunkową jest źródłem szczególnej radości dla kobiety. Jeżeli kobieta nie może mieć dzieci, powinna je adoptować, jeśli nie może adoptować w sposób formalny, powinna adoptować dziecko w sposób duchowy.

Kobieta, która świadomie skazuje sobie na nieobecność dziecka w swoim życiu, odbiera sama sobie radość kobiecości. Dziecka maleńkiego czy też dziecka dorosłego – szukającego istnienia, potrzebującego pomocy, znajdującego się w sytuacji (pozornie) bez wyjścia, daleko od rodziny, ojczyzny, w chorobie, w bezbrzeżnym cierpieniu, w zwątpieniu, w bólu po utracie ukochanej osoby. Jestem przerażona potęgującym się

rozmiarem egoizmu kobiet, egoizmu, który rodzi agresję i kolejne niespełnienia. Egoizmu, który przybiera rozmiary pandemii. Dla kobiety, która nie umie się dzielić, pomagać – poza stanem choroby fizycznej czy psychicznej - nie ma żadnego usprawiedliwienia.

W XIX, a nawet jeszcze XX wieku kobiety były strażniczkami pamięci historycznej, potrafiły ofiarować przepastne bezmiary miłości i poświęcenia, ich siłą była gotowość dzielenia się i dawania. Były autorytetami w swoim środowisku, świetnymi organizatorkami życia towarzyskiego, ale i publicystkami oraz działaczkami społecznymi.

Umiały tworzyć atmosferę domu, dawać poczucie bezpieczeństwa dzieciom i wszystkim, którzy poczucia bezpieczeństwa usilnie potrzebowali. Od mądrego i kochającego mężczyzny poczucie bezpieczeństwa otrzymywały. Dar kobiecości to dar tworzenia i pielęgnowania życia, który nawet jeśli kobieta nie ma własnych dzieci, może realizować na przeróżne sposoby, choćby angażując się w posługi na rzecz cierpiących. Nie jest żadnym usprawiedliwieniem brak czasu – wiele kobiet narzeka na brak czasu mając przy tym niewiele obowiązków. Obserwujemy zarazem inną prawidłowość : im więcej obowiązków ma dana kobieta, tym więcej jest w stanie pogodzić.

Są kobiety, które latami nie są w stanie zrozumieć istoty daru kobiecości. Jeśli ważniejsza dla nich jest kariera, praca zawodowa, nudne i miałkie przejście przez życie, pławienie się we własnym egoizmie - wybierają pustkę.

Prawdziwe macierzyństwo jest nagrodą, a nawet karierą, zaś macierzyństwo duchowe kobiety, która nie może mieć dzieci zależy od niej samej! Bycie matką to poświęcenie – ale poświęcenie radosne, pokonywanie swoich własnych słabości, nieustanna gotowość do dzielenia się, bycie skuteczną nauczycielką, opiekunką, wychowawczynią, bez wieloletnich studiów pedagogiczno-teoretycznych i czasem w ekspresowym tempie.

Wiele kobiet w chwilach zwątpienia, choroby, tąpnięcia duchowego jest w stanie przemóc nawet najtrudniejszą nawet sytuację – zdawałoby się bez wyjścia, a czynią to dla dobra dzieci. Wiele z nich dojrzewa do tego, by czuć się pełnowartościowymi kobietami dopiero po urodzeniu dziecka. Wiele z nich nie potrafi docenić radości macierzyństwa jeszcze przez narodzinami dzieciątka. Nosić pod sercem dzieciątka, czuć jego delikatnusięńkie ruchy, móc do niego czule przemawiać a wreszcie komunikować się z nim jeszcze przed jego narodzinami to niewyobrażalnie cudowne przeżycie!

Zastanawiam się, czy kobieta, która ma możliwości materialne, jest spełniona zawodowo, zamężna, jej mąż pragnie dziecka, a ona robi nie mogąc mieć dzieci nie chce ich nawet adoptować... nie jest po prostu kryptofeministką? Kryptofeministką, która poprzez taką postawę niszczy własną kobiecość i tym samym niszczy swojego męża

jako mężczyznę. Czasem jest, że to mężczyzna w bezdzielnym małżeństwie nie zgadza się na adopcję, ale ten rodzaj egoizmu zasługuje na odrębny felieton.

Idiotyczna moda na brak potomstwa to skutek kreciej roboty feministek, które mają to do siebie, że kierując się swoim egoistycznym interesem niszczą innych.

Prawdziwym powołaniem kobiety jest macierzyństwo – prawdziwe czy przysposobione. Pochylanie się nad małym dzieckiem, nad młodym człowiekiem zmierzającym ku dorosłości, nad starością oraz osamotnieniem. Kobieta powołana jest Kobieta.

Ortografia i krew

Felieton, wtorek, 16, wrzesień 2014 13:26

W dniu 17 września 1939 - jak czytamy na pożółkłym plakacie rozwieszonym na co drugim drzewie i każdym słupie ogłoszeniowym na Białostocczyźnie - „Naczelnym Dowódcą Białoruskiego Frontu Komandarm Drugiej Rangi Michał Kowalow” (epatując manipulacyjną bezwzględnością, brakiem jakichkolwiek zasad, typową dla dewiantów i morderców dystrofią sumienia) wystosował odezwę, w której czytano co następuje:

„Pańsko-burżuazyjny Rząd Polski, wyciągnąwszy Was w awanturystyczną wojnę, pozornie przewaliło się. Ono okazało się bezsilnym rządzić krajem i zorganizować obronę. Ministrzy i generałowie schwycili nagrabione imi złoto, tchórzowie uciekli, pozostawiając armię i cały lud Polski na wolę losu”.

Pisownię z pożółkłego plakatu przytaczam tu w brzmieniu oryginalnym. Ewidentne rusycyzmy, kalki językowe i wszelkie inne prymitywne niezgrabności kryją drugie dno. Inaczej bowiem czytano bowiem ów tekst pamiętnego dnia 17 września 1939. Jednych mierzył, innych - co już duszę i tak zaprzędali - zachęcał.

Innego wymiaru nabiera on w dniu 17 września 2014, gdy agramatyczność wypowiedzi polityków staje się normą, a własnoręczny zapis wygłoszonych publicznie treści przeczy kanonowi polskiej ortografii – czasem do tego stopnia, iż zastanawiamy się nad (mocno) obcą proweniencją tegoż czy tamtegoż „retora” – i bynajmniej nie z powodu starannie wypielęgowanych pejsów czy brody (choćby miała znamiona niewidzialności).

Ciąg dalszy odezwę Kowalowa brzmiał coraz groźniej: *„Armia Polska pocierpiała surową porażkę, od którego ona nie strawić wstanie się. Wam, waszym żonom, dzieciom, braciom i siostram ugraża głodem śmierć i zniszczenie.*

W te ciężkie dni dla Was potężny Związek Radziecki wyciąga Wam ręce braterskiej pomocy. Nie przecięcie się Robotniczo-Chłopskiej Armii

Czerwonej. Wasze przeciwienie bez korzyści i przeznaczono na całą zgubę. My idziemy do Was nie jako zdobywca, a jako wasi bracia po klasu, jako wasi wyzwoleńcy od ucisku obszarników i kapitalistów.”

Sprzeciw oznaczałby śmierć. I stał się sprzeciw, i stała się śmierć, bo Polakowi ona nie straszna, gdy obcy nastają butem na jego honor, rodzinę i Ojczyznę.

Kowalów w swej odezwie z 17 września nacierał dalej: *„Wielka i niezwolczona Armia Czerwona niesie na swoich sztandarach pracującym, braterstwo i szczęśliwie życie.*

Rzolnierze Armii Polskiej! Nie proliwacie daremnie krwi za cudze Wam interesy obszarników i kapitalistów.

Was przymuszają uciskać białorusinów, ukraińców. Rządzące koło polskie sieją narodową rużność między polakami, białorusinami i ukraińcami”.

„Narodową rużność” między samymi Polakami, czyli śmiercią wyrównać miały „tymczasowe” („tymczasowe” oznaczało widać „bezterminowe”) władze sowieckie. W Białymstoku powołano wówczas Wremiennoje Uprawlenie Goroda, czyli Tymczasowy Zarząd Miejski z „desantem” oficerów NKWD oraz urzędników na stanowiskach kierowniczych. Zostali oni w sposób specjalny przeszkoleni, ażeby...

I w ciągu niespełna dwóch miesięcy na Białostoczczyźnie, po masowych zwolnieniach polskich urzędników, administracja zaroła się od żydowskich komunistów i urzędasów z BSR. A w białostockim więzieniu przybywało coraz więcej polskich nauczycieli, sędziów, kolejarzy, i leśników...

Kowalów próbował na afiszu pojednoczyć i pobratać -z bagnetem w ręku: *„Pamiętajcie! Nie może być swobodny naród, uciskające drugie narody. Pracujące białorusini i ukraińcy – Wasi procujące, a nie wrog. Razem z nimi budujcie szczęśliwe dorobkowe życie”.*

Kto uważny, ujrzy jeszcze więcej i odniesie wszystkie, pęczniejące metafory do narodowościowych manipulacji A.D. 1939 i A.D. 2014.

Odezwę kończy szyderczy absurd:

„Rzucajcie broń! Przechodźcie na stronę Armii Czerwonej. Wam zabezpieczona swoboda i szczęśliwe życie”.

Kto uważniejszy, ujrzy, że błędy językowe po latach – prawie te same. Że nazwiska – zmienione, przybrane. Chleb i golonka za usługi zamieniły się w obiecaną celebryckość i bezterminowy stan posiadania.

Tylko krew na rękach świeża nieustannie...

Spychanie cierpienia

Felieton, wtorek, 09, wrzesień 2014 14:45

Cierpienie jest przepastną tajemnicą – powtarzają cierpliwie poeci, naukowcy, mówcy, a nawet dyletanci. Coraz bardziej pozbawioną tajemniczości.

Tajemnicą po wielokroć rozwiązywaną. Tajemnicą, która prowokuje uchylając własnego rąbka. Im silniej odczuwane, tym głębszy poziom człowieczeństwa. Utożsamiane z bólem przekracza nawet najwyższy próg bólu. Bólu, który wynika przede wszystkim ze świadomości perspektywy śmierci. Teoretycy grzmią o bólu psychicznym, duchowym, transcendentnym, moralnym, fizycznym, ale od teoretyków lepiej trzymać się z daleka. Często uprawiają Wielką Naukę na zgliszczach doświadczenia bliźniego, a sami niewiele przeżyli, niewiele doświadczyli. I dlatego tak prężnie rozwija się **nadpopulacja** przegadanych, rozwlekle rozpisanych **naukawców** (nie mylić z naukowcami).

Najgłębsze cierpienie skutkuje bezbrzeżnym osamotnieniem, odrzuceniem przez innych, a nawet przez siebie samego. Niewiele zmienia jakże modne teraz przenoszenie cierpienia do sfery Facebooka, blogu, sms-a czy emaila. Spychanie cierpienia w publicznie dostępną nicosć tylko je trywializuje. Człowiek autentycznie cierpiący nie będzie czynił ze swego stanu ani teatrum, ani pantomimy. Zniekształcenie zdolności do miłości i do miłowania spowszedniało do tego stopnia, że przestało wywoływać współczucie czy lęk.

Cierpienie też już chyba spowszedniało, skoro współczucie zaczyna być zjawiskiem tak rzadkim, że aż „elitarnym”, a **współ-odczuwanie** znane jest niektórym jedynie z literatury.

Może również ono stanowić rodzaj próby, rodzaj kary lub wskazać drogę do nawrócenia. Na najwyższym poziomie cierpienia – czyli cierpieniu wskutek nieodwracalnej utraty pozostaje już tylko przyzwyczaić się, że jest ono niezmiennie i obiektywne oraz że winniśmy je przekuć na **Dobro**. Tylko jak? – zadajemy sobie pytanie trzymając wiotką dłoń gasnącej, bliskiej nam osoby. I nie w głowie nam żadne tam cierpienie transcendentne, tylko wyjąca w każdej odrobinie naszego jestestwa rozpacz wobec NIEODWRACALNEGO.

W serdecznym darze cierpiącym bliźni ofiarowuje pomoc i wsparcie. Tworzy zaczątek łańcuszka dobra, gdzie ofiarując nie oczekujemy niczego w zamian od osoby obdarowywanej. Czasem otrzymujemy je niespodzianie od zupełnie obcej osoby.

Przeraża coraz bardziej – Ciebie, mnie, prawdziwie cierpiących – sama świadomość, że coraz częściej za Dobro zapłatą jest opętana agresja. Wśród cierpiących i domagających się pomocy jest niestety wielu oszustów i pozorantów, a każdy z nich – poza atrofią sumienia – potrafi być potworem. Może zatem należałoby zrewidować poglądy na pomaganie?

Ksiądz Małkowski niosący pomoc więźniom już od czterdziestu lat został przed niespełna dwoma tygodniami zaatakowany przez człowieka, któremu pomagał, obdarowywał, wspierał.

Znał agresora – ten u niego wcześniej bywał i nic nie wskazywało, że tak ohydnie zaatakuje.

Agresji jako konsekwencji cierpienia nic nie usprawiedliwia.

Jak jednak odróżnić prawdziwie cierpiącego i potrzebującego od zakamuflowanego dewianta-agresora? Zło umie się perfidnie maskować.

Cierpienie nie musi tego czynić, jeśli jest prawdziwe. Trud CAŁOŚCIOWEGO istnienia jest cierpieniem. Niosący pomoc potrafią cierpieć o wiele silniej niż pomocą obdarowywani.

Cierpienie uwalnia, spychane – powraca ze zdwojoną siłą, zaś zamieniane w dobroć zbliża nas do Boga.

Dobroć niedookreślona

Felieton, wtorek, 02, wrzesień 2014 20:42

W najczystszej postaci pojawia w naszych czasach się tak rzadko, że ze zdumieniem przyjmujemy jej przejawy. Częstość mylona jest z biernością, „rachitycznym” charakterem, brakiem asertywności, a nawet stanem nieustannie tłumionego lęku.

Dobroć to nie „nic złego nie uczynił/a”, lecz uczynił/a AUTENTYCZNIE coś dobrego. On. Ona.

Niektórzy odruchowe akty litości przypisują sobie jako zasługi wyolbrzymiając je w towarzyskich opowieściach, drobiazgi zmieniając w czyny heroiczne. Słowa... słowa... słowa... Akty litości są w ich przypadku jedynie próbą zagłuszenia niepokoju.

A jeśli autentycznie pomóc mamy, potrzebny jest nam choć drobny sygnał, że dana osoba pomocy potrzebuje, ową pomoc zechce przyjąć. Ludzie o dumnym sercu i autentycznie dotknięci przez los przed przyjmowaniem pomocy częstość się wzdrgają, a sami pogrążeni w cierpieniu pomagają tym, którzy cierpią jeszcze mocniej.

Dobroć jest materią delikatną i kruchą, szargają ją bezmyślnie nieroby oraz nałogowcy, a w efekcie źle ukierunkowana dobroć jeszcze bardziej pograża ich w upadku.

Dobroć nie może być bezmyślna, lecz mądra i silna. Nie wolno jej pod żadnym pozorem zamienić w potok fałszywych łez i nawykowych palpacji, głośno wydawanych litościwych okrzyków. Dobroć ofiarowuje ten, kto nie tylko płaszcz podzieli na pół i bez wahania oddaje w strugach deszczu – tu do metafory dopiszmy całą listę zdarzeń realnych.

Dzielenie się i ofiarowywanie – powinno być naturalne jako oddychanie i potrzeba jedzenia. Dzielenie się i ofiarowywanie – podkreślam - wsparte jednak przez szkołę rozumu, czyli skierowane do autentycznie potrzebujących.

Człowiek człowiekowi przestał być wilkiem, człowiek człowiekowi stał się naczyniem jednorazowym. Cóż dywagować o pomaganiu, skoro w relacjach międzyludzkich wszelaka normalność istnieje już tylko w formie szczątkowej. Jeśli cokolwiek jest nie po myśli jednej ze stron tworzącej więź – w przyjaźni, miłości, a cóż mówić o zwykłej znajomości – to człowiek wyrzuca drugiego ze swojego życia: zgnieciony śmieć w śmietniku nie godzien jest już żadnego zainteresowania.

Wreszcie kwestia dwulicowości: czy człowiek spieszący z pomocą czy udzielający się w dobru publicznie, na rzecz obcych, a zarazem fałszywy i „podwójny moralnie” wobec najbliższych jest w swej postawie odosobniony?

Zarazem „toleruje się” wiele: znaczenie „tolerare” to m.in. „przecierpieć”, „znosić”, „wytrzymać”. W naszych czasach „tolerare” znaczy raczej „pobłażać różnym formom dewiacji i zła organicznego”. Dobro i dobroć przestały być niezbędnikiem w życiu oraz inspiracją literacką czy artystyczną.

Twarz i dłonie. Tak, właśnie. Wystarczy spojrzeć na twarz i dłonie potrzebującego i obdarowującego. U pierwszego z nich widać, czy rękę wyciąga po raz pierwszy, czy też czyni to notorycznie i nie umie się już powstrzymać, nawet jeśli znów NA TRWAŁE POSIADA. U drugiego – czy jest to gest zniecierpliwienia, a wręcz obrzydzenia czy też – ofiarowywanie z głębi jestestwa.

Dobroć niedookreślona jeszcze ma szansę. Ostatnią - by dookreślić. A tej zmarnować nie sposób.

Misja Androgyne

Felieton, sobota, 30, sierpień 2014 13:39

Gender – poza promowaniem różnego typu dewiacji (bo już nawet nie dywaguję, czy to ideologia, nauka czy propaganda) - wpycha do świata norm i dobrych obyczajów

androgynię. Nie przekonuje mnie mialki argument, iż przez romantyków (niemieckich w szczególności) była ona dowartościowywana otoczką filozoficzną.

W psychologii obejmuje wszak występowanie u tej samej osoby cech psychicznych męskich i żeńskich. Przeczytałam wiele mitów, w których występuje połączenie rzeczonych męsko-żeńskich przeciwieństw pod pozorem jedności. Androgynie pojawia się także w Kabale: wystarczy przyjrzeć się kim był Adam Kadmon i w jakim kontekście mowa o Lilith.

Na głowę upadł zapewne Honoré de Balzac przeforsowując w „Seraficie” koncepcję androgynii postrzeganej jako miłości idealnej. Nie wspomnę o nachalnie cytowanym w tekstach naukowych (nawet jeśli z filozofią im kompletnie nie po drodze), Platonie piszącym o trzech rodzajach płci ludzkiej, w tym trzecia złożona z pierwiastka męskiego i żeńskiego. Terminem „trzecia płeć” w zamyśle ironii literackiej posłużył się również Tadeusz Dołęga-Mostowicz (tak, miał poglądy narodowe – któż o tym pamięta?) pisząc o zmaskulinizowanych kobietach.

Bzdurą jest redefiniowanie męskości i kobiecości przyprawione sztucznosciami nowomowy naukowej (naukowej?), wszak jako dzieci nabieramy zdrowej świadomości czym jest kobiecość, a czym męskość, jakie są naturalne i niepodważalne role oraz funkcje kobiety i mężczyzny. Normalna kobieta ma w sobie przepastne pokłady emocjonalności, opiekuńczości, wrażliwości na potrzeby innych oraz zdolność do poświęcenia (muskam jedynie najważniejszych pojęć z kobiecością związanych), zaś tu zostawić powinnam ze dwie linijki na wpisanie najważniejszych cech męskich. Jako kobieta nie uczynię tego za mężczyznę.

Przekopuję się przez setki stron badań naukowych poświęconych androgynii i stereotypom, po raz kolejny skonfundowana, że badacze coraz bardziej absorbują na lata wszelkiego typu dewiacje i odchylenia, zaś normalność w wielopłaszczyznowym wymiarze nie jest już dla nich tak atrakcyjna. Zwróćmy uwagę, iż badacze eksplorujący tematykę androgynii zajmują się także problematyką „męskich kobiet” i „kobiecych mężczyzn” – obie grupy są przecież produktem ekspansji feministycznej.

Bo czy miałby aspirować do bycia prawdziwym mężczyzną choćby w marzeniach jeden z podstawowych genderowych, wybrakowanych produktów, dopieszczanych przez literaturę i media jako nowe wcielenie Piotrusia Pana? W publikacjach i wystąpieniach publicznych nazywam go „Genderowym Piotrusiem” bowiem nie bawią mnie nawiązujące do wzorców literackich eufemizmy.

Wybrakowane produkty gender to wybrakowane produkty gender i nie ma powodu, by chować głowę w piasek (literatury). Bezradny, zniewieściały, niepewny, słaby, nieodpowiedzialny stary chłopiec w krótkich spodenkach zawdzięcza swoją tragedię nadopiekuńczym matkom, mylącym chorobliwy lęk z miłością oraz feministkom programowo degenerującym tradycyjne pojęcie płci.

Jakaś kolejna (nie widzę potrzeby magazynowania w pamięci ich nazwisk) wykrzyczała na łamach najnowszego, przeintelektualizowanego artykułu, iż „przypisanie kobiecie określonej roli nie jest naturalnym porządkiem rzeczy”. Tym bardziej promowanie bytów androgynicznych.

Strzelanie feministyczne (choćby słowami) widać może być strzelaniem do lustra.

Słowa w błocie rozdeptane

Felieton, poniedziałek, 25, sierpień 2014 17:54

Doczekaliśmy czasów opartych na kłamstwie i obłudzie. Przedwojenne kodeksy obyczajowe wielokrotnie przekonywały, iż człowiek uczciwy nigdy nie rzuca słów na wiatr, nawet wtedy gdy chce pozbyć się natręta czy też jeśli chodzi o zobowiązania finansowe lub obiecaną drobną przysługę, nawet jeśli nie była ona obwarowana słowem honoru.

Do szczególnych przewinień należało wówczas łamanie przyrzeczeń danych dziecku. Konstancja Hojnacka, przedwojenna wyrocznia w kwestii mądrej obyczajowości i dobrego wychowania powtarzała: „Niedotrzymane dziecku przyrzeczenie podważa jego zaufanie do całego świata dorosłych i uczy niesłowności już w zaraniu życia”.

Dziecko potrzebuje świadomości, że na rodzica można liczyć i że nie zawiedzie w żaden sposób, nazwijmy to „miłującego zaufania”. Zawiedzione zaufanie boli na wskroś, a jeśli jest to dziecięce zaufanie - rana psychiczna staje się prawie raną cielesną. I to taką, która nawet przez lata leczona nie zagoi się wcale. Wsiadasz do metra, do tramwaju, do autobusu i widzisz wokół siebie dziesiątki starych dzieci okłamywanych i wabionych w dzieciństwie obietnicami bez pokrycia.

Dobry rodzic może mniej obiecuje, ale rob i wszystko by obietnicy dotrzymać. Nie przerzuca na dziecka swoich własnych niespełnień z dzieciństwa i młodości, nie wysyła dziecka trzy razy w tygodniu na zajęcia z hiszpańskiego, bo sam się kiedyś uczyć hiszpańskiego chciał (a dziecko marzy o nauce gry na fortepianie), nie dobiera mu koleżanek i kolegów z własnego klucza, czyniąc z własnego dziecka kopię niespełnionego samego siebie, bo to też kłamstwo.

Wielu dorosłych dalej nawykowo kłamie. Oszukuje z coraz większym impetem i lubością. Nie przyznaje się do zabijania nienarodzonych, wiekowych, niedołączonych i a nigdy nie nazwa tego zabójstwem! Odbiera godność rodzinie, kobiecie, mężczyźnie, dziecku, zmuszają do panseksualizacji (nawet sfery duchowej) i eksponowania zbroczeń chowając się za pseudoterminologią gender. Zawiera małżeństwa ukrywając niewiarę, choroby psychiczne, głębokie wręcz uzależnienia, niezdolność do współtworzenia rodziny, posiadania i wychowywania dzieci. Zmusza choćby do korzystania z

„darmowego”, zunifikowanego podręcznika, który wypacza dziecięce postrzeganie normalności. Dokument więc „Standardy Edukacji Seksualnej w Europie” brzmi jak wyrok na niewinnych.

Wychowani tak, że dając słowo – słowa dotrzymujemy, nie możemy się pogodzić z kłamstwem, krzywoprzysięstwem i różnorakimi przejawami oszustwa.

W czasach honoru, by dopełnić zobowiązania ustnego, Polak był zdolny do wypełnienia największej ofiary – nawet z własnego życia. Teraz, gdy tożsamość rozmyta coraz częściej triumfuje nad polską tożsamością słowa bezkarnie stoją w sprzeczności z postawami, postawy w czasach pokoju z postawami czasu wojny. Zabite przyjaźnie, zamordowane miłości ustępują miejsca „więzom” okazjonalnym - więzom na chwilę.

Słowa teraz to ochłapy. W błocie nie widać jak były szlachetne i piękne. Strywializowane w sms-ach, spowszedniałych wulgaryzmach i patologicznym genderyzowaniu, krzywoprzysięstwie, oszustwach znaczą mniej niż cisza.

Genderyzacja to maltretowanie dzieci

Felieton, piątek, 22, sierpień 2014 17:17

O maltretowaniu dzieci mówi się w kontekście zaniedbania, obrażeń fizycznych, nadużyć seksualnych i przemocy emocjonalnej czy ekonomicznej. Wysoce sztuczny język opracowań naukowych oraz wyjątkowo irytujący, gdy mowa o autentycznej krzywdzie dzieci, jak też liczba broszur uświadamiających symptomy i skutki tragedii nie oddaje tak naprawdę w niczym bezmiaru cierpienia dziecka - cierpienia skutkującego wielowymiarowo aż do końca życia.

W stan bezsilnej irytacji wprawiają mnie podawane z podkulonym ogonem informacje, że „wykrywalność zjawiska” w Polsce jest wysoce niewystarczająca i że przedszkolanki czy nauczycielki nie potrafią wychwycić pierwszych symptomów głębokiej tragedii dziecka. O dziwo, lepiej z tym radzą sobie nauczyciele.

Jestem przeciwna sfeminizowaniu zawodu nauczycielskiego, a także sfeminizowaniu wychowania. Nawet jeśli dziecko wychowywane jest przez samotną matkę, potrzebny mu jest męski wzorzec – o tym odrębnie, wszak kwestia delikatna: zmaskulinizowane feministki i ekspansywnie nadopiekuńcze matki oraz wypisujący się z odpowiedzialności „ojcowie” z dystrofią sumienia przyczynili się do narastającego kryzysu męskości i mnożące się przykłady w kolejnym pokoleniu. Wypustu trzęsących krótkimi spodenkami mężczyzn, którzy nie są w stanie podejmować samodzielnych decyzji, brać trwałej odpowiedzialności za rodzinę.

Formą maltretowania dziecka jest zaniedbanie, narażenie na niebezpieczeństwo, na strach, na samotność, na zimno, na głód, doprowadzenie do opóźnienia rozwoju psychicznego lub fizycznego. Wśród obrażeń fizycznych coraz częściej wymieniane jest zamierzanie trucie, duszenie, przywiązywanie oraz zespół Münchhausena przenoszony na dziecko, bicie dziecka (czasem w sposób wyjątkowo wyrafinowany), jeśli uniemożliwia rodzicowi wielogodzinne siedzenie przy komputerze – dodajmy – rodzicowi uzależnionemu od pornografii lub zdradzającego z setkami bytów przez internet.

Coraz więcej jest przypadków nadużyć seksualnych – choć przecież osławione gender jest niczym innym, jak mniej lub bardziej zakamuflowanym przyczynkiem do seksualizacji dzieci, przyzwoleniem na różnego typu dewiacje również kosztem dzieci. Przecież to w „edukacyjnych” programach genderowych relacja dziecko-rodzic przedstawiana jest przede wszystkim w kontekście patologii, zaś rodzina jako przyczyna nieustannych problemów i konfliktów.

Genderyzacja świata dziecka jest także formą przemocy emocjonalnej, skoro de facto ignoruje i odrzuca jego prawdziwe potrzeby emocjonalne. Wystarczy zapytać rodziców, jak zachowywały się po powrocie do domu dzieci objęte programem „Równościowe przedszkole”. Dlaczego po przyjeździe do domu wyładowywały swoją agresję na rodzicach, dlaczego niektóre z nich zaczęły cierpieć na bezsenność? Dlaczego niektóre z nich zaczęły bać się znów pójść do przedszkola, do którego zazwyczaj tak lubiły chodzić?

Przebywając z klasycznymi ofiarami wszechgenderyzacji: słabym, zniewieściałym „ojcem” i zmaskulinizowaną, dominującą „matką” dziecko nabiera syndromu silnie wyuczonej bezradności (bezsilność wobec niespójnej polityki pedagogicznej&bezsukuteczne unikanie cierpienia). Bierze na siebie nawet nie kamień, lecz meteoryt ich kłótni i wzajemnych pretensji, okazując wręcz gotowość do przyjęcia na siebie odpowiedzialności za ich irracjonalne zachowanie, traci poczucie godności, staje się narzędziem obcych celów, zaczyna żyć w stanie permanentnego strachu.

Niewydolny, zgenderyzowany (czyt.: poddany programowej manipulacji) rodzic nie rozumie istoty zagrożeń czyhających na jego własne dziecko. Nawet wczytując się dokładnie w standardy edukacji seksualnej WHO, patrząc na umazanych w barwnikach przebierańców z przekrzywionymi perukami na czubku nie zrozumie, że dziecko – za przyzwoleniem „dorosłego” grzęźnie w tęczowopodobnym złu.

Programowa genderyzacja dzieci jest nową formą ich maltretowania.

Zła nie da się niczym usprawiedliwić.

Człowiek Kresów

Felieton, wtorek, 19, sierpień 2014 09:48

Spoglądam na stare portrety Człowieka Kresów (plurale tantum z szacunkiem i dostojnością). Rzekłby człowiek uważny: zabytkowe, nie stare, lecz słowa „stare” używam rozmyślnie – w znaczeniu (niestety) zapomniane. I te, których dostarcza literatura, i te, który udało się wydrzeć upływowi czasu. Skupione, szlachetne, dumne twarze.

Na wielu wypisany jest mistycyzm religijno-patriotyczny (mam na myśli również późniejszych „cichych świętych”, którzy – choć nieznani już z nazwisk – za Ojczyznę oddali swe życie). Inni zaś na twarzach mają wypisaną awanturniczość w najbardziej szlachetnym rozumieniu. Na innych jeszcze portretach widać twarze z domieszką innej krwi: ormiańskiej czy wołoskiej. To twarze, które chciałoby się wielokrotnie portretować, co czynię napisawszy kilka zdań. Węgłem utrwalone oblicza powstańczych matron czy nestorów wielkich rodów, albo żywe portrety w pastelach jak żywy temperament wybuchowy młodego Człowieka Kresów.

Nawet na dawnych zdjęciach czy portretach widać kresową skłonność do przechodzenia z jednej skrajności w drugą, co łatwiej mi będzie zawrzeć w burzliwym szkicu węgłem, ale już nie w poezji, która jeszcze niedawno była potrzebna autoterapeutycznie przynajmniej samym twórcom, a teraz systematycznie odwracają się od niej odbiorcy.

Portrety Człowieka Kresów równie silnie do mnie przemawiają jak jego skłonność do nostalgicznych refleksji – przede wszystkim historycznych oraz niezwykle silne przywiązanie do stron rodzinnych. Wraz z upływem lat coraz liczniejsze są zbiory portretów Człowieka Kresowego również w mej pamięci – honorowego, wrażliwego, ale silnego duchem zarazem. De facto są to pośpiesznie robione szkice pretendujące do miana portretów. Ile ich jest? Setki, tysiące?

Skoro tak trudno dookreślić węgłem czy pastelami portret Człowieka Kresowego, może należałoby poszukać jego komponentów w literaturze? Bynajmniej nie tu i nie teraz zamierzam pisać o subiektywne antologii literatury kresowej, lecz śledzić jego los na tle poezji i prozy styku cywilizacji. Tam bowiem, na Kresach cywilizacja Wschodu ściera się nieustannie z cywilizacją Zachodu, co widać na obliczach mieszkańców i postaci historycznych.

Dla wielu Kresy to nie tylko dzieje polskiej świetności, ale dzieje polskiego męczeństwa, także bliska geograficznie... egzotyka. Przedwojenne kurorty. Truskawiec ze słynną reklamą: „Dla miłośników srebrnego ekranu gra dwa razy dziennie kino Świtez” i muzeum regionalnym (14 447 motyli i chrabąszczy). To ożywiony w zimowym sezonie kurort w Jaremczach, zwanych Perłą Karpat. To leniwe plażowanie w Zaleszczykach, uwiecznione przez Marię Dąbrowską. Sady i winnice.

To także rozpacz Historii! Nieustannie zagrożona granica bytu narodowego! Ponadczasowa szkoła męstwa młodzieńczego oraz dojrzałego. Przystawianie prawdziwej rycerskości niezależnie od momentu dziejowego. Dzika, najdziksza przyroda odwieczna w stanie (prawie) nienaruszonym. Baśnie i opowiadki w niegdysiejszym stylu i cudnym, śpiewnym języku. Wilcy groźni i subtelne białogłowy w królestwie Natury – pięknej i wzniosłej. To wewnątrz prawdziwego dworu szlacheckiego, salon szlachecki, międzypokoleniowa biblioteka domowa, żywioł szlachecki, pokój babuni, pokój dziadunia, wreszcie paradygmat PRAWDZIWEGO, OCALAŁEGO domu wielokroć niszczonego fizycznie, ale wiecznego duchem.

Literaturoznawcy pospieszyliby zapewne z określeniem „metaprzestrzeń przygody” albo „metaprzestrzeń krainy dzieciństwa”, choć przecież Kresy to przeogromna, niegojąca się rana, zatrutowana kolejnymi okrucieństwami. Piekło na ziemi zgotowane przez ludzi ludziom. Jedna wielka nekropolia po wielokroć bezczeszczona.

Czas płynie na Kresach zupełnie inaczej. Czas-bezczas dla ludzi szamotanych losem i gorliwie tęskniących za Wolnością. Ileż tak można tęsknić?!

Kresy to także literatura: od Józefa Ignacego Kraszewskiego do Stanisława Brzozowskiego, od Elizy Orzeszkowej do Marii Rodziewiczówny, od Stanisława Srokowskiego do... młodego, nieznanego jeszcze kresowego pisarza.

Czekam na jego pierwszą powieść.

Bije nawet kwiatem

Felieton, sobota, 16, sierpień 2014 17:01

W okresie międzywojennym obowiązywała zasada "kobiety nie bij nawet kwiatem". Wojna, komuna, pozorna wolność i genderyzacja wymordowały większość zasad. "Kobiety nie bij nawet kwiatem" - to znaczy "z szacunkiem odnoś się do kobiety nawet w rozmowie" - a teraz słowny agresor, najczęściej mocno zakompleksiony, czuje się władcą sytuacji, bo w czasach pogłębiającego się relatywizmu PRZECIEŻ MU WOLNO.

Pragnie za wszelką cenę przejąć władzę nad drugą osobą – słabszą oczywiście, choć to żadna sztuka, ale patrząc sobie w gębę przynajmniej przed samym sobą będzie mógł pochwalić się zwycięstwem.

Jakakolwiek próba wchodzenia z nim w dyskusję nie ma sensu – słodziutko zacząwszy rozmowę i tak zamieni ją we frontalny atak negujący jakakolwiek wypowiedź rozmówcy jako złą, nieadekwatną, a poważniej sformułowane pytanie lub opinia

wywołuje weń atak furii. Nie obchodzą go uczucia innych i wypiera się własnych. W ciągu jednej chwili zmienia zdanie o 180 stopni, bo on ma do tego prawo, zaś interlokutor w związku z powyższym powinien ponieść zasłużoną karę, którą ma być wymowne milczenie agresora (rzeczywiste lub telefoniczne), wprawienie rozmówcy w stan poczucia winy za zaistniałą sytuację, niespodziane skrytykowanie go za drobiazg „sprzed wielu rozmów i spotkań”, który jako narzędzie w rękach agresora słownego staje się ciężkim przewinieniem i bezpośrednią przyczyną (choć odległą w czasie).

Słowny agresor lubuje się w samonapędzającym się krytykowaniu innych aż do lawinowego wyszydzenia. Stawia władcym tonem innym żądania niemożliwe do spełnienia lub narzuca drobiazgowy plan realizujący jego własne korzyści. Radzą mędracy-teoretycy: nie daj się sprowokować, nie odpowiadaj agresorowi słownemu w ten sam sposób, niech ochłonie... Ochłonie – kosztem ofiary? Przecież i tak chce dominować, sprawować władzę, a krytykując, oskarżając oraz lekceważąc rozmówcę systematycznie umniejsza jego samoocenę. Obsesyjne dążenie do dominacji „ozdabia” (czyt. pozornie łagodzi) wymuszaniem uległości recytując całą listę przywar jako typową dla płci ofiary, bo przecież jego ofiara jest tak typowa, że już bardziej typową/typowym być nie można.

Słowne szpilki powodują rany zadawane mieczem.

Nie bronię słownego agresora podkreślając, iż jego zachowanie ma swą przyczynę w toksycznych metodach wychowania, jakich był on sam ofiarą w dzieciństwie. Nie umiał uporać się ze swoimi doświadczeniami w wieku młodzieńczym i wskoczył w dorosłość tylko po to, by znów nadużywać władzy oraz delektować się toksycznymi więziami z ofiarami... lub innymi agresorami, które najchętniej zmieniłby w ofiary.

Do niedawna agresor słowny był mężczyzną, teraz coraz częściej jest rodzaju żeńskiego lub nijakiego, albo też innych rodzajów, które jeszcze złowieszczo nadejdą. Pandemia gender daje mu coraz silniejsze poczucie władzy i nawet jeśli sukienka wisi na jednym monstrum jak worek kartofli, a na drugim worek kartofli związuje piersi w zanikającą kobiecość... agresor słowny jest zwykłym słabeuszem/słabeuszką.

Wszak gender generuje tylko słabeuszy.

PS. Nie zdarza się, by felieton miał suplement literacki. Ten akurat ma, bo życia po raz kolejny przerosło literaturę i wersję „męską” przerobić na „żeńską”... „nijaką”...

Nieprawdziwa dyskrecja prawdziwa

Felieton, czwartek, 14, sierpień 2014 10:01

Prawdziwa dyskrecja – słownikowo określana jako „umiejętność dochowania tajemnicy” i „nie mieszanie się do spraw cudzych” rzadko pojawia się w najczystszej postaci. Właściwa ludziom o głębszej kulturze nie jest cnotą powszechnie praktykowaną.

Ktoś proszalnym tonem stara się ubłagać interlokutora: „Tylko nie powtórz tego nikomu!” albo: „Niech to zostanie między nami!”. „Mówię Ci to w najgłębszej tajemnicy” - albo: „jeśli chcesz, rozповідаj dalej - tylko nie zdradź, że dowiedziałeś się TEGO ode mnie...”

Choć to do kobiet plotkarstwo lepi się niczym zatłuszczona etykieta w miejsce przeznaczone dla skrzydeł, a i mężczyźni plotkują obcesowo, równie okrutnie jak kobiety. Trudniej przestawia się ów proceder w przypadku osobników o płci niezidentyfikowanej, bo nie dość, że plotkują, to plotkarstwo okraszają konfabulacją – w dawce podwójnej za płcie obie dogadzając sobie w słowopotoczności. Brzmi to jak dyskretnie niedyskretny bełkot, z którego nie wynika, czy przez okno wpadła kocia główka i potrafiła leżącą w mieszkaniu cegłę, czy też okno po prostu potłukło się samo: takie samoudręczenie, skoro ono – okno – rzecz jasna jest rodzaju nijakiego.

Człowiek o uczciwości krystalicznej sam wie doskonale, czym jest dyskrecja - innymi słowy: czego nie trzeba powtarzać i opowiadać oraz gdzie jest granica pomiędzy pytaniem błyskotliwym a pytaniem przekraczającym granicę dociekliwości. Człowiek dyskretny ma wzgląd na innych ludzi, poczucie taktu i umie stawiać granice.

Nie umieszczę nadużywanego (przedawkowanego?) w naszych czasach pojęcia jakim jest asertywność. Wszak i w niektórych anonsach rekrutacyjnych pojawia się adnotacja „Wszystkim kandydatom gwarantujemy dyskrecję”. Ależ to tak oczywiste, dlaczego więc mnożyć byty przez dodatkową formułkę! Częste szafowanie słowem uczyniło z niego brudną ściereczkę, którą w każdej chwili można niezobowiązująco wrzucić do śmietnika.

Człek dyskretny nie będzie nurzał nosa, ust i oczu w nieszczęścia innych (bo powodzenia i sukcesy dla plotkarzy nigdy nie były przecież atrakcyjne). Sam wyczuje, iż dany temat krępuje interlokutora.

Czasem jednak jakaś nędzna popłuczyna po Dyzmie nachalnie wmila (zamiast „przymila się”) się w dane środowisko, bywa regularnie - choć niezapraszana, głucha na pojęcie „persona non grata”, wciąga w jowialne pogaduszki osoby sobie prawie znane (ale ma je poznać, zjednać i wykorzystać), roznosząc wokół wyjątkowo śmierdzący odór pozornej familiarności. Słucha uważnie, uważnie zapamiętuje i uważa, by nikt nie

dopatrzył się ewidentnych nieścisłości w jego własnym wyuczonym (dorobionym) życiorysie i patriotycznej (pozornej, a nawet upozorowanej) działalności.

Wtyka czy długie ucho? Tylko bez eufemizmów.

Nieprawdziwa dyskrecja prawdziwa na ubeckiej mordzie zawsze jest wypisana. Wystarczy się rozejrzeć...

Lektury na przekór

Felieton, środa, 06, sierpień 2014 22:32

Zatrwożona losem polskiej diatwy, której od nowego roku szkolnego grozi „darmowy”, zunifikowany elementarz, zaś w klasach starszych coraz bardziej okrojony program literatury polskiej oraz historii, a także dekapitacja listy lektur, postanowiłam skompletować subiektywną listę lektur i materiałów pomocniczych do dobrego oraz mądrego wychowania.

Ich oryginały zachowały się jeszcze w zbiorach bibliotek - w tym rodzinnych i domowych, bibliotek warszawskich, w tym oczywiście Narodowej. Wdzięcznie skłaniając łabędzią szyję literaturoznawcy najpierw ku WŁAŚCIWYM publikacjom wychowawco-formacyjnym z lat dwudziestych i trzydziestych muszą też uważać, by język tego felietonu nie zamienił się nagle w język z epoki.

Wśród obszernego już nawet na etapie przygotowań wyboru (nie ujawniam tu całego), czyli wychowawczej antologii subiektywnej na przekór znalazłby się utwory ponadczasowe do wykorzystania podczas zajęć teatralnych ze złaknionymi pięknymi przeżyć dziećmi i pojętną młodzieżą: np. D. Baczkowskiego „*Zmartwychwstanie Polski: obraz sceniczny dla polskiej młodzieży*”, Warszawa 1930 czy J. Bekiera „*Młody zdobywca nieba: obrazek sceniczny w 7 odsłonach z życia św. Kostki Stanisława*” (Kalisz 1934) oraz opracowany i wydany przez S. Daszyńską w 1937 roku we Lwowie „*Zbiór nowych recytacyj, deklamacyj i śpiewów na obchody narodowe i okolicznościowe: 12 recytacyj-deklamacyj, 15 pieśni*”. Daszyńska wszak specjalizowała się w „metodycznym komponowaniu” materiałów do edukacji narodowej, stąd też szczególną popularnością cieszył się podówczas zbiór jej autorstwa „*Chcemy własny sztandar mieć!: obrazek sceniczny w 2 odsłonach na obchody świąt narodowych: dla szkolnych scenek*”, wydany we Lwowie w 1934 roku.

Uzdolnieni muzycznie w patriotycznym duchu mogliby skorzystać z książeczki R. Brzezińskiej „*Piosenki z dziejów naszych*”, wydanej w 1920 roku. Formacja zuchowa opierałaby się zapewne o „*Osiem opowiadań o różnych zuchach, którzy serce oraz mają dzielne, wspomogli ojczyznę w potrzebie*” Z. Bukowieckiej, a także *exemplum* postaw wedle K. Czajkowskiego, czyli „*Wołyńskie zuchy*” – książeczkę wydaną w Równem w

1938 roku. Niezależnie od wieku, dzieci powinny zapoznać się z „*Katechizmem rycerskim*”, wydanym w Warszawie w 1925 roku oraz z „*Opowiadaniem i bajkami z dziejów Polski*” Z. Bukowieckiej, wydanym w Warszawie w 1919 roku, jak i „*Opowiadaniem z dziejów ojczystych dla ludu i młodzieży*”, wydanymi w Przemyślu w 1921 roku.

Wprawdzie ochronek A.D. 2014 nie nawet wyobrażenia nie uświadczą, ale P. Górskiej „*36 (trzydzieści sześć) pogadań religijnych dla ochron szkół początkowych*”, wydanych w Warszawie w 1918 to książeczka dla pięknych duchem, jak również „*Zwięzły kodeks moralny dla młodzieży*”, wydany w Warszawie w 1928 roku.

Wśród rekomendowanych lektur dla młodzieży umieściłabym H. Zakrzewskiej „*Białe róże: powieść dla młodzieży z czasów inwazji bolszewickiej*”, opublikowaną w Warszawie w 1922 roku. Lata minęły, temat groźnie ten sam.

To jedynie muskanie całego spisu lektur obowiązkowych w edukacji patriotycznej, który opracowuję nie czekając na kolejny, darmowy „równościociekawostki” czy program edukacji równościowej dla przedszkoli oraz szkół wszelkich. Całość wykazu dopełni się wkrótce. Czy zdążę przed... ?

Wzorca należałoby szukać

Felieton, niedziela, 03, sierpień 2014 18:09

W sierpniowy poranek wchodzę do kiosku z gazetami. Nadmiar kolorowej trywialności nuży spojrzenie, szczególnie gdy chciałabym kupić choć jedną wartościową gazetkę dla dzieci.

Może właśnie jeszcze teraz, jeszcze póki czas, przydałoby się oddzielnie funkcjonujące czasopismo dla dzieci i młodzieży formujące patriotycznie, z mądrym aneksem wychowawczym dla rodziców, jako antidotum na czasopisma i publikacje, którą sterują wyobraźnią poprzez eksponowanie treści pobudzających erotycznie w sposób mniej lub bardziej zakamuflowany.

A widać to przecież ewidentnie w kolorowych, pozbawionych myślenia gazetkach, w których plastikowy gadżet wabi bardziej niż papier. Wielość staje się nijakością, brak wzorców słowa pisanego kaleczy przede wszystkim dzieci.

Może wzorca należałoby szukać w wydawanym od 1928 roku czasopiśmie „*Orlęta*”, którego celem było szerzenie wśród młodzieży polskiej „*idei ukochania Polski jako świętości*”?

Jego tytuł miał wyrażać duchową łączność z mieszkańcami Lwowa, natomiast koncepcja powstała w kręgach nauczycielstwa szkół średnich oraz młodzieży

gimnazjalnej. Skupiona ona przede wszystkim była w Organizacji Młodzieży Narodowej, działającej nielegalnie na terenie szkół średnich. Grono redakcyjne tworzyli zdolni i wychowani w rodzinach o głębokich tradycjach patriotycznych uczniowie poznańskich szkół średnich, zaś redaktorami odpowiedzialnymi oraz wydawcami w jednej osobie byli kolejno nauczyciele z poczuciem misji narodowej pośród wychowanków.

„Orlęta” przechodziły zmienną kolej rzeczy przez lat jedenaście, najpierw jako typowe czasopismo dla młodzieży, w duchu narodowym, z czasem zaś eksponując głębokie analizy przemian w sferach artystycznych oraz obyczajowości. W periodyku pojawiły się również teksty poświęcone wybitnym postaciom literatury polskiej – wzorcom postaw patriotycznych oraz sugestiom dotyczącym obowiązkowych lektur narodowych.

Ważne miejsce zajmowała tematyka szkolna: sprawozdania z życia szkół poznańskich, lwowskich, wileńskich, kronika organizacji uczniowskich, teatr szkolny, życie harcerskie poznańskich szkół, konkursy literackie.

Czasopismo ukazywało się w nakładzie 1300-1600 egzemplarzy i zostało uhonorowane przez Radę Główną Powszechną Wystawy Krajowej w Poznaniu listem dziękczynnym za wartości wychowawcze. W styczniu 1933 „Orlęta” zmieniły winietę tytułową, zaczęły ukazywać się w większym formacie. Teksty publikowane na łamach periodyku zaczęły stawać się coraz bardziej radykalne. Na łamach „Orląt” pojawił się również protest z powodu przyznania nagrody miasta Warszawy Boyowi, zwanego przed adwersarzy „literackim aborcjonistą”.

Poszukiwania wzorcowego czasopisma dla dzieci i młodzieży rozpoczęte. Tylko jak zjednać czytelników, którym skutecznie szarga się wyobraźnię i wrażliwość poprzez ograniczające „czytanie ze zrozumieniem”?

Miasto-cmentarz

Felieton, środa, 30, lipiec 2014 18:29

Przed nami próba dziejowa: mierzyć się z wszechobecnym kultem młodości i zdobywania, które zajmują człowieka w takim samym stopniu jak narodziny czy śmierć. Gromadzić doświadczenia w mądrych i dobrych proporcjach – wszak można przeżyć lat szesnaście z intensywnością przeżyć osiemdziesięciolatka i lat osiemdziesiąt z intensywnością młodzięcżą, a nie pogłębiającą w dojrzałości, prawda?

Czy boimy się bardziej umierania czy śmierci? Czy jesteśmy PRZYGOTOWANI na każdym etapie życia? Śmierć to temat którego unikamy, lekceważymy, odrzucamy, a wręcz zaprzeczamy. Wielu poprzez wieloletnie działania autodestrukcyjne okazuje jej

swoją „przyjaźń”. Wielu dopiero po śmierci ukochanej osoby zdaje sobie sprawę jak silna łączyła ich więź.

Tym razem o istocie śmierci myślę w kontekście rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Po jego zakończeniu rodziny poległych stawały przed dylematem przebaczenia-nie przebaczenia. Powracający do stolicy po wojnie widzieli zwłoki i ruiny. Napisy, zapiski, adnotacje w zbiorach Polskiego Czerwonego Krzyża : „Trzy osoby nie pochowane” , „Mogila bez krzyża, widoczna ręka”, „Miejsce kaźni trzydziestu osób”, „Zwłoki NN z kamienicy przy ul... ”, „W mieszkaniu dozorca na parapecie leżą zwęglone zwłoki” , „Dwie młode dziewczyny w niekompletnym ubraniu”, „Niemowlę mocno okaleczone”. Samotne ciała poległych stanowiły też przez ocalałymi swoiste **memento humanitarne**. Jak bowiem ustalić tożsamość wielu ofiar? Jak umożliwić rodzinom godny pochówek zmarłych?

Jakiś warszawski potwór-urzędas chciał wprowadzić imperatywnie przepis o paleniu wszystkich zwłok, bez ustalania tożsamości, liczenia się z wolą rodziny, religijnym wymiarem pogrzebu. Polski Czerwony Krzyż był za pochowaniem doczesnych szczątków w tymczasowych grobach, m.in. na Placu Starynkiewicza i ogrodzie w Instytucie Głuchoniemych. Groby były płytkie, prawie natychmiast podmywał je deszcz. Prowizoryczne tabliczki z napisami przetrwały kilka, a czasem kilkanaście dni.

Dzieci okrutnie oswojone ze śmiercią znajdowały – czasem przypadkowo, a niekiedy z rozmysłem – kości, które włączały do swoich podwórkowych zabaw. W ich świecie wojna i śmierć toczyły nieustannie bój o swą „żywą” obecność. Kości właśnie, powstańcze odznaki, kawałki ubrań, guziki, potłuczone głowy lalek – to były zabawki. Zabawki przeczące idei zabawy, skoro przestała już być zabawą - stała się przedłużeniem udziału z ceremonii pogrzebowej albo dalszym ciągiem wojny. Tylko czy wyimaginowanej? Przeróżające zwały ziemi kryły w sobie fragmenty czaszek, piszczeli, jakieś metalowe drobiazgi, kawałki zwęglonych książek i dokumentów, które jeszcze przed kilkoma miesiącami były najważniejsze i może jedyne na świecie. W tym samym czasie hieny cmentarne przemierzały Miasto nocą i dniem, posługując się często własnego pomysłu sitami do przesiewania prochów.

„Nigdy Warszawa nie żyła tak blisko ze swymi zmarłymi” – czytamy w archiwalnym numerze „Gazety Ludowej” z 1945 roku. Zmarli obecni byli wówczas wszędzie: w rodzinnych opowieściach i wspomnieniach, płaczu, we fragmentach zdjęć, na podwórkach, strzaskanych mieszkaniach ocalałych fragmentarycznie przedwojennych kamienic, pośród roztrzaskanych lusterek, porzuconych w pośpiechu dziecięcych bucików oraz spalonych mebli. Warszawa była jednym, niekończącym się cmentarzem.

Do dzisiaj poruszając się po Śródmieściu, Mokotowie, Powiślu czy każdej innej prawdziwie warszawskiej dzielnicy stąпам uważnie polecając modlitwie każdej Jej miejsce znaczone krwią.

Nie uciekajże mi!

Felieton, piątek, 25, lipiec 2014 10:03

Sytuacja prawdziwa pośród wieżowców w samym sercu Warszawy. Kilkuletni, niepełnosprawny chłopiec rozgląda się bezradnie. Nie wie, gdzie jest i do kogo ma się zwrócić. Ojciec, który zabrał go na spacer nagle zniknął i dopiero po dłuższym czasie policjant odnalazł „odpowiedzialnego rodzica” bez pamięci pogrążonego w rozmowie i to w czułych objęciach komórki, kilka przecznic od Dworca Centralnego. „Odpowiedzialny rodzic” nie przejął się rozpaczą dziecka, ani w kilka miesięcy później ograniczeniem praw rodzicielskich.

Ucieczka? Kiedy zaczyna się ucieczka? Niektórzy rodzice, a wkrótce już „rodzice” najpierw uciekają od rozmów z dzieckiem, od odrobinę trudniejszych sytuacji wychowawczych, potem już od sytuacji trudnych, wreszcie od odpowiedzialności za dziecko (może nawet nigdy nie czuli się za nie odpowiedzialni), przestają wychowywać. Stają się pracoholikami albo nierobami, ponoszą ciężką odpowiedzialność za nieszczęścia ich własnych dzieci w dorosłości.

Kiedy TO się zaczyna? Nie zawsze emocjonalne lub wychowawcze „ucieczki” rodzica poprzedzają młodzieńczą próbę ucieczki jego dziecka. Koniec roku szkolnego, rozczarowanie ocenami, kostyczną postawą nauczycieli, lęk przed zmianą szkoły. Przyczyn może być wiele. Jeśli dorosły dumny z władzy dorosłości przestanie wczuwać się w dziecko i całą jego dziecięcość, jeśli będzie sam siebie zachwycał swoim „dojrzałym” pouczeniem, ustawianiem, nakazywaniem, wmawianiem - przegra. Przegra nie tylko ze sobą, przegra też z dzieckiem. Niepokoić może nagła zmiana zachowania kandydata na uciekiniera, nagła jego aktywność na forach poświęconych samotności, ucieczkom. Nieopatrznie można odkryć jego przygotowania do przedziwnej podróży. Przygotowując się idealizuje obcych ludzi, którzy przecież nie zawsze wyciągną doń rękę w dramatycznych okolicznościach. Nie zdaje sobie sprawy jaką krzywdę wyrządzi tym, którzy w domu pozostali i na niego będą czekać.

Może bać się panicznie powrotu. Awantur. Agresji. Obarczania winą. Pojawia się wówczas groźba jeszcze większej ucieczki. Długotrwałej. A może nawet całkowitej. Jak zatem umiejętnie rozmawiać z dzieckiem po jego powrocie? Jak nie ranić, a wywiedzieć się gdzie było, kto je przygarnął, kto wykorzystał, a kto uratował?

Czy dziecko będzie chciało opowiedzieć, co się z nim działo – wątpię. Ucieczka to krzyk: „Mam problem, który mnie przerasta!”, „Potrzebuję pomocy, a nie umiem o nią prosić!”, „Nie chcesz mi pomóc i nie potrafisz, a ja już dłużej tego nie wytrzymam!”, „Nie chcę uciekać, ale to jedyny sposób, by dorosły wreszcie zauważył, że mam potężne problemy”. „Byliście nadopiekuńczy, kontrolowaliście mnie bez przerwy. Zero zaufania”.

Czasem dziecko zostawia po sobie list, czasem znika bez słowa. Czasem fragmenty informacji wirtualnych, zacieranych w pośpiechu stanowić mogą jakiś ślad. Nagle

okazuje się, że dorosły nawet nie wie z kim przyjaźniło się dziecko, do kogo można zwrócić się telefonicznie. Lato na gigancie daje dziecku warzywa i owoce z działek, nocleg pod gołym niebem i pokusę wtopienia się w plażowy tłum. Handlarze ułudami rzeczywistości i rekruterzy do sekt mieliby ochotę skakać z radości.

Są też „gigantowi” rekordziści. Dwadzieścia ucieczek z domu dziecka w ciągu siedmiu lat.

O częstotliwości ucieczek z domu rodzinnego nie dowiemy się nigdy. To zbyt bolesny temat dla rodziców. Mają przede wszystkim poczucie własnej klęski i coraz bardziej sami zaczynają potrzebować pomocy. Podobnie jak ich uciekające dzieci sami najchętniej uciekliby od problemu. Cóż, gdy problem tkwi przede wszystkim w nich samych.

I tu niespodzianie powraca do mnie myśl Sørensa Kierkegaarda:

„Całą naszą epokę można podzielić na tych, co piszą i tych, co nie piszą. Ci, co piszą, reprezentują rozpacz, a ci, co czytają, nie godzą się na nią i twierdzą, że posiadli wyższą mądrość - gdyby jednak umieli pisać, pisaliby to samo”.

Pisząc o ucieczce, daję upust mojej rozpaczycy nad jej ofiarami. W sumieniu podliczam, czy udało mi się im pomóc albo jeszcze wcześniej –zapobiec. O to samo proszę P.T. Czytelników.

Duszno i genderowo

Felieton, wtorek, 22, lipiec 2014 18:29

Dziś są urodziny Janusza Korczaka. Nie zamierzam jednak dywagować o jego dylematach polskich zanurzonych w żydowskość.

Na Korczaka spoglądam przede wszystkim jako pedagog i literaturoznawca. Tym bardziej wiedza o jego dylematach oraz działalności, o której literaturoznawcy-konformiści i konformiści-pedagodzy nie piszą, a także głośno nie mówią burzy mój spokój. Nadwrażliwość, choć jest darem zazwyczaj niezmiernie przeszkadza, a cóż dopiero niewygodna wiedza o tematyce szeptanej lub zupełnie przemilczanej?

Poszedł z przysposobionymi dziećmi na śmierć. Nie zrozumiałby zupełnie dlaczego w tych czasach wielu rodziców biologicznych nie kocha własnych dzieci. Nie zrozumiałby także rodziców, którzy nie byliby zdolni za swoje własne dzieci oddać życia, a co dopiero ofiarować im nerkę czy krew. Wielu nie chce dzieci adoptować – z przyczyn materialnych – jak argumentują. Bo nie wiedzą, co z obecnego dziecka wyrośnie. A może po prostu skąpią miłości? W dalszym ciągu zadaję pytania, choć znam odpowiedź. W życiu widziałam już dziesiątki, setki sierocińców i domów dziecka w Polsce oraz w

innych krajach. Twarze, imiona, tragedie i płacz błagających o miłość dzieci noszę w sobie od lat. Pozostaną we mnie na zawsze.

Powtarzam z całą mocą: PRAWDZIWA miłość do dziecka jest miłością bezwarunkową.

Korczak wiele pisał o filantropii, tworząc literackie instruktaże działań pedagogicznych i reedukacyjnych. Debiutował jako siedemnastolatek w czasopiśmie satyrycznym „Kolce”, po czym nawiązał współpracę z „Przeglądem Pedagogicznym”. W roku 1901 wydał drukowaną wcześniej w odcinkach powieść zatytułowaną *Dzieci ulicy*, poświęconą działaniom pedagogicznym i reedukacyjnym. W powieści *Józki, Jaśki i Franki* stworzył kolonijny instruktaż wychowawczy, a następnie... stop, literaturoznawco! Nadmienić jeszcze tylko trzeba, iż Korczak był przedstawicielem drugiej grupy pokoleniowej pisarzy Młodej Polski –równieśnikiem Stanisława Brzozowskiego oraz Leopolda Staffa. Znowu uwaga: Korczak mógłby stać się wielokrotnie nadużywanym tematem zastępczym, na co przytomny felietonista wyrazić zgody nie może.

Wszak duszno i genderowo w ten lipcowy dzień. Rozmazujące się w rozedrganym powietrzu słowa układają się w dłuższą sentencję. Nowym pełnomocnikiem rządu ds. równego traktowania została Małgorzata Fuszara, autorka licznych publikacji w czasopismach naukowych m.in. „Seks, pleć i polityka czyli kilka słów o przełamywaniu milczenia”, „Between Feminism and the Catholic Church: The Women’s Movement in Poland”, a także książek oraz publikacji w książkach, m. in. „Dobrze jest być rodzynkiem, czyli mężczyźni w zawodach sfeminizowanych”. Specjalizuje się w socjologii polityki, socjologii mniejszości etnicznych, społecznych oraz kulturowych, a także gender studies.

Ubolewam więc, że chyba mamy za mało urzędników. Za mało doradców, asystentów i asystentów asystentów. Może więc mamy za mało pedagogów o gołęmbim sercu, wieloletnim doświadczeniu i przykładowym powołaniu?

Duszno i genderowo. Nie burza, lecz tornado wrześnieje już w prognozach. Zaiste – lansowany jako darmowy (cóż kryje się za tym lekko rzuconym słowem?) „Nasz elementarz” wejdzie do polskich szkół już pierwszego września. Słucham? Nie powinnam mówić o podręczniku w samym środku wakacji? W internecie dostępna jest wersja pdf pt. „Zima” (świetna lektura w czas intensywnego dolce fa niente w lipcowy czas). W rozdziale „Świąteczne zakupy” jest mowa o świątach. Brak tu jednak... Bożego Narodzenia! Ważniejsza jednak jest opowieść o samotnym panu Cyrylu, któremu obca rodzina kupi jodełkę oraz zaprosi na okolicznościowe jedzenie. Jako żywo: historia w konwencji podręczników z lat pięćdziesiątych minionego wieku.

Do dnia 7 lipca można było przecież zgłaszać opinie i uwagi dotyczące treści tego podręcznika. Który z rodziców skorzystał z tej możliwości? Osobiście nie znam żadnego. Bezpłatny podręcznik traktowany będzie jako przyszła własność szkół i zdąży przyprowadzić o zawrót głowy kilka roczników.

Duszno i genderowo w lipcowy dzień, a temat zastępczy smakuje jak rozgrzany do czerwoności cytrynowy sorbet. Z listkiem mięty o smaku dziegciu...

Powstańcze kłamry życia Rodziewiczówny

Felieton, czwartek, 17, lipiec 2014 11:01

Ostatnie moje felietony na łamach prawego.pl przeraziły niektórych odbiorców silnie tanatologicznym wymiarem. Tanatologiem nie można być przez dany ułamek dnia czy publikacji, to permanentny stan duszy. A gdy w tanatologu drzemie też pasja literaturoznawcy, wówczas wzrok i pióro (by nie rzecz klawiaturę) zwraca ku postaciom naznaczonych symboliką śmierci lub w swym dziele ową symbolikę silnie eksponujących.

Wywodząca się z rodziny ziemiańskiej Maria Rodziewiczówna autorka wielu poczytnych niegdyś powieści, m.in. *Czarny bóg*, *Lew w sieci*, *Na fali*, *Jerychonka* przyszła na świat w rok powstania styczniowego w dobrze prosperującym majątku ziemskim. Jakaś kreatura mieniąca się służbą doniosła o ukrytej u właścicieli powstańczej broni i rodzina została dworu pozbawiona. Dworu tylko? Dorobku życia: ziemi, zabudowań, kolekcji rodzinnych pamiątek i skazana na zsyłkę na Sybir! Przypomnijmy, iż wiosną 1863 rozszerzono działalność sądów wojskowych na „przestępców płci obojga” (cóż za ironicznie brzmiący „kontekst” równouprawnienia!) i spodziewająca się przyszłej pisarki Amelia Rodziewiczówna została upodlona mianem „wriednaja” (czyli „szkodliwa” i poddana procesowi w takim samym wymiarze, jak jej małżonek).

Małżonkowie – niezależnie od katorżniczych okoliczności – pozostali wierni sobie oraz patriotycznym ideom niezłomnym: takim, w jakich trwali ich ojcowie, dziadowie i pradziadowie. Tak też zamierzali wychować kolejną córeczkę. Podczas siedmioletniego pobytu na Sybirze doznawali niekończących się, zdałoby się, nieszczęść, a szczególnym ciosem była dla nich śmierć córeczki Gabrieli. Teraz gdy w mediach i przez komórkę już nawet chyba, w pseudotowarzyskim strzępieniu języka wyrodne aborcjonistki najchętniej zamordowałyby jak najszybciej i to bez konsekwencji własne dziecko, niepojęte wydaje się jak mądrzy i dobrzy kochający rodzice niegdyś i teraz walczyli oraz walczą o godne życie i godną śmierć dla własnego dziecka, trwając przy nim i wyprasząc każdą dodatkową sekundę jego życia aż do końca.

Rodzice Marii Rodziewiczówny powrócili dopiero w wyniku amnestii w roku 1871. Mogli wówczas osiąść tylko poza obrębem ziem zwanych przez Rosjan „zabranymi”, czyli nie na Grodzieńszczyźnie, gdzie mieszkała jeszcze ich daleka rodzina przechowująca „skarby pamięci kresowej”. Maria w rodzinnym majątku pozostała, choć oznaczało to decyzję o porzuceniu myśli o studiach medycznych. Miłowała ziemię rodzinną tak mocno, a poczucie odpowiedzialności było silniejsze niż największe w

życiu marzenie, choć niewiele miało ono wspólnego z fanaberią.

Gdy w 1939 roku pisarka opuszczała rodzinny majątek Hruszowa, cudem uniknęła śmierci - uratowana przez miejscowych ludzi, wdzięcznych za pomoc, którą im przez lata okazywała. Blisko osiemdziesięcioletnia pisarka znalazła się w 1940 roku w niemieckim obozie przejściowym i tam skrajnie wycieńczona oraz chora była przekonana, że są to jej ostatnie chwile. Jej całe wszak życie było silnie naznaczone śmiercią. Nie zamierzam jej oceniać jako sufrażystki, emancypantki, pisarki, „strażniczki kresowych stanic”, czy działaczki w przedwojennym Zjednoczonym Kole Ziemianek. Przypomnieć raczej wolę prorocze wręcz wizje, które zawarła w korespondencji przekonana od samego początku, że Niemcy przegrają wojnę i że nie unikną kary za obozy koncentracyjne oraz wszystkie inne przejawy zła wyrządzonego ludzkości. Kary za masowe egzekucje i łapanie. Za tortury i eksterminację polskiej inteligencji. Za przesiedlenia i grabież mienia. Szkoda tylko, że ta wizyjna szala nie dotyczyła w równym stopniu Sowietów...

Maria błogosławiła znakiem krzyża, i polecała żarliwej modlitwie powstańców płonącej Warszawy, ale sama już nie wytrzymała trudu walki o przetrwanie w umierającym mieście. Przerazała ją ciągła zmiana miejsca, ruiny domów jak żywe rany. Schrony, które nie dawały prawdziwego schronienia. Przerazała ją własna starość w konfrontacji z postawą powstańców. Znacznie bardziej niż śmierć. Cóż znaczy bowiem umierać w łóżku ze starości z rozpaczą i osamotnienia, gdy inni młodzi, piękni, gniewni życie oddają za Ojczyznę z własnej woli?

Odeszła 16 listopada, gdy już milczały karabiny powstańców. Jest pochowana w skromnym grobie na Powązkach. Kto pamięta o jej grobie? Kto zatrzyma się choć przez chwilę na modlitwie i ze skromnym kwiatem w dłoni?

O Rodziewiczównie piszę zazwyczaj z bezbrzeżnym smutkiem. Nie są to kolejne próby powielenia biografii, lecz łzy ronione nad felietonem biograficznym o losie kobiety, która walkę o kresową polskość łączyła z dobroczynnością. Żołnierze Wyklęci stali się wreszcie wzorcami dla młodego pokolenia. Dlaczego jednak tak późno? Na odnalezienie czekają zapomniane pisarki. Pisarki o pięknej duszy i naznaczonym śmiercią życiu.

Czekanie na siebie

Felieton, niedziela, 13, lipiec 2014 17:55

Mam dylemat: czy w przestrzeni felietonu o śmierci powinnam dalej pisać chłodnym, naukowym językiem tanatologii czy też przerażona, a zarazem pogodzona z nieuchronnym wymiarem mogę pisać aż tak emocjonalnie?

Jest początek lata, czyli sezon ogórkowy w codziennych rozmowach z „przyjaciółmi” i „znajomymi” z Facebooka, bo ci prawdziwi oddalają się o lata świetlne. Jesień i zima będzie dopiero wzmożonym okresem samobójstw.

Dlaczego chorzy czy zdesperowani decydują się na ten krok? Przyczyny mogą być różne: nie są w stanie udźwignąć i tak już zbyt długotrwałej choroby. Udręka i potęgający się ból. Mają potężne długi. Nie dość, że nie są w stanie ich sami spłacić, to nie chcą pogrążyć otoczenia - choćby w spirali kredytów. Nie mają już siły walczyć przetrwanie. Kończą z życiem w zaciszu domowym, na dworcach, w miejscach oddalonych od cywilizacji. Czasem w ułudzie, że TO będzie trwało krótko, że TO nie będzie bolało, a skazują siebie na straszliwą męczarnię.

Wśród przyszłych samobójców mogą też być osoby maltretowane psychicznie i fizycznie przez rodzinę czy tzw. partnera. Nie wytrzymują napięcia, nie dają sobie rady. Kończą z życiem. I choć (współ)winnym grozi dwanaście lat więzienia, niestety rzadko znajdują się dowody na to, że to oni swoim zachowaniem spowodowali śmierć drugiego człowieka. Może do zadania sobie śmierci, ktoś ich nakłonił, zmusił wręcz powtarzając: „To nic, ze umrzesz, nie widzę w tym problemu. Będę regularnie przynosić kwiatki na twój grób, a mieszkaniem się oczywiście zaopiekuję”.

Miłość bez wzajemności, rozpaczliwa oddalająca się na dodatek też może być przyczyną. Dana w miłości nadzieja, a potem nagle, niezrozumiałe odrzucenie. Spory rodzinne, pozornie nie do rozwiązania. Zaburzenia psychiczne.

Wśród czynników ryzyka samobójstwa wymieniane są zazwyczaj powracające odniesienia do śmierci w rozmowach lub w „popelnianych” przez daną osobę tekstach, dobitnie wyrażone samobójcze zamiary, wcześniejsze próby samobójcze, przypadki grózb (niszczenia psychicznego przez inną osobę) lub maltretowania - psychicznego, fizycznego, a nawet obu form jednocześnie. Utrata osoby szczególnie bliskiej, podejmowane działania w celu ułożenia konkretnego planu, silny i świeży zatem uraz psychiczny lub fizyczny, zbyt powolne wychodzenie z depresji (np. po hospitalizacji).

Niepokoją też przypadki, gdy chory nagle zaczyna rozdawać swoje własne rzeczy - nawet te, do których był dotychczas szczególnie przywiązany i choć dotychczas był towarzyski, nagle zaczyna się izolować zrywając nawet serdeczne więzi, doświadcza dominującego uczucia bezradności i beznadziejności. Zawładnąć nim może nagły gniew, rozczarowanie, agresja, wrogość, rozpacz.

Jeśli rozmawiamy z osobą, która obsesyjnie wręcz myśli o samobójstwie, nie obwiniamy jej lub nie pouczamy autorytarnie, ale też nie pozostawiamy bez opieki. Nie wierzymy też jej nagłym zapewnieniom, że kryzys minął i nie wdawajmy się z nią w niekończące się dyskusje na temat samobójstwa. Bądźmy szczególnie czujni - to apel do rodziców, dziadków, przyjaciół, znajomych.

Samobójcy zazwyczaj nie do końca są w pełni odpowiedzialni za swój czyn, wielu z nich nie wskazałoby nigdy tych którzy tak naprawdę odpowiedzialni są za współudział. „Nie zabijaj” pozostaje w całkowitej sprzeczności ze sprawiedliwością, człowieczeństwem oraz nadzieją. Kościół Katolicki nie odmawia im pogrzebu jeśli byli praktykującymi katolikami i okazywali przywiązanie do wiary. W obecności opłakujących ksiądz przypomina zazwyczaj, że czyn ostateczny popełniony przez zdesperowanego był skutkiem stanu chorobowego o podłożu psychicznym, połączonego z wystarczającym brakiem świadomości.

Jest prawdą, że w ostatnich latach zmienił się stosunek Kościoła do tej tragedii, jaką w każdym przypadku jest śmierć samobójcza. Ma On bowiem na uwadze dość powszechne zdanie psychiatrów, że samobójcy nie są w pełni odpowiedzialni za swój czyn, stąd nie odmawia się im pogrzebu katolickiego, ani też nie czyni różnicy w samej celebracji pogrzebu, jeżeli w ciągu życia okazywali przywiązanie do wiary i Kościoła. Chodzi tutaj o osoby, które zanim odebrały sobie życie, należały do grona praktykujących katolików.

W takiej sytuacji uczestników pogrzebu uświadamia się - podczas homilii czy w przypomnieniu nieobecnej już postaci- że osoba ta była praktykująca, a fakt odebrania sobie życia był podyktowany brakiem pełnej świadomości lub stanem chorobowym o podłożu psychicznym. W przypadku jednak gdy akt samobójczy byłby czynem jawnogrzesznika powodującego publiczne zgorszenie, wówczas ksiądz ogranicza uroczysty wymiar ceremonii pogrzebowej lub odmawia pogrzebu katolickiego.

Nikt nie wypełni pustki po Nieobecnych. Wielu jednak dalej żyje lekko i beztrosko, bawiąc się uczuciami innych, jakby miało przed sobą przynajmniej dodatkowych sto pięćdziesiąt lat ziemskiego życia. „Ach!jak ludzie mnie bołą” - krzyczał bezgłośnie Emile Cioran przywołując tok myślenia przyszłych samobójców.

Proszę wybaczyć, że letnią porą nie poruszam tematów lekkich i przyjemnych. Czujnym trzeba być o każdej porze tym bardziej, że przyszli samobójcy próbują często uspić naszą czujność. Cioran pytałby skrajnie zrozpaczonych zapewne : „Co pan robi? - Czekam na siebie?”. Pomóżmy ratować od takiego czekania.

Człowiek chory jest darem

Felieton, piątek, 11, lipiec 2014 09:39

W hospicjum śmierć jest traktowana jawnie, bez zasłaniania parawanami. Nie ma tu czasu na niedopowiedzenia czy jakiegokolwiek przypuszczenia. Odwiedzający po raz pierwszy hospicjum, boją się zazwyczaj jęku konających, fizycznej wręcz wszechobecności śmierci. Strach paraliżuje ich już przed wejściem do budynku. Stojąc przy łóżkach, czasem rozpaczliwie odwracają wzrok od tych, którzy choćby i spojrzenia łakną mając świadomość umierania.

A przecież w hospicjum chorzy otoczeni są miłością życzliwych i pomocnych im osób! I to jest miłość właśnie: bez ucieczki, uchylania się, stawiania sztucznego konstruktów na własnych warunkach. Miłość bezwarunkowa i do końca. Miłość pozbawiona strachu przed nieuniknionym. Wśród Miłujących w hospicjach – a mam na myśli pracowników – są również i wolontariusze w różnym wieku, o różnym doświadczeniu zawodowym, którzy z bardzo różnych przyczyn swoje pokłady Miłowania do hospicjum ofiarowali. Czy każdy jednak, kto ma wielkie pokłady miłości jest na tyle gotowy, by stać się by stać się hospicyjnym wolontariuszem? Zmierzyć się nie tylko z opieką nad terminalnie chorym, ale cierpieniem jego rodziny?

Być wolontariuszem w hospicjum to ofiarować dobrą i wolną wolę, swój czas i bezgraniczne zaangażowanie. Ofiarnie pomagać opiekunom, pielęgniarkom, innym wolontariuszom, łagodzić ból choćby swoją obecnością, okazać prawdziwe współczucie i współ-odczuwać. Pomagać w różnego typu czynnościach w samym hospicjum lub w domu chorego. Umieć słuchać w sposób zaangażowany, a nie – powierzchowny. Koić głosem w czasie głośnej lektury, porozmawiać, pomóc w przygotowywaniu posiłków, zrobić zakupy a może po prostu być. Być dyskretnie, nie narzucać się, nie podkreślać – nawet nie świadomie – że jest się tym ocalałym. Póki co ocalałym. Póki co.

Roztropni wolontariusze potrafią też wykorzystać szansę poznania i nauczania się czegoś od innych. Opieka nad terminalnie chorym wymaga od nich nie tylko hartu ducha, lecz jasnych komunikatów werbalnych i niewerbalnych. Bezgranicznie Miłujący potrafią wspierać i umacniać innych wolontariuszy oraz pracowników, być wierni swojemu zobowiązaniu

Kiedy wreszcie zrozumiemy, że człowiek chory jest dla nas pewnego rodzaju darem? Czyni nas miłosiernym i współ-czującymi. Wejście w śmierć jest samotnym zbliżaniem się do Boga. Niewyobrażalnie samotnym. Świadomość własnej bezsilności przeraża związanym z nią cierpieniem psychicznym i fizycznym. W modlitwie prosimy, by Bóg uchronił nas od niespodziewanej śmierci, odbiera ona bowiem możliwość przyjęcia sakramentów. Nagła śmierć pozbawia szansy dobrego zakończenia ziemskich spraw i pożegnania z bliskimi. Kruszy wszelką nadzieję.

Rozmowa o kresie życia jest szczególnie trudna dla osób blisko z umierającym związanych. Wymaga niezwykle dojrzałej postawy, nawet jedno źle wyważone słowo może sprawić ból wielokrotny. Jej egzemplifikacją jest postawa pełna niesłuchanej ofiarności, owa postawa Miłującego. Całkowite, zaangażowane pochylenie się z niekończącą się i bezwarunkową miłością nad bezradnym, potrzebującym, osamotnionym i zagubionym w cierpieniu. Niewykluczone, że po latach Miłujący zajmą jego miejsce.

Niestety, u podstaw rozpadu naszego społeczeństwa znajduje się również zanik sacrum. Ludzka śmierć zaczyna być zastępowana uśmierceniem przez bliźnich. Praktykujący eutanacji, biorący udział w publicznych debatach przewyciężyli już psychiczne hamulce pozwalające zabić człowieka i wypowiadają się na temat techniki zabijania i formalności z tym związanych. Podjęli wysiłek w celu l i k w i d o w a n i a... i już zaczęli likwidować! Zabijają... śmiercią!

Dążą do zlikwidowania „niepotrzebnych” według nich ludzi - w stanie śpiączki, niepełnosprawnych umysłowo, obarczonych wadami genetycznymi. Ludzi „niedookreślonych” i zapisem tych egzekucji chętnie się media, odpowiedzialne tym samym za współudział w morderstwie. Eutanastów oraz ich popleczników zgubi ich pragnienie władzy, irracjonalna chęć przejęcia rządu dusz. Pozabijają się na oczach powodowani chęcią dominacji. I czyja będzie strata?

Wszyscy prędzej czy później wejdziemy w śmierć, tym bardziej każda wydarta śmierci godzina jest cenna. Ona także jest darem, którego nie wolno nam zmarnować. Zbyt wiele i tak już zmarnowaliśmy, a w perspektywie będziemy sądzeni nie tylko z ofiarowanej miłości, lecz rozliczani z marnotrawstwa.

Już jesteśmy rozliczani.

Oprawcy

Felieton, piątek, 04, lipiec 2014 12:42

Pewien polski Sąd Rejonowy w naszych czasach skazał stalinowskiego funkcjonariusza służby więziennej dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na cztery lata. W latach 1948-1954 ów „pracował” (szukam właściwego czasownika) w katowni znęcając się w sposób wyjątkowo okrutny nad więźniami politycznymi - w sposób psychiczny i fizyczny.

Niszczyl członków organizacji Wolność i Niezawisłość, Narodowych Sił Zbrojnych oraz ugrupowania Orleńca. Systematyczne bicie po całym ciele, zmuszanie do

wielogodzinnego biegania, godzinami powtarzane „żabki” w trakcie których ofiara była bita. Narzędzia „pracy” ? Klucze, pałki i dziwne, wyrefinowane przedmioty. Jego nazwisko rozpoczynałoby niekończącą się prawdopodobnie listę nazwisk (uwzględnivszy przybrane i zmienione), a ramy felietonu na to nie pozwalają. Ramy sumienia nakazują zło złem nazywać i nie jest to ani wstęp do mściwości, ani jałowa pamiętliwość. Oprawcy sumienia po prostu nie mają, a nawet jeśli posiadali go w formie szczątkowej, to i tak z upływem lat cierpią na jego zanik.

Bili za wszystko: źle posprzątaną celę, a nawet „złe spojrzenie”. Kto? „Funkcjonariusze” służby więziennej, członkowie oddziału specjalnego lub osoby działające na ich zlecenie. A teraz w paranoicznej ekstazie zeznają, że Wronki to był raj na ziemi, że pisali więźniom podania o zwolnienia warunkowe, że załatwiali ich sprawy rodzinne (zwróćmy uwagę na wieloznaczność „załatwiania”). Nie słyszeli, by ktokolwiek był bity, nie dotknęli nawet więźniów, tylko chcieli z nimi porozmawiać, ewentualnie pomóc w przemieszczaniu się po korytarzu lub pomóc w wstawaniu z krzesła w przytulnym pokoiku przesłuchań. Nie rozpoznają siebie na zdjęciach, nie rozpoznają na zdjęciach „miłych podopiecznych”, nie nosili pistoletów, bo „broń to brzydka rzecz”. Bandyci chcą odszkodowań jako wielce niewinnie posadzeni. Niektórzy z funkcjonariuszy bezpieczeństwa słynęli z własnych wymyślnych metod tortur stosowanych podczas przesłuchań.

Jedna taka „poszkodowana” funkcjonariuszka, występująca pod różnymi imionami i nazwiskami, była znana szczególnie z sadystycznych metod stosowanych wobec młodych mężczyzn. Według relacji więźniów, miała bić ich pejcem po genitaliach i miażdżyć je przycinając szufladą. Kradzieże tożsamości, podszywanie się pod znane nazwiska, w ekspresowym tempie przyjmowanie nowych jest typowe dla wtyk również w tych czasach. I nic to, że w białych rękawiczkach, prędzej czy później wylezie kto zacz i jakie wobec kogo miał zadanie, a dopadną go mary, dopadną.

„Jeden taki „poszkodowany” oprawca chełpił się tym, że jest dla więźniów ostry: samowolnie przedłużał ich pobyt w karczerze, robił rewizje w celach, zalewał je wodą. Dla więźniarek zaś ostry i skuteczny: bił przez całą noc, aż plecy i pośladki miały w strzępach. Potem rzucał w nie namoczoną szmatą, kazał siadać do wanny z wodą i znów bił, bił bez opamiętania. Niektóre z nich były w ciąży i dzieciątka zmarły przed urodzeniem.

Swego czasu spotkałam się z określeniem „nieważkość sumienia”, tu nawet używanie określenia „stan niewrażliwości sumienia” – choć dopuszczanego naukowo i tak jest kompletnie niestosowne. Występuje w psychozach, gdzie nie ma warunków do rozeznania dobra i zła, ale przecież także u ludzi uchodzących za zdrowych psychicznie, lecz zatwardziały w złu i czyniących zło nawykowo, wręcz obsesyjnie. Zło jest złem i nie ma nań innej nazwy.

Szkolić by szkolić

Felieton, piątek, 27, czerwiec 2014 06:56

Pełnomocnik rządu d/s równego traktowania dba o urzędników.
Po kolei.

Najpierw organizując kursy urzędników ministerstw, teraz - dla pracowników urzędów w regionach. Pięć dni w szkoleniowym pocie czoła, by wiedzieć doskonale jak przeciwdziałać dyskryminacji petentów ze względu na płeć i z racji tożsamości płciowej (!) czy orientacji seksualnej.

Niedługo zatem - w ramach poszerzania pakietu szkoleń genderowych - należy spodziewać się szkoleń aborcyjno-eutanazyjnych, wszak i te sfery stanowią przedmiot propagandy genderystów. Nie jestem pewna, czy zmieści się w nich wątek historyczno-europejski. Większość tematyki szkoleń unijnych o jakże przeintelektualizowanych i oderwanych od rzeczywistości tytułach przyćmiłaby zapewne kolejne z jawnie progenderowej indoktrynacji. Takie szkolenia miałyby zapewne charakter komparatystyczny i pokazywałyby, kto i kiedy w jakim kraju i co rzeczy/rzekł na temat zabijania chorych oraz nienarodzonych.

Tak à propos kontekstów historycznych aborcji i eutanazji przypomnijmy, że to naziści zdefiniowali wyraźnie, w jakich sytuacjach pozbawienie kogoś prawa do życia było wręcz potrzebne i w pełni uzasadnione! Z jednej strony aborcja była całkowicie zakazana dla aryjskich jednostek, z drugiej...dostępna bez żadnych ograniczeń (przy założeniu, że, nienarodzone jeszcze dziecko może być chore). To właśnie w krajach okupowanych zaś propagowano antykoncepcję i aborcję. Starannie przemyślaną dwoistość wielokrotnie i to „na zimno” podkreślał Martin Borman:

„Obowiązkiem Słowian jest pracować dla nas. Płodność Słowian jest niepożądana. Niech używają prezerwatyw albo robią skrobanki- im więcej tym lepiej. Oświata jest niebezpieczna”.

Był arcymistrzem cynizmu „mowy miłości”/”mowy nienawiści” (podaję jako „łamane przez” ze względu na płynną granicę pojęć i „prawie kobiety do decydowania o własnym brzuchu”). Brzmi znajomo, prawda?

Podczas części historycznej takiego aborcyjno-eutanazyjnego „szkolenia” padłyby zapewne słowa Lenina - jeden z największych ludobójców w historii:

„ należy domagać się bezwarunkowego zniesienia wszystkich ustaw ściągających sztuczne poronienia”.

Zapewne też rys historyczny do szkolenia aborcyjno-eutanazyjnego obejmowałby omówienie rozporządzenia z dnia 9 marca 1943 roku, zezwalającego Polkom na legalne zabijanie nienarodzonych dzieci. W pełni wyrażało ono intencję z Hitlera, który mówił,

że to Polki „mogą stosować antykoncepcję lub praktykować aborcję - im więcej tym lepiej”. Antycypując okoliczności ogłoszenia owego rozporządzenia, wystarczy wspomnieć cel kampanii „Auswahlfreiheit” („Wolność wyboru”). Był to rok 1939.

Należałoby w tych okolicznościach przytoczyć treści wszystkich dekretów wydanych przez Komisariat Rzeszy d/s Umacniania Niemczyzny. Również tych, które aborcję na terenach polskich uznawały za wolną od kary. Również tych, które homoseksualizm uznawały za zgodny z prawem. Również tych, w myśl których czynni aborcjoniści nie mieliby żadnych problemów z policją. Czy współcześni genderyści zdają sobie sprawę z ISTOTY głoszonych poglądów i kontekstów historycznych?

Już wtedy łączono zagadnienie usprawniania pracy danej instytucji z tematyką aborcyjno-eutanazyjną, choć nikt przecież nie używał sztucznego tworu pojęciowego „gender”, ani nie pompował niebotycznych sum w szkolenia dla urzędników.

Teraz w miejsce „sztuki dla sztuki” pojawiają się „szkolenia dla szkoleń” w imię wolności, równości i ... no właśnie. Trzecie „w imię” nie przejdzie mi przez usta.

Był nauczyciel... jest....

Felieton, piątek, 13, czerwiec 2014 14:04

Niegdyśjszy nauczyciel pragnął być ideałem o głębokim światopoglądzie humanistycznym, mającym szacunek dla siebie i uczniów. Niekiedy nawet ideałem się stawał. Przekonany o swoim posłannictwie zachowywał zarazem niezależność oraz samodzielność.

Opanowawszy do perfekcji rzemiosło pedagogiczne był uosobieniem etyki odpowiedzialności, racjonalności działań oraz ducha konsekwentnie romantycznego. Nauczyciel - przewodnik po świecie wartości, nowatorski praktyk, intelektualista, świadomie i profesjonalnie zaangażowany w działalność społeczno-pedagogiczną, z jakże cudnym rysem wrażliwości społecznikowskiej przetrwał... w literaturze pięknej. Pozostaje zatem przywoływanie powieściowych wzorców jego odwagi moralnej, godności osobistej, wiarygodności, odpowiedzialności i prawdomówności.

W naszych czasach media eksponują historie nauczycieli zdegradowanych, przerażających, stanowiących zagrożenie dla uczniów i polskiego systemu oświatowego. Niespełna kilka tygodni temu ekscytowały się historią nauczycielki z pewnego mazowieckiego miasteczka, która wykorzystywała seksualnie swą uczennicę wprowadzając ją wcześniej w stan upojenia. Nauczycielka owa była znana z organizowania w swoim domu imprez z udziałem uczniów oraz z działań genderowych. Pracę w szkole straciła na długo przed tym, gdy na jaw wyszły podejrzenia.

Mój asocjacyjny typ wyobraźni podpowiada mi, iż Związek Nauczycielstwa Polskiego już dawno poinformował o intencji niesienia pomocy tym nauczycielom i nauczycielkom, którzy padli „ofiarami "antygenderowej" nagonki” – a tu taki przypadek! ZNP skierował nawet wylewną korespondencję do Minister Edukacji Narodowej, Rzecznika Praw Dziecka i Praw Obywatelskich domagając się zajęcia stanowiska wobec „aktów agresji wymierzonych w nauczycielki i nauczycieli realizujących edukację równościową”. Ogrom słów i w rezultacie tylko kropla rosy.

Od kilku miesięcy media rozpisują się ze szczególną lubością o pijackich wyczynach nauczycielek, które po cyklicznych ekscesach imprezowych, organizowanych wespół z uczniami dają się łaskawie zatrzymać: w stanie kompletnego zamroczenia zaprzeczając, że są pijane. Stawiają opór agresywnie, a teatr w oparach alkoholu kończy się zazwyczaj w policyjnej izbie zatrzymań. Pijane nauczycielki nie chcą pokazać dowodu tożsamości, nie zgadzają się na dmuchnięcie w alkomat. Jedna z nich prowadziła w takim stanie lekcje w-f. Gdy wyprowadzano ją ze szkoły w obecności przynajmniej setki uczniów, rzucała się i przeklinała tak mocno, że uczniowie komentują do dziś całe teatr, które wślawiło również ich szkołę. I to „zafundowała” im nauczycielka z wieloletnim doświadczeniem zawodowym. Zostanie teraz zawieszona w obowiązkach. Co będzie z nią dalej?

Inny przypadek: polonistka, która poniżała przy innych uczniach chłopca z domu dziecka, zabraniała mu wyjść do łazienki w czasie lekcji, gdy miał biegunkę. Chłopiec do tego stopnia bał się iść do szkoły w dniu, kiedy były lekcje polskiego, że miał napady lęku i płaczu. Niegdyś sponiewierany przez biologicznych rodziców, był systematycznie niszczone przez nauczycielkę.

Okazało się, że nie był jedną jej ofiarą. Dyrekcja przez pewien czas milczała: ze strachu, z niewiedzy czy z ...?

Wręcz nieprawdopodobnie zabrzmiał zatem historia innej nauczycielki, która uwiodła nieletniego ucznia, po czym przyznała się jego matce do dokonanej aborcji, której po niewczasie żałowała. Nie żałowała natomiast burzliwego związku z uczniem, o czym otwarcie również poinformowała jego matkę.

Trwa degradacja nauczycieli i to w różnorodnym sensie. Tylko dlaczego eksponowani są „pedagogiczni” dewianci?! Jak bardzo cierpią na tym normalni, uczciwi nauczyciele. We wrześniu ponad trzy tysiące z nich straci pracę, zaś prawie osiem i pół tysiąca będzie miało zmniejszony wymiar zatrudnienia. O ironio, utrata pracy grozi również tym najlepszym, idealistom z doświadczeniem i najwyższymi kwalifikacjami.

Był nauczyciel, jest A kto pozostanie?

Błędy rodziców brzemieniem dziecka

Felieton, niedziela, 08, czerwiec 2014 10:32

W pierwszych dniach wojny bomba uderzyła w dom moich dziadków. Po latach podczas odnajdywania wspomnień i choćby szczątkowych śladów jego obecności dziwnym trafem odnalazła się też książka „Szczęśliwy chłopiec” Ludwika Czarskiej, przez lata przechowywana w domowej bibliotece zniszczonego domu. Była ona jedną z najpiękniejszych książek mojego dzieciństwa.

Tytułowy bohater odnalezionej książki – Kocio ma najlepsze maniery i wychowany jest w fundamentalnym świecie wartości. Autorka idealizuje go tak bardzo – i podkreślam to z czułością, bez pretensji – jak tylko może idealizować swoje dziecko kochająca bezwarunkowo matka lub kobieta, która nie może mieć dzieci, a usilnie pragnęłaby przysposobić obce dziecko jako własne:

Kocio jest bardzo drobny i wszyscy przypuszczają dlatego, że ma dopiero siedem lat. Mimo to jednak Kocio jest mądry jak dorosły człowiek. Tak przynajmniej uważają wszyscy wokół, i babusia, i niania, i Lala, i monsieur Diro, i Mik-mik.

Kocio ma w sobie nieprzebrane pokłady dobra, umie i chce się dzielić. Jest czuły dla swej chorej siostrzyczki (rzadki opis tak głębokiej siostrzano-braterskiej więzi w literaturze polskiej), szanuje swych bliskich i domowych nauczycieli. Aspiruje do pięknie niemożliwego przykładu dziecka wychowanego w miłości bezwarunkowej, w pełnej kochającej rodzinie, w świecie moralnych fundamentów dających poczucie bezpieczeństwa zarówno dorosłym, jak i dzieciom.

Po lekturze „Szczęśliwego chłopca” wracam do lektury tragiczno-teoretycznej. W dwa lata później w warszawskich księgarniach pojawiło się dzieło Kazimierza Dąbrowskiego „Nerwowość dzieci i młodzieży” – szybko wykupione przez coraz bardziej zaniepokojonych rodziców oraz nauczycieli.

W dziele tym zadziwiają liczne przypadki dzieci i młodzieży ze skłonnością do dramatyzowania dla osiągnięcia zachcianek, do nadmiernego entuzjazmu i nawracających depresji, dokonujących „zemsty na sobie samych”, wręcz cyklicznego samoudręczenia.

Nie mniej liczne wydają się tu przypadki uciekających z domu, dzieci tyranizujących swoich własnych rodziców – w tym dwunastoletniego M., jedynaka, który dla „(...) wywołania niepokoju matki o siebie, zdobycia jej pieśczoł, podpurował się i podmalował sobie oczy „na chorego”.

Dąbrowski podkreśla dobitnie, że te i inne odstępstwa w zachowaniu dzieci i młodzieży są skutkiem rodzicielskiej sprzeczności w wydawaniu zakazów i nakazów, cofania wydanych poleceń, nadmiernej egzaltacji czy nawet...

Eksplorując literaturę piękną oraz pedagogiczno-psychologiczną szukam odpowiedzi, w którym momencie zaczął się – często za przyzwoleniem społecznym – proces krzywdzenia dzieci przez własnych rodziców.

Swego czasu Kaja Godek opisała dwa pozornie różne przypadki dzieci „w służbie ideologii gender”: Ryland Whittington, biologicznej dziewczynki, która w dzieciństwie zaczęła sięgać po chłopięce zabawki i ubrania. Rodzice przemianowali ją – wskutek rad „specjalistów” na chłopca i za to jeszcze otrzymali nagrodę środowisk LGTB! Ryland Whittington jest prawie w wieku „szczęśliwego chłopca” – Kocia. Co stanie się z Ryland za dziesięć – piętnaście lat? Jaką cenę zapłaci za niszczycielską decyzję rodziców?

Kaja Godek podaje też przykład Davida Reimera, znanego jako John/Joan, któremu w wyniku nieudanego obrzezania postanowiono zmienić płeć na żeńską. Jako nastolatka/nastolatek dowiedział/a się, że urodził/a się jako chłopiec i podjął próbę – po interwencji chirurgicznej – powrotu do swojej właściwej płci. Próg dorosłości przekroczył targany nieustającym niepokojem i skłonnościami do depresji. Ożenił się, przysposobił trójkę dzieci swej żony i w wieku trzydziestu ośmiu lat popełnił samobójstwo.

Jakie dziecko jest w stanie – również w dorosłości – udźwignąć brzemień błędów popełnionych przez rodziców? Jacy rodzice - krzywdziciele mają pełną świadomość, co uczynili własnym dzieciom?

List bez nagłówka

Felieton, piątek, 30, maj 2014 09:30

Wychowanie nieodłącznie związane jest z pojęciem kultury, zaś wychowanie narodowe z kulturą narodową. Narodowe Babcie i Narodowi Dziadkowie – choć niewielu ich pozostało winni baczyć na swoje wnuki. Dopóki trwa żywotność osobowości, dopóty trwa wychowanie.

Niektóre babcie i dziadkowie już się poddali i stawiają na samorozwój, na Uniwersytetach III Wieku czy wielogodzinnych „fitnessach”, zaś spragnione niegdysiejszych opowieści wnuczeta czekają na ukazanie wzorców oraz autorytetów, często nie znajdując ich we własnej, choćby wielopokoleniowej rodzinie. Wpisują więc do swego młodego życia autorytety, których brak już wśród żywych: Żołnierzy Wyklętych czy wielkie duchem kobiety przedwojennego ONR.

Minione epoki nie znały tak straszliwej intensyfikacji przemian jak nasze. Przykład? Człowiek PZPR w ekspresowym tempie stał się człowiekiem SLD, by już po chwili być osobą LGTB. Kim więc będzie po kolejnej przemianie?

Wychowanie i kultura też uległy tej straszliwej intensyfikacji, a przecież pierwszych osiemnastu lat życia nie da się poświęcić na gromadzenie (na zapas) dóbr, doświadczeń, decyzji, tęsknot, które dałoby się równomiernie rozłożyć w dorosłości. Przez całe życie jesteśmy skazani na odnawialne wychowywanie siebie samych z myślą o tworzeniu relacji mistrzowskiej, zwanej też relacją mistrz-uczeń... nawet jeśli znani nam mistrzowie byli zazdrośnie (by nie rzec zawistni) do tego stopnia, iż nie chcieli wychować swoich następców.

W jakimś zakurczonym dziele wyczytałam swego czasu, iż list Napoleona wysłany z Paryża do Rzymu przebył tyle samo czasu, ile list Juliusza Cezara wysłany do Lutetia Parisiorum. Już raz tak się zdarzyło w historii, że list z oświadczeniami utknął w drodze i zmienił bieg życia dwojga ludzi na dziesiątki lat.

Wychowanie narodowe i narodowe samowychowanie jest również przystosowywaniem się do nieprzewidywalnej rzeczywistości poprzez mnogie lektury, współuczestniczenie (również w turystyce rodzinno-narodowej oraz pielgrzymkach), udział w marszach, wykładach, dyskusjach, we współtworzeniu zrębów kanonu lektur narodowych, żywej reakcji na różne przejawy organicznego zła.

Współczesna szkoła coraz mniej wychowuje, współcześni rodzice to coraz częściej wiecznie niedojrzałe duże dzieci. Chylę czoło przed tymi Rodzicami, którzy potrafią dzieci swoje kochać bezwarunkowo i wychowywać je stawiając czoło neojakobińskiej oraz neobolszewickiej propagandzie edukacyjnej. Niszczy ona dziecko, rodzinę, rodzicielstwo, więzi międzypokoleniowe.

Pojawiła się właśnie kolejna szansa na umocnienie cywilizacji łacińskiej w domowych ogniskach. Szansa na zwycięstwo.

Tylko czy zaginiony przed laty list dotrze do adresata?

Chłopięce spódniczki

Felieton, środa, 30, listopad -2014 01:24

Bretońskie miasto Nantes zajmuje szczególne miejsce na mapie moich lat młodości. Tu kształtowało się moje przywiązanie do fundamentalnych wartości i estetyki Wielkiego Średniowiecza, tu powstawały moje pierwsze wiersze w języku francuskim, tu odkrywałam inkunabuły i spokoju szukałam we wnętrzu gotyckiej katedry św. Piotra i Pawła, wybudowanej w latach 1434-1891.

W jej wnętrzu przystawałam choć na chwilę przed renesansowym grobowcem Franciszka II i jego żony Małgorzaty de Foix, wszak otaczające go figury symbolizują cztery cnoty kardynalne: sprawiedliwość, męstwo, roztropność i umiarkowanie. To w

Nantes przyszedł na świat Jules Verne. Zaczytywałam się w pierwszych, autentycznych egzemplarzach jego dzieł siedząc na filigranowej ławeczce u stóp nantejskiego Zamku Książąt Bretanii.

A potem zaczął się czas pożogi. Ktoś wykradł mi fragmenty moich publikacji o Bretanii i na zasadzie „kopiuj-wklej” zamieścił jako swoje. Nigdy do kradzieży się ów nie przyznał, ale piętno złodzieja na czole płonie. Do dziś.

Nantes też płonie. Ze wstydu płonie jak tęcza jakaś. W dwudziestu siedmiu tutejszych liceach dziś od rana trwa akcja „Podnosimy spódnice”. Kawalek z brodą wygrał Eurowizję, z winy feministek współczesny facet zamienia się w kawałek sukienki albo kusej spódniczki, a jakaś facetka histeryzuje w mediach, nie umie dyskutować, bo nie ma wiedzy i argumentów dla poparcia swoich własnych poglądów.

Dziś w dwudziestu siedmiu liceach Nantes uczniowie i męska część grona pedagogicznego włoży spódniczki. I pomyśleć, że przymierzałam się w młodości do kontynuowania studiów w Nantes przed definitywnym powrotem do Polski! Media francuskie trąbią, że 16 maja to wielkie święto. „Dzień spódnicy” i trąbiąc tak robią innych w trąbę, mając, że to przecież wielki dzień licealnego protestu wobec seksizmu. Rano gołe nogi i spódniczki, a jeszcze przedpołudniem dyskusje w klasach na temat równouprawnienia płci oraz „strraszliwej” dyskryminacji. Po raz pierwszy taka akacja obyla się już rok temu, a niesmak trwa przynajmniej.... dwanaście miesięcy.

Uczniowie z Nantes, pokażcie gołe, owłosione nogi (to nic, że dziś przenikliwy wiatr od morza i siąpi już od rana), a jak Wam to nie pasuje, to my, „tolerancyjni” uczniowie z oślej ławki nalepimy Wam na plecach nalepki „Walczę z seksizmem. A ty?”. W kolejce tematów na godziny wychowawcze czekają już niedługo „Zajęcia z masturbacji”. Spódniczkowym pomysłem władz oświatowych zniesmaczona jest nawet Frigid Barjot, była liderka słynnego ruchu „La Manif pour tous” i gromkim głosem (wpis na Twitterze) pyta ministra edukacji, czy „dziewczynki również będą musiały doczepiać sobie brody”. Pani Barjot pomaga młodym ludziom wykluczonym z ich rodzin z racji orientacji seksualnej. Nic to, i tak aktywiści LGBT dalej ją atakują.

Rodzice ponoć o spódniczkowej akcji byli wcześniej poinformowani. Tak oto kawałek szmatki wokół bioder staje się sztandarem wielkiego święta szkolnego. Święta osłabionej chłopiwości i męskości.

W Polsce przyprowadzano już „pedagogiczne” eksperymenty na dzieciach również w ramach programu „Równościowe przedszkole”. Eksperci z Polskiej Akademii Nauk stwierdzili przecież, że powoduje on „wysadzania dzieci z ich biologicznej płci”. Protestowali rodzice, nauczyciele, pedagodzy, za to rzecznik praw obywatelskich nie widziała w tym nic złego.

Już niedługo akcja „Podnosimy spódniczki” obejmie wyższe uczelnie w Francji.

A z Nantes do Warszawy tylko 1711 kilometrów...

Barykady normalności

Felieton, wtorek, 06, maj 2014 20:44

Tęcza na Placu Zbawiciela strzeżona jest niczym znany zespół czy celebryta. Dodawane są doń kolejne elementy ochronne. Jeszcze do niedawna na tęczę na warszawskim niebie można było spoglądać z dziecięcą wręcz, czystą radością. Teraz symbol, a wręcz radość ze spojrzenia na piękno natury została zawłaszczona i kojarzy się z dewiacjami.

W średniowiecznej symbolice chrześcijańskiej trzy podstawowe barwy tęczy – a podaje za Gotfrydem z Vitterbo (1125-1192), iż oznaczały z racji niebieskości potop, z racji czerwieni – ogień przy końcu świata, zaś z racji zieloności świat odrodzony. Siedem barw tęczy kojarzonych było z siedmioma sakramentami i siedmioma darami Ducha Świętego. Były znakiem posłannictwa i przymierza.

Siedzę na ławeczce przed tęczą i nie widzę tej tęczy wcale. Mojej wyobraźni nie przemoże ani gigantyczny zraszcz, ani monitoring. I nie chodzi w tym przypadku o wyobraźnię literacką, lecz zdolność do odtwarzania w myśli zdarzeń, które tu, na Placu Zbawiciela miały miejsce. Przypominam sobie przeczytaną powstańczą relację, dziesięcioletniego wówczas chłopca, który wraz z innymi znalazł się na Placu na Rozdrożu. Trzymany był nieopodal przez ponad dobę bez jedzenia i picia na podwórku, gdzie leżały zwęglone zwłoki powstańców. Potem z innymi poszedł płonąca ulicą Marszałkowską w kierunku barykad powstańczych na Placu Zbawiciela.

Barykad uświęconych polską krwią.

Nie będę więc w tym miejscu pisać ani o funkcji etycznej dzieła sztuki czy tożsamościowej.

Dalej mam przed oczyma płonące barykady. Na Placu Zbawiciela czas się zatrzymał.

Wiatr w duszy

Felieton, poniedziałek, 21, kwiecień 2014 21:23

Nawet w czas Wielkanocy oddaję się z lubością lekturze niegdysiejszych mądrości. Jako krytyk życia społecznego tęskniący niemiłosiernie za dbałością o piękne detale życia codziennego, do serca i sumienia biorę też fragmenty kodeksów obyczajowych, które traktowały o zachowaniu się w kościele.

Jeden z nich – perełka z 1939 roku, zbiór porad autorstwa Konstancji Hojnackiej zatytułowany „Współżycie z ludźmi. Kodeks towarzyski”, prócz kwestii dotyczących domu rodzinnego jako szkoły życia, przykładu rodziców oraz ich autorytetu, życia towarzyskiego i społecznego młodzieży, wizyt, zajazdów, przyjęć i konwersacji, spraw honorowych, języka ojczystego, pogłosek uwłaczających czci, pochopnych sądów, pochlebstw, jałmużny oraz organizowania imprez dobroczynnych zawiera też istotny pasaż poświęcony zachowaniu się w kościele.

„W kościele nie wolno rozglądać się na wszystkie strony, składać ostentacyjnie ukłonów lub w jakikolwiek bądź inny sposób przeszkadzać ludziom pogrążonym w modlitwie. Jedynym przecież celem, dla którego schodzimy się na nabożeństwa, jest wzniesienie ducha do Boga ponad sprawy codzienne. Zostawmy je więc wszystkie za progiem kościoła, a tu oddajmy się nastrojowi odświętnemu, modlitwemu”⁽¹⁾ Konstancja Hojnacka – ówczesna specjalistka od obyczajowości codziennej i odświętnej napomina bezwzględnie przepychających się, spóźniających się lub dalekich od modlitwennego nastroju, wychodzących „z rozmachem i hałasem” przed końcem Mszy Świętej. Zwraca uwagę również na bezceremonialne zachowanie zwiedzających kościoły podkreślając, iż zwiedzanie nie zwalnia bynajmniej od powściągliwego zachowania, zaś „głośnie entuzjazmy” (!) czy krytykowanie jest wręcz niewłaściwe czy nawet gorszące. Paniom wybierającym się do kościoła przypomina o skromnym stroju i unikaniu strojenia się w suknie krótkie, obcisłe, eksponowaniu ażurów czy dekoltów, choćby moda dyktowała je na co dzień.

Zbiór rad to cenny, szczególnie w nadmiarze i miarce poradników maści wszelkiej, które zalegają na księgarskich półkach, gdzie specjaliści od wszystkiego nabywający omniwiedzę i omniumejętności na kolejnych, kosztownych kilkogodzinnych kursach radzą nam jak mamy walczyć ze stresem, nieśmiałością, zaśnieżoną patelnią i milczeniem owiec. Jesteśmy zalewani mądrościami w twardych okładach i z tęczowymi ilustracjami. Gromadzimy przepisy na tysiąc mazurków i babek, tylko wiatr hula w duszy, wiatr.

Zagubieni w niskich labiryntach poradników i domyślników tracimy prawdziwą znajomość bon-tonu. Pozostaje nam uważne przestudiowanie niegdysiejszych polskich kodeksów towarzyskich. To przynosi o wiele więcej pożytku niż desperackie szukanie obcych wzorców...

...by wiatr już nie hulał w duszy, bo mroźno się zrobi w Wielkanoc.

Bezpłatny podręcznik Tuska będzie narzędziem promocji gender

Felieton, sobota, 05 kwiecień 2014 17:54

Od ponad roku trwa wzmożona walka podręcznikowa, a w zasadzie podręcznikowo-programowa, której celem jest dookreślenie przyszłości polskiej szkoły i polskiego ucznia.

Pojęcie „walki” jest chyba nie końca właściwym, skoro owa dyskusja to raczej feministyczny wrzask istot, które pojęcie o wychowaniu dzieci wynoszą raczej z unijnych opracowań i podręcznikowych definicji przyswojonych na studiach na okoliczność zdawania jakiegoś egzaminu. Taka walka to nie novum, to kolejny temat zastępczy.

Marian Falski, autor słynnego „Elementarza” nieustannie pogłębiał wiedzę, analizował, godząc teorię z praktyką. Zajmowały go dzieje dydaktyki pisania i czytania w różnych krajach. Systematycznie zgłębiał wiedzę z psychologii, językoznawstwa oraz latami udoskonalał swój podręcznik. Nie wypowiadał na tematy, na których się nie znał. Żadna Unia nie dofinansowywała mu projektów czy wydania podręcznika. Na Międzynarodowej Wystawie Podręczników w Brukseli „Elementarz” Falskiego został uznany za jeden z najlepszych na świecie. (Nadmieniam, iż broniąc interdyscyplinarnego spojrzenia na edukację, godzenia teorii z praktyką głoszonej przez Falskiego jestem zarazem zbulwersowana jego powiązaniem z wolnomularskimi). Przekombinowana, tendencyjna powojenna wersja jego elementarza ukazała się w 1949 roku. Nie zmieniano jej aż do roku 1957. Jako sześciolatka-pierwszoklasistka uczyłam się z ostatniej wersji podręcznika.

Potem nastąpiły lata rywalizacji podręcznikowej. Wszelkie emocje związane z niedoskonałością mnożących się bytów przesłonił złowrogi fenomen programu – tym razem napisanego z myślą o indoktrynowaniu milusińskich za unijne pieniądze, a mianowicie „Równościowe przedszkole” z silnymi odniesieniami do realiów szwedzkiego przedszkola, co uważną komparatystkę tyle przeraża, co śmieszy. Widać tu luki w wiedzy merytorycznej autorek, skoro za punkt wyjścia do analizy przyjmują podstawę programową wprowadzoną w Szwecji w końcu lat dziewięćdziesiątych nie wspominając nawet, że dziś nawet liberalni Szwedzi wycofują się wstydliwie z niegdysiejszych pomysłów. Poradnik został dofinansowywany w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego Kapitału Ludzkiego i z udziałem Fundacji Edukacji Przedszkolnej. Widać, że autorki programu są tak silnie zafiksowane na przepychaniu gender, że nie umiały ani poprawnie przedstawić zasad kształcenia, ani zaproponować dzieciom po prostu mądrych, ciekawych zajęć edukacyjnych. Niestety, niektórzy milusińscy, udział w programie „Równościowe przedszkole” przypłacili atakami płaczu, bezsennością i stanem przeddepresyjnym.

Teraz szykuje się nowy podręcznik dla pierwszaków, będący kolejnym narzędziem promocji manipulacyjnej ideologii gender. Darmowy za to. Jego autorka otwarcie

przyznaje, że zwraca szczególną uwagę na kwestie równościowe, zaś przy formułowaniu poleceń będzie unikała określania płci przyszłych małych czytelniczek i małych czytelników. Unikamy zazwyczaj czegoś, czego się brzydzymy albo czegoś, co z natury jest złe. A w tym przypadku?

Najbardziej pokrętnie programy i nowomodne podręczniki nie mogą w niczym konkurować z normalną edukacją i normalnym wychowaniem. Nawet w bajkach dla dzieci czarne jest czarne, białe jest białe. Tylko dlaczego programy edukacji przedszkolnej i pierwsze podręczniki okradają małych czytelników z normalnego dzieciństwa?

Plugawe znaczy gender

Felieton, sobota, 29, marzec 2014 17:40

Próbowałam choć na chwilę o tej hybrydzie zapomnieć. Ani to nauka, ani ideologia, ani metoda wychowawcza, ani estetyka, ani filozofia, ani moda... raczej skondensowana demagogia oraz długofalowy program działań destrukcyjnych skierowany przeciwko człowieczeństwu.

Swego czasu sowieci i hitlerowcy robili młodemu pokoleniu kompletne pranie mózgu. Teraz robią to – wcale nie w czynie społecznym - programiści od gender, czyli od paskudnej hybrydy, która pluje żółcią niepowodzeń i niespełnień posługując się jednocześnie językiem polityki, metajęzykiem (w tym wulgaryzmami), żądzą niszczenia relacji międzypokoleniowych, relacji między mężczyzną i kobietą, rodziny, szkolnictwa, tożsamości. Wersja jakobińska i bolszewicka gender? Obie brzmią podobnie.

Gender, podobnie jak oszuści (czyt. ludzie o fałszywej tożsamości na przykład) dorabia sobie swoją własną historię, by się rzecz jasna uwiarygodnić. Nawet w krytyce literackiej. Potrafi hiperbolicznie seksualizować na przykład dramaty Słowackiego. Przykład? Germain Ritz – znany sławista szwajcarski dał się poznać jako genderyzator polskiej literatury narodowej. To w jego szkicu „*Juliusz Słowacki: dramat romantyczny jako dramat płci*” czytamy:

Ogólnie można powiedzieć, że płeć biologiczna i gender są u Słowackiego dominującym składnikiem koncepcji postaci. Jego dyskurs charakteryzuje się przesunięciami i przeniesieniami.

Ritz pisze też o „silnych kobietach Słowackiego wyzwalających w odbiorcy wyobrażenia matriarchalne i przeniesieniu psychotycznym”.

Oświadczam, iż będę niezmiennie czytać Słowackiego w duchu Piękna, a oblepianie Wielkiego Romantyka genderowym požądaniem krytyczno-spojrzeniowym tylko

wzmóc może kolejną relecture w duchu narodowym. Proszę, wróćmy do NORMALNEGO czytania dzieł Słowackiego!

Hybryda gender ma jeszcze jedną siostrę. W końcu wieku XIX bohaterką wielu utworów literackich stała się egzaltowana, nie zrównoważona kobieta - typowa histeryczka. Docteur Charcot w paryskiej klinice psychiatrycznej prowadził podówczas doświadczenia na histerykach właśnie traktując ich jako postacie na granicy żywego dzieła sztuki, marzenia sennego, zabawki dokumentując i eksponując deformacje oraz zwyrodnienia. Współczesne gender jest równie obrazkowe: nieestetyczni przebierańcy, szokowanie niekiedy dla samego szokowania, klaunowo-mimowy makijaż, tłumne dreptanie z wyświechtanymi hasłami.

Tylko, że to już było, prawda doktorze Charcot?

Z moich obserwacji wynika, że aparat propagandy gender stał się już po prostu monotematyczny i nie wnosi kompletnie nic nowego.

Wiele nudą w tym aparacie.

Walczcie do końca!

Felieton, sobota, 22, marzec 2014 19:57

Prawdziwa miłość rodzicielska jest miłością bezwarunkową, a codzienna opieka nad dzieckiem niepełnosprawnym jest aktem szczególnego heroizmu i bezgranicznego ofiarowania.

Rodzic dziecka niepełnosprawnego ma wiele dylematów obcych rodzicom dzieci zdrowych, m. in. w kwestii leczenia, rehabilitacji, wydatków na leki, terapię, sprzęt rehabilitacyjny, barier architektonicznych czy komunikacyjnych, wyboru właściwego przedszkola czy szkoły. Niejednokrotnie matka musi podjąć decyzję o rezygnacji z pracy, by zająć się opieką nad niepełnosprawnym dzieckiem. W tej bezwarunkowej miłości konieczne są całkowite wyrzeczenia, a postronni nie pojmują tego.

Od połowy minionego tygodnia prawie trzydzieścioro rodziców i ich niepełnosprawnych dzieci koczuje na podłodze jednego z sejmowych korytarzy. Spotykają się albo z obojętnością, albo z chamstwem. Stefan Niesiołowski nazywa koczujących w Sejmie rodziców niepełnosprawnych dzieci „potworami”, a Marszałek Kopacz mija ich przechodząc obojętnie pod ścianą.

Rodzice niepełnosprawnych dzieci nie zamierzają się poddać. Nie zamierzają opuszczać budynku, póki nie spotka się z nimi premier. Są zdeterminowani i słusznie obruszają się, gdy bezduszni adwersarze przypisują im wikłanie dzieci w politykę. Dzień po dniu dokumentują swe zmagania na Facebooku.

1 stycznia 2014 nie doczekali się ustawy prowadzącej do podwyższenia świadczeń dla opiekunów niepełnosprawnych do poziomu najniższej krajowej. Po raz kolejny Tusk nie dotrzymał słowa!

Zdesperowani rodzice domagają się też szczególnej pomocy państwa w przypadku, kiedy w rodzinie jest przynajmniej dziecko niepełnosprawne, ułatwionego dostępu do lekarzy specjalistów, podwyższenia kwoty renty specjalnej z tytułu niepełnosprawności, darmowych leków podtrzymujących życie i środków zapewniających pielęgnację, bezpłatnych przejazdów z dzieckiem do specjalistycznych klinik, uwzględnienia tzw. „opieki wytchnieniowej” w ramach ustawy o pomocy oraz wsparciu opiekunów. Czy aż musieli znaleźć się tu na podłodze, w sejmowym korytarzu, by móc walczyć o prawo ich dzieci do godnego, normalnego życia?

Kilka pieczętek i podpisów zdecydowało, że od wczoraj coś się ruszyło, ale w innym sensie: wprowadzono restrykcje. Nikt z dzieckiem nie może już tu wejść. Zdesperowani rodzice nie poddają się. Zostaną tu, by walczyć aż do końca.

O godność własnych dzieci.

Kobięcość siłą!

Felieton, czwartek, 13, marzec 2014 07:04

Ideologia gender wpisuje się całkowicie w pojęcie „cywilizacji śmierci”. W jej destrukcyjnym kręgu znajduje się aborcja, eutanazja, rozpad rodziny, promowanie dewiacyjnych elementów w edukacji przedszkolnej i szkolnej, deprecjonowanie normalności, tradycji, historii, rodziny, Kościoła, istniejących ról społecznych.

Feministki ośmieszają i niszczą mężczyzn rekompensując desperacko tym samym niespełnienia, kompleksy i rozchwianie emocjonalne. Obliczem celebryckiego, polskiego feminizmu jest Krzysztof Bęgowski ze swą twórczością literacką i historią życia oraz kilka zdesperowanych, niespełnionych postaci za wszelką cenę akcentujących swą obecność w mediach.

Dla kandydatek do Parlamentu Europejskiego z ramienia Ruchu Narodowego oraz kobiet zaangażowanych w jego działalność feminizm, aborcja, eutanazja, gender, promiskuitizm, pedofilia i wszystkie inne przejawy istnienia „cywilizacji śmierci” są nie do przyjęcia. Całkowicie obca jest im taktyka i ekspansja feministek (również ze względów estetycznych), szerzących nienawiść do wszystkiego, co nie wyraża ich własnej ideologii.

Kobiety zaangażowane w działalność Ruchu Narodowego kształtują wizerunek kobiety pięknej (również duchem), mądrej i dobrej, znającej kulturę, tradycję oraz historię własnego narodu, spełnionej zawodowo i w powinnościach codziennych. Są świadome

swojej wartości, działają również w środowiskach typowo męskich i mają pełną możliwość pogodzenia wartości oraz zasad z siłą twórczych emocji i rozumu.

Konsekwentnie organizują i wspierają różnego typu działania dobroczynne, edukacyjne oraz prorodzinne. Mają też wspaniałe wzorce – wśród nich jest Danusia Siedzikówna i Stanisława Leszczyńska – akuszerka z obozu w Oświęcimiu, która odmówiła zabijania dzieci.

Normalne kobiety mają w sobie przepastne przestrzenie dobra, miłosierdzia, miłości, potrzebę opiekowania się słabszymi i stawania w ich obronie oraz nie muszą w mediach rekompensować swych braków.

Piękno ducha i mądra kobiecość – w tym jest nasza siła!

Hajnówka. 8 luty 2014. Uroczystości w 63. rocznicę śmierci ŁUPASZKI

Wydarzenie, wtorek, 04, luty 2014 14:20

„Był kresowym ułanem. Służbę żołnierską uważał za najpiękniejszą w życiu. Chciał widzieć Polskę wolną i czystą jak łąka. Nigdy nie przegrał żadnej bitwy”- tak poruszająco pisała o majorze Zygmuncie Szendzielarzu „Łupaszce” Joanna Wieliczkowa-Szarkowa w książce „Żołnierze wyklęci. Niezłomni bohaterowie”.

Został zamordowany w dniu 8 lutego 1951 roku. W 63 rocznicę Jego śmierci spotykamy się o godzinie 15-tej w kościele p.w. św. Cyryla i Metodego w Hajnówce, gdzie zostanie odprawiona Msza Święta. Tego samego dnia o 16.30 w salce im. Bł. Jana Pawła II przy kościele p.w. Podwyższenia Krzyża Świętego odbędzie się spotkanie poświęcone pamięci „Łupaszki”, przygotowane przez historyków z Instytutu Pamięi Narodowej.

Uroczystości współorganizowane są przez IPN w Białymstoku, NSZZ Solidarność w Hajnówce, Akcję Katolicką w Hajnówce, Stowarzyszenie Historyczne im. Danuty Siedzikówny ps. „Inka”, którego członkom postać Zygmunta Szendzielarza jest szczególnie bliska.

Nasze Stowarzyszenie nie tylko propaguje wzory postaw etycznych i obywatelskich żołnierzy podziemia niepodległościowego, lecz wspiera także wychowanie patriotyczne młodzieży oraz dba o upamiętnianie ważnych postaci w historii Narodu Polskiego. Organizuje również cykliczny Rajd Pieszy Szlakiem Żołnierzy 5.Wileńskiej Brygady AK mjr. „Łupaszki”.

Zygmunt Szendzielarz ps. „Łupaszka” urodził się 12 marca 1910 roku w Stryju. Został ochrzczony w tamtejszym kościele Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Pobierał

nauki we Lwowie i Stryju, a następnie wstąpił do szkoły podchorążych zawodowych na kurs unitarny w Różanie i szkoły podchorążych kawalerii w Grudziądzu. We wrześniu 1939 został przydzielony do 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich i wstąpił jako znakomity dowódca liniowy. 16 listopada przybył do Wilna i tego dnia przyszła jego córka Basia, która 30 marca 2012 została pochowana w symbolicznej mogile swego ojca na Powązkach Wojskowych w Warszawie. Do naszych czasów zachowało się zdjęcie wykonane na Wileńszczyźnie w 1944 roku, na którym major uśmiecha się serdecznie do siedzącej na koniu córeczki.

Funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, powstałego na bazie Resortu Bezpieczeństwa Publicznego przy Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego aresztowali go w dniu 30 czerwca 1948. W dniu 2 listopada 1950 roku został skazany na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie. Wyrok wykonano w więzieniu przy Rakowieckiej 8 lutego 1951 roku. Jego ciało zostało odnalezione w 2013 roku w okolicach kwatery „Ł” po prowadzonych od 2012 roku ekshumacjach na warszawskich Powązkach. Poza Szendzielarzem i Dekutowskim, zidentyfikowano siedmiu innych żołnierzy AK zamordowanych przez funkcjonariuszy UB.

Na odrębną opowieść zasługuje historia 5 Brygady Wileńskiej, zwanej Brygadą Śmierci, reaktywowanej z resztek rozbitego przez Sowieców oddziału nad jeziorem Narocz. Brygada wykonała kilkadziesiąt udanych akcji przeciw niemieckim siłom okupacyjnym, oddziałom sowieckim i kolaboranckim oddziałom litewskim. W sierpniu 1943 roku Zygmunt Szendzielarz został skierowany na stanowisko dowódcy oddziału partyzanckiego AK. Na cześć sławnego kresowego partyzanta wojny polsko-bolszewickiej ppłk. Jerzego Dąbrowskiego przyjął jego pseudonim „Łupaszko” (jak podają niektóre źródła raczej formy „Łupaszka”).

23 lipca 1944 roku 5. Wileńska Brygada AK przestała formalnie istnieć.

5 kwietnia 1944 roku część partyzantów ponownie zebrała się pod rozkazami „Łupaszki”. Odtworzona przez niego 5 Brygada Wileńska AK w szczytowym momencie liczyła około 250 żołnierzy. Była najskuteczniejszym oddziałem podziemia antykomunistycznego w tym rejonie. Przeprowadziła kilkadziesiąt akcji przeciwko UBP, NKWD, KBW i MO. Oddziały „Łupaszki” były zorganizowane jak regularne wojsko, dobrze uzbrojone i wyposażone oraz zachowywały całkowitą dyscyplinę. Jego żołnierze nie pili alkoholu. Pamiętali o modlitwie porannej i wieczornej bez względu na okoliczności.

Pierwszą zatrzymaną z tego oddziału była Danuta Siedzikówna „Inka” – patronka naszego Stowarzyszenia. Przeszła brutalne śledztwo i została rozstrzelana w zemście za nieuchwytnego Zygmunta Szendzielarza. Przed śmiercią od strzału z pistoletu w głowę zdążyła jeszcze krzyknąć „Niech żyje Łupaszko!”.

Aborcja: zabójstwo, egoizm, reklama

Felieton, poniedziałek, 18, listopad 2013 11:05

„Kobieta”, która dokonuje aborcji lub ją po prostu popiera, cierpi na postępujący zanik sumienia. Aborcja jest zabójstwem i powinna podlegać najsurowszym sankcjom moralnym oraz prawnym.

Spowodowania śmierci nie usprawiedliwi żadna przyczyna. Współwinny jest także nie tylko ten, kto do aborcji namawia, ale i ten, który programowym działaniem (znięcaniem się psychicznym, fizycznym a nawet wyrafinowaną formą manipulacji) doprowadza drugą osobę do głębokiej depresji, a w konsekwencji do próby samobójczej albo po prostu do śmierci. Walka o godność życia nie jest już kwestią metafory czy na trwałe sformułowanego postulatu. To walka autentyczna, walka na życie i śmierć.

Aborcja jest aktem „ideologicznie” obudowanego egoizmu. Może ona skutkować trwałym okaleczeniem, poważnym urazem psychicznym, który ujawnia się w kilka tygodni po „zabiegu”. Wśród fizycznych skutków aborcji wymienić należy: krwotok związany z rozdarciem szyjki macicy lub z zakażeniem spowodowanym rozwojem drobnoustrojów w niedokładnie oczyszczonej jamie macicy, poronienia, niepłodność, zwiększenie ryzyka raka piersi. U kobiet, które poddały się aborcji, częściej występują nawracające stany zapalne dróg rodnych oraz zaburzenia miesiączkowania, a także przedwczesne porody na skutek niedomagania szyjki macicy.

(...)

Pełna treść artykułu dostępna na stronie: [Fundacji SOS Obrony Poczętego Życia](http://fundacjasos.pl/aborcja-zabojstwo-egoizm-reklama/)
>> <http://fundacjasos.pl/aborcja-zabojstwo-egoizm-reklama/>

Bożydar Aleksander Żabczyński? Nigdy go nie zapomnę...

Kultura, niedziela, 22, wrzesień 2013 13:16

Nie prowadzę podwójnego życia. Żyję życiem równoległym. Dla mnie okres międzywojenny nigdy się nie skończył, choć znam go z opowieści mojej Ś.P. Babci oraz „przedwojennego chłopca” – Ludwiczka Cywińskiego, z którym do dziś śpiewamy w duecie dawne szlagiery ze szczególnym ukłonem w stronę repertuaru Bożydara Aleksandra Żabczyńskiego.

Okres międzywojenny znam też z literatury, dziejów sztuki i architektury, prac naukowych historyków i antropologów codzienności oraz filmu. Za sprawę autentycznych rekwizytów życia codziennego tamtej epoki. To ciągle za mało. Na mój

„czuły sposób” wskrzeszam jego fragmenty w poezji i powieści albo w moich własnych pracach naukowych. Tu również ogarnia mnie nieustanny niedosyt.

Piątkowy wieczór był wieczorem szczególnym dla wszystkich warszawskich miłośniczek i admiratorów jednego z największych amantów polskiego kina lat trzydziestych. Organizatorzy ze służewieckiego DK „Kadr” na czele z pasjonatką Małgorzatą Szczęsną zaprosili nas na projekcję filmu Marka Maldisa „Już nie zapomnisz mnie” (w obecności i z komentarzem reżysera), poświęconego pamięci Wielkiego Aktora i Patrioty. Przypomnijmy, że dosłownie o dziesięć minut spaceru od DK „Kadr” znajduje się Rondo Aleksandra Żabczyńskiego.

Spotkanie zwińczyło wspólne odśpiewanie piosenki pod tym samym tytułem i kulturalne wspomnienia pań, które podkochały się w Żabczyńskim w czasach pensjonarskich. Bożydar Aleksander Żabczyński dla przyjaciół był „Żabą”, dla pozostałych zaś „panem Aleksandrem”. Aktorem szczególnie lubianym za uczynność, serdeczność i poczucie humoru. Jego partnerkami filmowymi były takie sławy jak: Jadwiga Smosarska, Ina Benita, czy wreszcie Helena Grossówna.

W 1919 roku Bożydar Aleksander Żabczyński wstąpił do Szkoły Podchorążych Artylerii, po ukończeniu której służył jako oficer w 1 pułku. W roku akademickim 1921/22 rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim oraz naukę gry aktorskiej w Warszawskiej Szkole Gry Sceniczno-Filmowej. Ze studenckiego kółka dramatycznego trafił do słynnej Reduty.

Jak dziewczynka z zapartym tchem oglądałam cykl „W starym kinie” i oczywiście filmy w których występował, m.in. „Śluby ułańskie”(1934), „Manewry miłosne”(1935), „Jadzia” (1936), „Ada! To nie wypada!” (1936), „Zapomniana melodia” (1938). Może powinnam wreszcie „popęlnić” (!) książkę, która byłaby wyrazem mojego uwielbienia dla Wielkiego Aktora?

Atutem Żabczyńskiego był jego miękki, dźwięczny głos wzbudzający silne emocje u licznych wielbicielek. Przed wojną występował w czołowych teatrzykach rewiowych, między innymi w „Morskim Oku” , „Kameleonie”, „Wielkiej Operetce”. „Hollywood”, „Cyruliku Warszawskim” i „Wielkiej Rewii”.

Aktorem czuł się jedynie na deskach teatru i na planie filmowym, najważniejszy był dlań obowiązek patriotyczny. Brał udział w kampanii wrześniowej jako porucznik 1 pułku artylerii najcięższej. Przez Rumunię przedostał się do Francji. Tam też wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych. Później został wysłany na Bliski Wschód i walczył pod Monte Cassino. W 1946 roku wraz z II Korpusem trafił do Wielkiej Brytanii. Nie mógł się jednak odnaleźć w tamtejszej rzeczywistości i w 1947 roku powrócił do kraju. Występował początkowo gościnnie w Teatrze Małym i Teatrze Klasycznym, a potem do śmierci był aktorem Teatru Polskiego.

Grób zmarłego w 1958 roku Bożydara Aleksandra Żabczyńskiego i jego żony Marii znajduje się na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Dopiero po wielu latach okazało się, że był najbardziej inwigilowanym przez UB polskim aktorem po II wojnie światowej.

Szczegółnej modlitwie polecał^{ym} Go wczoraj podczas wieczornej Mszy Świętej, odprawionej w Jego intencji w kościele Świętego Maksymiliana Marii Kolbego w Warszawie.

Dwie Róże. Róża Maria Sapieha i święta Róża z Limy

Historia, poniedziałek, 02, wrzesień 2013 14:32

Dziś mija 69. rocznica śmierci księżniczki i sanitariuszki, której niezwykła uroda oraz wytworność była przedmiotem westchnień młodzieńców i zazdrości niektórych przedwojennych dziewcząt. Młodzieńcy uparcie zabiegali o jej względy, a wśród nich był pewien desperat biorący myślenie życzeniowe za rzeczywistość.

Róża Maria Sapieha przyszła na świat w dniu 19 stycznia 1921 w miejscowości Bobrek koło Oświęcimia, która współczesnym kojarzy się raczej z ludowym obraźnictwem. Jej matką była Teresa z Sobańskich, zaś ojcem - Adam Zygmunt Sapieha, jeden z pierwszych austro-węgierskich lotników podczas I wojny światowej, a od 1924 roku oficer rezerwy 2 Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich. Jej zwierzchnikiem był zaś Henryk Lenk (1894- 1969) dr medycyny major – podpułkownik, który w 1918 roku jako ochotnik wstąpił do 21. Pułku Piechoty Wojska Polskiego.

Róża Maria była sanitariuszką oddziału "Bakcyl" (Sanitariat Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej). Do oddziału należeli też inni znani sanitariusze: urodzony w Równem w 1930 roku, a zmarły przed kilkoma miesiącami prof. dr hab. Zbigniew Słomko, późniejszy kierownik Katedry Perinatologii i Ginekologii oraz Kliniki Perinatologii Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, a także Teresa Haggmayer, która w latach okupacji uczyła się na tajnych kompletach w Gimnazjum im. Cecylii Plater. Wraz z grupą kobiet z Konfederacji Narodu brała udział w akcji Międzyorganizacyjnego Porozumienia Pomocy Więźniom. Żywność pozyskiwały z pomocą rodzin w zaprzyjaźnionych majątkach, m.in. Wyleżyńskich w Wielgolesie.

Róża Maria Sapieha poległa 2 września 1944 roku na ulicy Malczewskiego w Warszawie i tu właśnie dzisiaj sprowadziła mnie pamięć o niej. Trzy dni wcześniej (obecnie 23 sierpnia) Kościół obchodził dzień świętej Róży Limańskiej, dominikanki, żyjącej w pierwszej połowie XVII wieku, która wprawdzie na chrzcie świętym otrzymała imię ku czci świętej Izabeli, ale – jak głosi legenda - jej matka ujrzała pewnego razu nad obliczem drzemiącego dziecięcia unoszący się wonny kwiat, a

wszyscy odtąd nazywali dziewczynkę Różą. Piękne dziewczątko było pociechą swych rodziców. Od szóstego roku życia trzy razy w tygodniu pościła o chlebie i wodzie, sypiała tylko na twardych deskach. Nie dbała o doczesne radości, zawsze gotowa nieść pomoc potrzebującym i serdecznym słowem ich wspierać. Matka dumna z piękności córki, namawiała ją bez ustanku, aby więcej dbała o stroje.

Różą odznaczała się głęboką wiarą i pobożnością. Jako młode dziewczę unikała zbędnego przepychu i obdarowywała hojnie biednych. Mając trzydzieści dwa lata zachorowała śmiertelnie, a ból trapił ją przeogromny. Wymawiając słowa: „Jezu, stój przy mnie”, umarła dnia 24 sierpnia roku 1617. Jej twarz jaśniała uśmiechem i niezrównaną pięknnością, więc sądzono, że jeszcze nie umarła. Natłok pielgrzymów chcących ujrzeć zgasłą przedwcześnie Różę był ogromny. Klemens IX zaliczył Różę Limańską do grona błogosławionych, a Klemens X ogłosił ją świętą. Uważana jest za prekursorkę służby społecznej w Peru.

Dwie niezwyklej urody Róże z dwóch oddalonych od siebie niespokojnych epok okazywały – każda na swój sposób – dobroć i miłosierdzie. Każda z nich oddała życie dla sprawy. Czy dzisiejsze „autorytety” - gdyby zaistniała potrzeba – uczyniłyby to samo?